

GÓRNY O ZASKAKUJĄCYM ODEJŚCIU KARD. SARAHA Z KURII RZYMSKIEJ

ROKITA O ATAKU LEWICY NA STASIA I NEL

NARBUTT O TYM, JAK DZIAŁA GANG „NA WNUCZKA"



DODATEK GIGANCI NAUKI PL

ŚLEDZTWO PYZY I WIKŁY

TAJEMNICE LUDZI GOWINA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 10 (432) 2021
8–14 marca 2021
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

BRUDNA WOJNA W TVN

O CO CHODZI W ROZGRYWCE, KTÓRA WSTRZĄSNĘŁA POLSKIM ŚWIATEM MEDIÓW

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl d4ca85cccd8

CYFROWY POLSAT

PROSTA OFERTA TELEWIZJI!

PAKIETY Z KANAŁAMI DLA CAŁEJ RODZINY OD **30 ZŁ/MIES.**



SATELITARNA KABLOWA IPTV INTERNETOWA

Na start pełna oferta przez

1 MIESIĄC BEZ OPŁAT!

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej, kablowej IPTV oraz internetowej przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.Oferta ważna na dzień 03.03.2021 r. „Ptaki nocy i fantastyczna emancypacja pewnej Harley Quinn" © 2020 Home Box Office Inc. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.

eprasa.pl d4c85cccd8

Czy zatrzymają się dopiero, gdy zaczną ginąć księża?

Taki podtytuł kilka lat temu, gdy ruszała nagonka na Kościół, zamieściliśmy na okładce tygodnika „Sieci". Jakież wtedy było oburzenie! Przecież – dowodzono – tu chodzi o oczyszczenie, to walka o naprawę tej instytucji. Nie neguję, że jak w każdym dziele ludzkim (choć Kościół to jednocześnie dzieło Boże) i w tym są błędy, wady, nawet przestępstwa. Zdarzają się ludzie źli. Te grzechy trzeba potępić, winnych zbrodni ukarać zgodnie z prawem kanonicznym i cywilnym. Ale totalitarne w istocie uogólnienie, którego dopuszczają się od lat media, jest zbyt powtarzalne, zbyt trwałe, by przyjąć argumentację o dobrej woli. To nie przypadek, to metoda działania.

Świadomie budowano kłamliwą kalkę, że każdy ksiądz to rzekomo pedofil, a każdy biskup tych pedofilów broni. Potworne kłamstwo przerabiające pojedyncze przypadki na rzekomą regułę. Tysiące uczciwych, ciężko pracujących dla dobra wspólnego, głoszących Słowo Boże księży, tysiące wspaniałych zakonnic zostało skrzywdzonych. Jakież mieli możliwości obrony wobec ataków potężnych organizacji medialnych? Jak mieli się przeciwstawić tworzeniu fałszywych zestawień w umysłach ludzi mniej odpornych na manipulację? Byli i są wobec tej przemocy bezbronni.

Niestety, zło niezatrzymane, zło nienazwane pozwala sobie na coraz więcej.

Mnożą się fizyczne napaści na księży, pobicia. Ostatni tydzień przyniósł kilka kolejnych takich przypadków. Dochodzi do podpaleń świątyń. Media zamiast dostrzec zagrożenie, ostentacyjnie celebrują zachęcających do tego bojówkarzy. Płyną dotacje do organizacji, której liderka mówiła, że nie miałaby nic przeciwko. A sąd daje zgodę na bluźniercze przerabianie Cudownego Obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej. Czy byłby tak samo wyrozumiały, gdyby chodziło o święte symbole judaizmu, islamu lub hinduizmu? Nie sądzę. A co by się stało, gdyby ktoś zaczął publicznie poniewierać symbole środowisk homoseksualnych? Jeszcze gorzej. Na Zachodzie skazywano za to ludzi już nieraz.

Czyli we współczesnym świecie tylko chrześcijanie nie mają prawa do godności. I tylko na księży i zakonnice, na katolików, można publicznie szczuć. Tylko symbole tej wiary można profanować. Coś niepojętego. Musimy się temu z całych sił przeciwstawiać.

Wciąż mamy Kościół, który jest żywy. Proboszczów, którym się chce troszczyć o parafie. Biskupów, którzy chcą być wierni doktrynie. Ale sami przecież nie dadzą rady. Tym bardziej że stan epidemiczny wymusił liczne ograniczenia w życiu religijnym. Niektórzy eksperci snują wręcz pesymistyczne prognozy, że przyspieszył laicyzację Europy o dziesięć lat. Mam nadzieję, że się one nie potwierdzą.

Często nie zdajemy sobie sprawy, jak ważny jest dzisiaj każdy gest wobec atakowanych księży i zakonnic. Podziękowanie, dobre słowo. Pozytywna odpowiedź na zaproszenie do działania. Ale też, gdy trzeba, stanięcie w obronie (zawsze z koniecznym umiarem).

Dziś już wiemy, że odpowiedź na pytanie: „Czy zatrzymają się dopiero, gdy zaczną ginąć księża?", jest niestety negatywna. Nowa tyrania, która ogarnia świat, nie czuje się tu w niczym ograniczona. Dlatego tak ważne jest, by nikt zaatakowany nie był sam, a każdy atak spotykał się z ostrym potępieniem opinii publicznej i presją na przestrzeganie zapisów polskiej konstytucji.

Michał Karnowski



Reklama | 6/0121/F

eprasa.pl d4c85cc

SIECI spis treści



31 *Trzecia fala i co dalej?*
Konrad Kołodziejski



37 Zdekomunizujmy Powązki Wojskowe
Tadeusz Płużański



65-72 Dodatek specjalny
Giganci nauki PL

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **POBUDKA W BUDCE**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WZORZEC POLSKOŚCI**
Jan Pietrzak

13 **TOTALNA DESTRUKCJA**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA MATEUSZA SZYMKOWIAKA**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **DOBRA ZMIANA DLA ZWIERZĄT NA SŁUŻBIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

19 **POWIEDZIANE, ODSZCZEKANE**
Dorota Łosiewicz

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

22 **CAŁA PRAWDA CAŁĄ DOBĘ**
Stanisław Janecki

KRAJ

26 **NAJEMNIK GOWINA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

31 **TRZECIA FALA I CO DALEJ?**
Konrad Kołodziejski

34 **JAK BABCIA FILOMENA WYWALCZYŁA PRAWDĘ**
Jakub Augustyn Maciejewski

37 **ZDEKOMUNIZUJMY POWĄZKI WOJSKOWE**
Tadeusz Płużański

40 **Z PAWŁEM BORYSEM**
rozmawia Jacek Karnowski

44 **UWIEŚĆ I WYKORZYSTAĆ. METODA POLITYCZNA ADAMA MICHNIKA**
Dominik Zdort

46 **WYMAZYWANIE**
Jan Rokita

49 **NIC WIELKIEGO SIĘ NIE STAŁO?**
Piotr Filipczyk

52 **TELEFON OD „WNUCZKA” NADAL DZWONI**
Maja Narbutt

SIECI KULTURY

73 **W ŚWIECIE LADY DI**
Jolanta Gajda-Zadworna

75 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

78 **LUDZKIE CHWASTY**
Robert Tekieli

79 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

80 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

ŚWIAT

56 **DŁUGI CIEŃ TRUMPA**
Aleksandra Rybińska

58 **CZERWONE I CZARNE**
Grzegorz Górny

60 **Z O. PAWŁEM CEBULĄ OFMCONV**
rozmawia Goran Andrijanić

SPORT

62 **CHYBA JUŻ TAK MAM**
Cezary Kowalski

GOSPODARKA

82 **Z MARLENĄ MALĄG**
rozmawia Dorota Łosiewicz

85 **GRA O PRZYSZŁOŚĆ I POZYCJĘ POLSKI**
Marek Budzisz

KUCHNIA

90 **MOJE SMAKI: TOMASZ KAMMEL**
Jolanta Gajda-Zadworna

91 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

92 **CYFROWA REINKARNACJA KOMISARZY CENZURY**
Hanna Karp

94 **ODDAJMY MEDYCYNĘ LEKARZOM I PACJENTOM**
Maciej Pawlicki

96 **FELIETONY**
Lech Makowiecki, Piotr Cywiński

97 **POCHWAŁA BIBLIOTEKAREK**
Leszek Długosz

98 **NIEULECZALNA?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 40/0221/F

eprasa.pl d4c85cccd8

PGE Polska Grupa Energetyczna

MOC BAŁTYCKIEGO WIATRU W TWOIM DOMU



eprasa.pl d4c85c



Sygnalista nadaje

Poseł Lewicy Maciej Gdula co chwila prowokuje, konsekwentnie budując własną rozpoznawalność. Teraz uderzył w jedną z najpiękniejszych polskich powieści. „Moja 11-letnia córka przebrnęła przez »W pustyni i w puszczy«. Nie ma chyba w polskiej literaturze drugiej podobnej perły łączącej w takim natężeniu rasizm, kolonializm i patriarchat. Kanon lektur w podstawówce nadaje się do kosza. Przestańmy męczyć i zatruwać dzieci!”. Barbarzyńca.

Zapytany, co w takim razie powinna czytać młodzież, Gdula odpowiedział: „Zamiast »W pustyni i w puszczy«, proponuję »Cyryl, gdzie jesteś?« Woroszylskiego, zamiast »Chłopców z placu Broni« – »Wojnę, która ocaliła mi życie«, zamiast »Kamieni na szaniec« – »Pamiętnik z powstania warszawskiego« Białoszewskiego”. Klucz jest więc jasny. Nowa tyrania niczego nie oszczędzi, a najbardziej drażnią ją dzielni piękni Polacy. Tacy jak z „Kamieni na szaniec”.

I tacy jak Staś Tarkowski, któremu ojciec dał taką oto życiową radę: „Słuchaj Stasiu! Śmiercią nie wolno nikomu szafować, ale jeśli ktoś zagrozi twej ojczyźnie, życiu twej matki, siostry lub życiu kobiety, którą ci oddano w opiekę, to pal mu w łeb, ani nie pytaj, i nie czyń sobie z tego żadnych wyrzutów”. O tak, „W pustyni i w puszczy” to powieść wciąż mocno aktualna. Bo to przecież powieść o długiej drodze do wolnej Polski.

Anonimowy, ale wiarygodny list pracowników TVN to cenny dokument. Według autorów listu przed pandemią w domu zarządzającej TVN Katarzyny Kieli odbywały się liczne spotkania towarzyskie „bohemy polskiego biznesu, polityki i kultury”. Wśród gości Rafał Trzaskowski i Georgette Mosbacher. Można tylko powtórzyć pytanie zadane przez tygodnik „Sieci” już dwa lata temu: „Panie Trump, kogo pan nam przysłał?”. Pani ambasador wyjechała, a odpowiedzi właściwie brak.

Z listu wynika, że dziennikarze TVN dostali zakaz informowania o aferze wokół szczepień celebrytów. „Gdyby nie dociekliwość innych mediów, zapewne udałoby się utrzymać to w tajemnicy. Dziennikarze TVN i TVN24 wiedzieli o całej sprawie wcześniej, bo świat mediów huczał. [Mieli] zakaz informowania opinii publicznej o tym fakcie. Wprowadzono cenzurę na dziennikarski, rzetelny news. Oszukano widzów wolnych mediów”. Zakaz informowania? Cenzura? W TVN? Nie, to nie może być prawda. To ordynarne kłamstwo.

W sumie z listu wyłania się obraz telewizji mordowanej przez zachłannych i niekompetentnych właścicieli z USA. „Dziś my wszyscy, jedna z największych polskich firm, największa polska telewizja, pracuje na pensję jednego człowieka – prezesa globalnego Discovery” – czytamy. Padają konkretne liczby: David Zaslav, prezes Discovery Global, w 2018 r. miał zarobić 130 mln dol., czyli tyle, ile wynosi roczny zysk netto Grupy TVN. Globalny kapitał jest ładny na obrazku. Gorzej gdy to my sami stajemy się jego żerem.

Grzegorz Braun będzie walczył o prezydenturę Rzeszowa. „Już raz okazaliście mi zaufanie, wystawiliście mi kredyt politycznego zaufania, wysłaliście mnie do Sejmu, do Warszawy. Stamtąd wracam, by to zaufanie odwzajemnić. Przybywam zatem do Rzeszowa nie z dalekiego kosmosu, ale jako wasz poseł na Sejm RP”. Czy jedno na pewno wyklucza drugie?

eprasa.pl d4c85cccd8

O sytuacji w TVN – już pod nazwiskiem – napisał także operator pracujący do niedawna dla tej stacji. „Stawaliśmy się ofiarami mobbingu, współczesnego niewolnictwa, wykluczenia zawodowego, szantażu, odwetu. Byliśmy zmuszani przez pracodawcę do pracy po 16–17 godzin dziennie, w wyniku czego traciliśmy zdrowie. (...). Nepotyzm, łapówki, łamanie prawa pracy, szantaż, poniżanie (...)". I puenta: „Nieprawdopodobnym jest to, że telewizja ta ma czelność pouczać innych w aspekcie etyki". Chyba sypie się kolejna piękna fasada.



Donald Tusk dołączył do nagonki na prezesa Orlenu. „Problem z panem Obajtkiem jest taki, że zastanawiałbym się, czy zlecić mu prowadzenie stacji benzynowej, nie mówiąc o Orlenie. (...) Niestety trudno mówić, by była to kwitnąca firma pod władzą pana Obajtka". I dalej: „Nie ma większej różnicy między prezesami Kaczyńskim, Obajtkiem, Glapińskim czy Kurskim. Wszyscy stali się prezesami". No, ale jednego nie można im zarzucić: nie wyprzedają sreber rodowych, tylko starają się je gromadzić i rozwijać. I pewnie dlatego nie dostają niemieckich medali.

Tusk zaprzeczył także, by spotykał się z Jarosławem Gowinem. Kiedy ostatni raz się widzieli? „Lata temu, gdy ***Jarosław Gowin*** był członkiem mojego rządu" – odparł były premier. Określił Gowina jako „elastycznego polityka": „Nie zawsze wiedziałem, po której stronie jest Jarosław Gowin, nawet gdy był w moim rządzie. Nie jestem w stanie ocenić, w którą stronę skłania się ten bardzo elastyczny polityk. Strategii na tego typu polityków bym nie budował". Czasem musi się zmienić wszystko, by nie zmieniło się nic.



Marek Suski podzielił się żartem o Donaldzie Tusku: „Nocny telefon na Nowogrodzką. Tusk: – Panie prezesie, melduję wykonanie zadania! Wszystko mi wychodzi: wyszła Wielka Brytania z UE, wyszli parlamentarzyści z PO i Fidesz z EPP. Prezes: – Życzę kolejnych sukcesów". Wielu się uśmiało, ale przy tych sondażach nie można wykluczyć, że to Tusk będzie się śmiał ostatni. Lepiej uważać.



Szymon Hołownia ujawnił, jakie ma polityczne plany. „Jeśli wygramy wybory, to oczywista konsekwencja i jasne, że podjąłbym się tej [premierowskiej] misji. Jednak Polska potrzebuje też zupełnie innego modelu prezydentury (...). Mam na nią pomysł, dlatego chcę wystartować w 2025 r.". Tak, musi się spieszyć. Co będzie, gdy popierające go dzieciaki nieco podrosną i zorientują się, że to w sumie jest jeden wielki żart?

Fot. Andrzej Stawarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

Szef klubu PiS i wicemarszałek Sejmu skomentował głosowanie, w którym – wbrew stanowisku PiS – Solidarna Polska wspólnie z opozycją wezwała wicepremiera Piotra Glińskiego do złożenia informacji w sprawie procedury przyznawania wsparcia dla artystów. „Nie wiedzieliśmy, że tak będzie, pokazali nam figę, przyjmujemy to do wiadomości, będziemy działać konsekwentnie" – ocenił Terlecki, zapowiadając także: „Damy po łapkach". Cóż, jedno warto powiedzieć: drugiej szansy prawica nie będzie miała przez następne 20 lat.

Ważna zmiana w kulturze. Wspomniany Piotr Gliński odwołał ze stanowiska dyrektora Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego Dariusza Wieromiejczyka, a jednocześnie powołał na stanowisko p.o. dyrektora Roberta Kaczmarka. To niespodziewana zmiana, przeprowadzona dodatkowo w bardzo gorącej atmosferze. Czyżby w końcu uznano, że finansowanie lewicowej ofensywy w kulturze zaszło odrobinę za daleko? I kolejne pytanie: czy nie jest już za późno?

Bart Staszewski – aktywista, który zrobił karierę na promowaniu fałszywej tezy o „strefach wolnych od LGBT" – pochwalił się spotkaniem z dziennikarzami stacji Al Jazeera. „Dziennikarze byli w szoku, że takie rezolucje wycelowane w osoby LGBT istnieją w Polsce" – twierdzi. Internauci wskazali na pewną niezręczność całej sytuacji: „Brawo, rozmawia pan z telewizją finansowaną przez katarski rząd, gdzie homoseksualizm jest zakazany, kary to siedem lat więzienia lub kara śmierci". Może Staszewski i tam rozwiesiłby swoje zakłamane tablice? Wielu chętnie dorzuci się do biletu.

Poseł Joanna Senyszyn skierowała list do nowo powołanego metropolity gdańskiego abp. Tadeusza Wojdy. „Papieską decyzję o mianowaniu Pana metropolitą gdańskim przyjęłam ze smutkiem i zdziwieniem. Po papieżu Franciszku spodziewałam się decyzji progresywnej, zgodnej z ideami, które głosi, a nie okopywania się na dotychczasowych pozycjach" – oceniła. Jej prawo, ale dlaczego napisała o tym do nominowanego, a nie do papieża? To niegrzeczne.

Publicysta Jerzy Jachowicz uważa, że list jest „pretekstem", początkiem nowej drogi: „To pierwszy krok podjęty przez Joannę Senyszyn, pozwalający na nawiązanie osobistych relacji z Kościołem". Krok, który najpierw ma doprowadzić do jej spotkania z abp. Tadeuszem Wojdą, a następnie do zaproszenia nawet do Watykanu. Kto wie, czy to rzeczywiście nie jest wołanie o jakąś relację z naszą świętą wiarą katolicką? Bez niej ludzie są przecież jak ślepe kocięta.

eprasa.pl d4c85cccd8

Pobudka w budce



KRZYSZTOF FEUSETTE

Hołownia: Halo?
Budka: I co teraz, frajerze?
Hołownia: Prokop, to ty?
Budka: Prokopa to ty możesz w durszlak zarobić. Myślisz, że będziesz mi ludzi podbierał, wodzireju za dwa złote?
Hołownia: A kto mówi w ogóle?
Budka: Lider, k..., opozycji.
Hołownia: To ja sam z sobą rozmawiam?
Budka: Siedzisz, synku?
Hołownia: A za co?
Budka: Przekaz jest krótki. Po pierwsze...
Hołownia: Dobry wieczór, tu automatyczna sekretarka przyszłego prezydenta Polski 2050. Proszę zostawić wiadomość o przelewie...
Budka: Wiem, że tam jesteś. Nie było piknięcia...
Hołownia: Piii...
Budka: Nie namierzysz mnie, z budki dzwonię. Dla zmyłki.
Hołownia: Buuu....
Budka: Już się mażesz, leszczu?
Hołownia: Spokojna twoja rozczochrana, raczej ziewam, mówiąc: „Buuu...dka".
Budka: Uważaj, żeby ci mucha nie wpadła. Z Muchą czy bez i tak toniesz.
Hołownia: To raczej wasz Tusktanic tonie. No, ale jaki statek, taki DiCaprio...
Budka: Bardzo śmieszne. Mamy program.
Hołownia: A jaki? „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie?" czy „997"? Nie rozśmieszaj mnie, bo mi oczy łzawią. Akurat program to miałem ja. I on, w odróżnieniu od waszego, był naprawdę.
Budka: Nie bój się, synku, wrócisz do „Mamy cię!", zanim się obejrzysz na kolejnych plakatach. A partii mi nie podzielisz.
Hołownia: I to jest ten program?
Budka: Nie. Bo to nie jest program sensu w skrytkę, tylko na razie założenia. Na dziś. Nie wiem, czy wiesz, ale chcemy np. wszystko pootwierać. Dosyć już tej pandemii.
Hołownia: A co z TVP, IPN, CBA, TK i SN?
Budka: Ich pozamykamy.
Hołownia: Czyli przeżyją...
Budka: Słusznie. A więc poczekamy. A potem zamkniemy.
Hołownia: A będą występy artystyczne? Połykacze ognia? Tańce na rurze?
Budka: Ale gdzie?
Hołownia: W tym waszym programie.
Budka: Ty mylisz pojęcia. My mamy założenia programu dla Polski, a nie dla TVN...
Hołownia: Pamiętaj, Borys, że to, co jest dobre dla TVN, na pewno będzie dobre dla Polski.
Budka: Pamiętam. Czytałem list pracowników i trzymam budkę na kłódkę. Ale to jest program polityczny, głąbie!
Hołownia: Bez szpagatów?
Budka: Szczęka ci opadnie.
Hołownia: Pilnuj swojej. Dobra, powiem ci coś, tylko się nie załam. My już wiemy, jak to zrobić.
Budka: Ale co?
Hołownia: To, co macie w programie.
Budka: A co mamy?
Hołownia: Litości, dopiero dwa dni minęły, a ty już zapomniałeś?! To ja mam pamiętać? Ja naprawdę nie mam z kim przegrać na opozycji.
Budka: Chyba śnisz. Nie było cię, jak żeśmy rozkładali parasolki albo trzymali znicze czy róże. Jak żeśmy sobie nimi ręce kłuli i parzyli. Człowiekowi z KOD palca zwichnęli, ale ty wolałeś wtedy pajacować w telewizji.
Hołownia: Co masz na myśli? Moje relacje ze śmierci papieża?
Budka: A co, ty myślisz, że ja kazań o kremówkach nie pamiętam?
Hołownia: Nie było czegoś takiego.
Budka: Za krótko żyjesz w polityce, żebyś mógł oceniać, czy coś było, czy nie. Jeszcze nie wiesz, w co się zaplątałeś. Ty myślisz, że pana Burego za nogi złapałeś, bo ci Hennig-Kloska zaufała?
Hołownia: Zimoch też jest mój.
Budka: Kto?
Hołownia: Zimoch!
Budka: Jak jest zima, to musi być zimoch, ale o co ci chodzi konkretnie?
Hołownia: Policz posłów i oddzwoń.
Budka: Oddzwonię. Z kancelarii premiera Budki...
Hołownia: Raczej z kolejnej telefonicznej. Gdzieś w Afryce. Wy się ciągle kręcicie wokół własnej Małgosi. Prawda jest taka, że gdybym wtedy ja, skromny showman megapopularnego programu, nie podał wam ręki, to odpłynęlibyście z Kidawą na wieki wieków. Podziękujcie mnie, Kosiniakowi, Gowinowi, Czarzastemu, bo to myśmy was wyciągnęli z bagna. Sam nie wiem po co.
Budka: Ważne, że ja wiem. Ty naprawdę masz się za cudowne dziecko polityki, co? To może pokażesz politycznych rodziców?
Hołownia: Wal się.
Budka: Sam się wal.
Hołownia: Dobra, kończę z tobą. Niech Trzaskowski cię buja.
Budka: Więcej szacunku, chłopcze. Pan Trzaskowski to jest przyszła prezydentka Polski! Albo prezydent, wszystko jedno.
Hołownia: Tak, słyszałem. Człowiek awaria będzie receptą na kryzys. Dobre, bo nośne.
Budka: Martw się o swoich ekspertów, żeby nie poszli za pieniędzmi. Bo kasą możemy cię nakryć.
Hołownia: A my mamy datki od zwyczajnych niezwyczajnych. I ruchy oddolne.
Budka: My też.
Hołownia: Kłamiesz.
Budka: Sam kłamiesz.
Hołownia: Spadaj, bo ci powiem jak Lempartowa w domu do mamy.
Budka: Won.
Hołownia: Gorzej.
Budka: Wypad.
Hołownia: Jak ci wypadł, to se wkręć. Śrubkę w budkę na sto pięć.
Budka: Cham!
Hołownia: Kij ci w budę. Niedługo zobaczymy, czyj będzie na wierzchu.
Budka: Ale co?
Hołownia: Interes, Borysku, interes. Bo polityka to jest przecież gra interesów. Nie wiedziałeś? Co ty, lustra nie masz?

eprasa.pl d4c85cccd8

Enea stawia na tenis stołowy. Natalia Partyka ambasadorką marki

Enea, Polski Komitet Olimpijski i Polski Związek Tenisa Stołowego zainaugurowały współpracę sponsoringową. Celem jest m.in. wsparcie zawodników w przygotowaniach do igrzysk olimpijskich w Tokio w 2021 r. oraz zapewnienie optymalnych warunków do trenowania i startu w zawodach na arenie krajowej i międzynarodowej

O współpracy zainteresowane strony poinformowały podczas wspólnej konferencji prasowej w Centrum Olimpijskim w Warszawie.

– Zachęcamy spółki skarbu państwa do inwestycji w polski sport. To oczko w głowie. Rocznie to wiele milionów złotych płynących od różnych spółek, począwszy od Orlenu, przez mniejsze podmioty, aż do firm lokalnych. Dzisiaj do grona silnych sponsorów komitetu olimpijskiego dołącza Enea. Nasi sportowcy jednoczą wszystkich Polaków. Gdziekolwiek mieszkamy, zwycięstwa naszych sportowców przeżywamy tak samo. Życzę, byśmy w tym roku mieli wiele radości. Szczególnie tych podobnych do Atlanty, gdzie zdobyliśmy siedem medali, niż do Rio de Janeiro – powiedział Maciej Małecki, sekretarz stanu w Ministerstwie Aktywów Państwowych.

Enea już wcześniej wspierała wiele dyscyplin sportu, m.in. Polski Związek Towarzystw Wioślarskich i tenisistki stołowe KTS Enea Siarkopol Tarnobrzeg. Oprócz tego promuje edukację sportową wśród dzieci i młodzieży w ramach projektu Enea Akademia Sportu.

Prezes Enei Paweł Szczeszek podkreślał, że decyzja o współpracy z PKOl i wsparciu PZTS była wspólna i wynikała z wielu rozmów.

– Będziemy towarzyszyć zawodnikom w zmaganiach sportowych i rywalizacji w duchu fair play, ale również w dążeniach po medale. Współpraca z PZTS i PKOl to dla nas powód do radości. Jednocześnie oznacza zobowiązanie do zapewnienia konsekwentnego rozwoju sportu w Polsce – powiedział Paweł Szczeszek, prezes Enei. – Bardzo ważna dla Enei jako firmy odpowiedzialnej społecznie jest rola PZTS w promocji tenisa stołowego wśród dzieci i młodzieży. Od wielu lat angażujemy się w edukację sportową juniorów, opartą na długoterminowym rozwoju, łącząc wsparcie sportu zawodowego i szkolenie młodzieży – dodał Szczeszek.



Z kolei prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Andrzej Kraśnicki nie ukrywał, że jest zaszczycony ogłoszoną współpracą.

– Chciałbym podkreślić, że umowa została podpisana w niezwykle trudnym okresie. Wszystko na to wskazuje, że igrzyska w Tokio się odbędą. Nie są jeszcze w stu procentach określone zasady, to wszystko jest przed nami. Ale sportowcy mogą się przygotowywać do tej imprezy – powiedział Andrzej Kraśnicki, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

Enea wybrała także nową ambasadorkę marki – to Natalia Partyka, wielokrotna medalistka mistrzostw Europy oraz igrzysk paraolimpijskich.

– Cieszę się, że zostałam wybrana na ambasadorkę marki Enea, a tenis stołowy został doceniony i zauważony. My, jako zawodnicy, i władze PZTS wiemy od dawna, że w naszej dyscyplinie drzemie duży potencjał. Uważam, że wspólnie czeka na nas wiele fajnych, dobrych rzeczy. Mam nadzieję także, że moja historia kogoś zainspiruje i będzie motywacją nawet dla osób spoza sportu, np. z biznesu – skomentowała zawodniczka tenisa stołowego.

PZTS w tym roku obchodzi 90-lecie istnienia. To związek z długą historią i tradycjami, ale myśli też o dalszym rozwoju. Dwa lata temu rozpoczął realizację Narodowego Programu Rozwoju Tenisa Stołowego na lata 2018–2033.

– Umowa z Eneą jest dla nas kluczowa. Od dawna tenis stołowy był troszkę odsunięty na bok, ale dzięki pracy, którą wykonujemy od trzech lat, rozwija się nasz sport, m.in. poprzez Narodowy Program Rozwoju Tenisa Stołowego. Umowa z Eneą to także bardzo dużo energii do dalszych działań, np. lepszej organizacji szkolenia zarówno na najniższym poziomie, u podstaw, jak i na tym najwyższym. To w perspektywie przyniesie wiele radości naszemu środowisku i kibicom. Sukces jednoczy Polaków bez względu na to, w jakiej dyscyplinie zostanie osiągnięty – stwierdził Dariusz Szumacher, prezes Polskiego Związku Tenisa Stołowego.

Co ważne – PZTS ma też przed sobą Mistrzostwa Europy w Warszawie. Będą ostatnim etapem przygotowań do igrzysk olimpijskich w Tokio. Odbędą się w czerwcu, na miesiąc przed IO. Poprzednio zawody tej rangi Polska organizowała przed 10 laty.

Kamil Gieroba

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 47/0221/F

eprasa.pl d4c85cccd8

Francja

Afery byłego prezydenta

„Nie mogę zaakceptować faktu, że zostałem skazany za coś, czego nie zrobiłem” – tak w wywiadzie z dziennikiem „Le Figaro” były prezydent Francji Nicolas Sarkozy (na zdj.) skomentował wyrok, który zapadł przeciwko niemu 1 marca w paryskim Trybunale Karnym. Trzy lata więzienia, w tym dwa w zawieszeniu za korupcję i handel wpływami, to pokłosie tzw. afery podsłuchowej.

W 2014 r. śledczy podsłuchiwali rozmowy telefoniczne między Sarkozym i jego adwokatem Thierrym Herzogiem. Rozmowy dotyczyły kilkunastu śledztw i spraw sądowych, w których były prezydent był świadkiem bądź oskarżonym. W niektórych z nich, jak choćby w śledztwie dotyczącym finansowania kampanii prezydenckiej Sarkozy’ego w 2007 r. przez nieżyjącego już libijskiego dyktatora Muammara Kaddafiego, byłemu prezydentowi i politykowi centroprawicy postawiono zarzuty.

Inna sprawa dotyczyła rozpatrywanej przez sąd kasacyjny skargi Sarkozy’ego na konfiskatę przez policję jego terminarzy prezydenckich w ramach śledztwa ws. afery Bettencourt. Choć śledztwo to w przypadku byłego prezydenta zostało umorzone (dotyczyło nielegalnego finansowania centroprawicy przez spadkobierczynię koncernu L’Oréal Liliane Bettencourt, w zamian za co miano jej pozwolić ukryć miliony przed fiskusem), policja nie chciała oddać mu terminarzy. Herzog nawiązał więc kontakt z jednym z sędziów sądu kasacyjnego Gilbertem Azibertem. W zamian za pomoc w uzyskaniu korzystnego wyroku Sarkozy miał obiecać, że pomoże sędziemu zdobyć funkcję sędziego Sądu Najwyższego Księstwa Monako, o którą ten bezskutecznie zabiegał. W niczym to jednak nie pomogło, bo sąd kasacyjny odrzucił skargę Sarkozy’ego i były prezydent nawet nie próbował załatwić Azibertowi stanowiska w Monako. Mimo że ostatecznie nie doszło do protekcji, narodowa prokuratura finansowa (PNF) rozpoczęła w lutym 2014 r. śledztwo przeciwko Sarkozy’emu ws. korupcji i handlu wpływami, które zakończyło się ogłoszonymi przed tygodniem wyrokami sądowymi 1 marca dla Sarkozy’ego i Herzoga.



Wyroki oprócz tego, że nie są prawomocne (były prezydent już zapowiedział apelację), nie są także pozbawione kontrowersji. Według Herzoga podsłuchy były nielegalne i naruszyły zasadę poufności między adwokatem i jego klientem. Wsparło go ponad 3 tys. francuskich prawników. Sam Sarkozy porównał podsłuchy do metod stosowanych przez enerdowską Stasi i uznał, że jest ofiarą lewicowego środowiska sędziów.

Nie jest to jednak koniec kłopotów byłego prezydenta. Jeszcze w tym roku ma się rozpocząć kolejny proces Sarkozy’ego, tym razem ws. nielegalnego finansowania jego kampanii wyborczej w 2012 r., tzw. afera Bygmalion. Na rozpatrzenie czeka także kilka innych spraw, w tym tzw. afera Reso-Garantia od nazwy rosyjskiej firmy ubezpieczeniowej, od której Sarkozy w 2020 r. miał otrzymać 500 tys. euro za usługi doradcze, które zdaniem śledczych były lobbingiem na rzecz rosyjskich oligarchów.

Aleksandra Rybińska

Fot. Frederic Legrand-COMEO/Shutterstock.com

Tanzania

Witajcie na Zanzibarze

W czasie ferii zimowych wielu Polaków spragnionych słonecznych promieni udało się na odpoczynek na Zanzibar. Liczni celebryci zaczęli wstawiać na swoje konta internetowe zdjęcia z afrykańskiej wyspy i komentować, że najczęściej słyszanym przez nich językiem jest tam mowa... polska. Dlaczego nasi rodacy wybierają właśnie ten kierunek, a nie popularne zazwyczaj o tej porze roku Wyspy Kanaryjskie czy Egipt?

Otóż Tanzania, do której należy Zanzibar, nie wprowadziła lockdownu. Obostrzenia sanitarne trwały tam tylko trzy miesiące: od marca do czerwca 2020 r. W lipcu prezydent John Magufuli ogłosił definitywne pokonanie pandemii. Od tamtego momentu licznik zarażeń zatrzymał się na 509 przypadkach, zgonów – na 21, a władze przestały podawać statystyki dotyczące choroby. W razie problemów minister zdrowia zalecił mieszkańcom trzy metody postępowania: modlitwę, inhalację i zioła. Mimo to nie słychać, by szpitale były przepełnione, a ludzie masowo umierali.

Magufuli twierdzi, że Tanzańczycy na co dzień muszą żyć i funkcjonować z tyloma groźnymi chorobami, że w zestawieniu z nimi koronawirus nie jawi się jako szczególnie niebezpieczny. „Mamy u nas wiele wirusów, ale życie nie może się zatrzymywać z tego powodu”, twierdzi prezydent. Dlatego branża turystyczna pracuje normalnie, a na Zanzibar mogą przylatywać Polacy. Zamiast zamykać gospodarkę, władze planują zwiększenie produkcji żywności. Według nich w Afryce może dojść w tym roku do głodu, dlatego konieczne jest zgromadzenie zapasów na przyszłość.

Tanzania jako jedyny kraj w Afryce (obok Burundi) kategorycznie odmówiła też poddania się szczepieniom. Jak powiedział Magufuli: „Gdyby biały człowiek był w stanie rozwiązywać problemy zdrowotne za pomocą szczepionek, wynalazłby już szczepionkę przeciw AIDS, rakowi i gruźlicy”. Dlatego jego zdaniem nie należy się spieszyć, ponieważ możemy zostać „wykorzystani jako świnki morskie”. Wkrótce przekonamy się, czy ta strategia okaże się skuteczna.

Grzegorz Górny

eprasa.pl d4c85cccd8



Fot. Shutterstock

Chiny

Szczepionkowa dyplomacja

Od Indonezji przez Seszele i Węgry aż po Chile – wszędzie tam docierają chińskie szczepionki przeciw COVID-19. Przywódcy niektórych państw, tak jak Viktor Orbán na Węgrzech czy Joko Widodo w Indonezji, nawet publicznie zaszczepili się chińskim preparatem po to, by rozwiać sceptycyzm swoich rodaków. W skali świata Chiny rozpoczęły już dostawy ponad 500 mln dawek do 45 krajów świata. Jeśli więc mówimy o tym, że Serbia i Chile są dziś na czele listy krajów pod względem liczby zaszczepionych osób, to stało się tak wyłącznie z tego powodu, że otrzymały one tanie i łatwe w przechowywaniu chińskie specyfiki.

Pekin, który więcej szczepionek eksportuje, niż przeznacza dla swoich obywateli, uczynił z nich niezwykle skuteczny oręż dyplomatyczny, którego celem jest przede wszystkim zatarcie złego wrażenia, jakie na świecie wzbudziła polityka Pekinu w pierwszej fazie pandemii. Jest to tym łatwiejsze, że bogatsze kraje Zachodu rozdysponowały wśród siebie bardziej zaawansowane i skuteczniejsze szczepionki wielkich koncernów, takich jak Moderna czy Pfizer. Gdyby więc nie chińskie szczepionki, to mniej zasobne kraje afrykańskie, azjatyckie i południowoamerykańskie musiałyby czekać długie lata, zanim ich społeczeństwa osiągnęłyby stan „odporności stadnej". Szczególnie wymowna jest pod tym względem postawa nowej administracji amerykańskiej, która – według portalu Politico – zapowiedziała już, że Stany Zjednoczone nie przekażą szczepionki żadnemu z ubogich krajów, dopóki nie zostaną zaszczepieni wszyscy obywatele USA. Co prawda Waszyngton chce przeznaczyć dla państw rozwijających się 4 mld dol. pomocy finansowej, ale znacznie większym problemem niż brak pieniędzy jest dziś podaż szczepionek.

Zapotrzebowanie na szczepionki jest tak wielkie, że na margines zeszły już kwestie efektów ubocznych czy skuteczności chińskich specyfików. Prowadzone w wielu krajach próby kliniczne dają zastanawiająco rozbieżne rezultaty. W niektórych przypadkach mowa jest o 90 proc. skuteczności chińskich preparatów, w innych zaś o tym, że nie przekracza ona nawet 50 proc. Trzej chińscy producenci szczepionek też nie ułatwiają oceny swoich wyrobów, tradycyjnie nie odpowiadają bowiem na pytania mediów i uchylają się przed ujawnieniem wyników prób klinicznych. Media na całym świecie rozpisują się też o fałszowaniu przez Chińczyków dokumentacji medycznej. Jednak kiedy rządzący w wielu uboższych krajach mają do wyboru chiński specyfik lub niejasne obietnice pomocy z Zachodu, to ich wybór często jest oczywisty. Na skutki polityczne, jakie to za sobą pociągnie, nie trzeba będzie pewnie długo czekać.

Marek Budzisz

USA

Ekologiczny samobój

Czy Amerykanie będą musieli budować nowe kopalnie, aby przejść na zielone źródła energii? Pytanie wydaje się z pozoru absurdalne, okazuje się jednak, że jedno z drugim jest nierozerwalnie związane.

Zaczęło się od sporu o... kwiaty. Ekolodzy oskarżyli australijską firmę ioneer (pisane małą literą) o to, że jest winna zagłady rzadkiego gatunku (*Eriogonum tiehmii*), który porasta wzgórza północnej Nevady. Firma wydobywa pod tymi wzgórzami lit, który jest potem wykorzystywany w produkcji m.in. baterii stosowanych w pojazdach elektrycznych.

Agencja Reuters informuje, że ten – z pozoru nieistotny – spór może mocno pokrzyżować plany prezydenta Joego Bidena. Konflikt między firmą wydobywczą i ekologami może bowiem utrudnić uniezależnienie się Amerykanów od chińskich dostaw litu. „Nie można uzyskać zielonej energii bez górnictwa. Taka jest rzeczywistość" – powiedział Reutersowi Mark Senti, prezes firmy Advanced Magnet Lab Inc.

Prezydent Biden, który obiecał w kampanii rozwój ekologicznych źródeł energii, chce więc pozwolić firmom na dalsze wydobywanie minerałów. Ma nawet powstać więcej kopalni, choć koncerny górnicze będą musiały się liczyć z przyrodą. Domagają się tego nie tylko ekolodzy, lecz również wodzowie indiańskich plemion, którzy podczas wyborów wsparli Bidena. Obecna administracja buduje bowiem wizerunek ekipy bardzo przyjaznej mniejszościom etnicznym, a sekretarzem ds. zasobów wewnętrznych w administracji Bidena została Deb Haaland z plemienia Laguna Pueblo. Haaland jest jedną z najbardziej proekologicznych działaczek Partii Demokratycznej, popieraną przez lewe skrzydło partii. Od razu po nominacji napisała na Twitterze, że będzie „zaciekle bronić planety". Rdzenni Amerykanie i ekolodzy uważają ją za swojego reprezentanta w administracji Bidena.

Jak to pogodzić z naciskami wielkich korporacji produkujących samochody? General Motors i Tesla czekają na lit do akumulatorów elektrycznych aut. Kalifornia zamierza do 2035 r. w ogóle zakazać samochodów z silnikami benzynowymi i dieslami, a Biden obiecał w kampanii wymianę całej rządowej floty aut (640 tys.) na pojazdy elektryczne. Jednak nie da się tego zrobić bez nowych kopalni. Chyba że będzie się kupować niezbędne surowce w Chinach. A tego Biden wolałby uniknąć.

Łukasz Adamski

eprasa.pl d4c85cccd8

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wzorzec polskości



Jan Pietrzak

Dlaczego niektórzy lewicowcy – bo nie wszyscy – tak wściekle atakują pamięć żołnierzy wyklętych? Ponieważ ich czyn, ich postawa są kwintesencją polskości. W sytuacji, kiedy Polska mordowana przez niemieckich faszystów dostała się w łapy rosyjskich komunistów, zachowali się jak należy. Słowa sanitariuszki „Inki" przed rozstrzelaniem: „Powiedzcie babci, że zachowałam się jak trzeba", poruszają serca kolejnych pokoleń. Bohaterstwo „Inki" jest spadkiem po poległych wcześniej rodzicach, ale także babci, której wiara w powinności wobec ojczyzny była oczywista i niezachwiana. To rodzinny „łańcuch ludzkich istnień, połączonych myślą prostą: żeby Polska była Polską". Niezłomność myśli żołnierzy wyklętych wobec komunistów jest szczególną cechą tego bohaterstwa.

Społeczeństwo po koszmarze niemieckiej okupacji marzyło o pokoju. Liczyło na sojuszników, którym byliśmy wierni od pierwszego dnia wojny. Więcej – którzy w obronie Polski w ogóle przystąpili do walki z Hitlerem w 1939 r. To się w głowach nie mieściło, że alianci mogą nas oddać w jarzmo Stalinowi. Gdyby nie zdrada jałtańska, prawowity rząd Rzeczypospolitej wróciłby do Warszawy, żołnierze podziemia i formacji spoza kraju, byliby organizatorami, dowódcami powojennej armii.

Paroletni stan niepewności politycznej zdezorientował wiele środowisk. Ale nie wyklętych, którzy kierowani busolą polskości szybko dostrzegli karykaturalność tzw. demokracji ludowej ze Związkiem Radzieckim na czele. Zrozumieli od początku, że wszechwładne UB i NKWD na zapleczu administracji i wojska nigdy nie będą służyć Polsce, lecz zwierzchnikom w Moskwie. A to oznaczało koniec marzeń o wolności. Została walka. Walczyli do ostatniej kuli.

Zwycięstwo odnieśli dopiero po kilkudziesięciu latach, kiedy Solidarność, odzyskująca narodową pamięć, odnalazła ich tajemne groby, ujawniła niewidoczne mogiły. W Warszawie w 2009 r. dzięki usilnym zabiegom radnej Olgi Johann pojawiła się ulica Żołnierzy Wyklętych. Niedawno przeklęta czerwona hołota sprofanowała to miejsce w bezrozumnym amoku. Wypierdki Peerelu łatwo nie ustępują... Niezłomni, wystąp! Znowu jesteście potrzebni ojczyźnie!



BRONISŁAW WILDSTEIN

Totalna destrukcja



Minister Dworczyk odpowiedzialny za program szczepień przeciw COVID-19 sam zapadł na tę chorobę. Skwitować to można banalną sentencją, że wszystkiego przewidzieć ani zapobiec wszelkim zagrożeniom nie sposób. I byłaby to prawda, ale w tym przypadku w dużej mierze złudna. Dworczyk narażony był na zakażenie bardziej niż zwyczajny obywatel, a jego choroba to nie tylko jego osobisty problem. On, ale także wszyscy członkowie rządu powinni być zaszczepieni w pierwszej kolejności razem z pracownikami ochrony zdrowia. W najszerszym strategicznym wymiarze to oni odpowiadają za kampanię przeciw pandemii, a osłabienie ich zespołu, gdyż tym jest choroba, przynosić musi negatywne efekty dla sprawności państwa również w ochronie zdrowia.

Rządzący wyjaśniali, że wpisanie ich na priorytetową listę szczepień uruchomiłoby gigantyczną, wymierzoną w nich kampanię, która rykoszetem uderzyłaby również w całą antypandemiczną strategię. Tę kampanię organizowałaby totalna opozycja, i to nie tylko partyjna. Uzasadnienie to odsłania głębsze niż covid polityczne schorzenie, którego uleczenie będzie trudniejsze.

Odnotowany problem szczepienia to tylko jeden z przejawów ułomności polskiego państwa. Istotnym jego elementem są wynagrodzenia wyższych funkcjonariuszy i urzędników, które są tak niskie, że powodować zaczynają negatywną selekcję w kluczowych stanowiskach administracji, co musi się przekładać na spadek jej jakości. Można zgodzić się, że kariery w niej i w polityce nie robi się dla pieniędzy, ale zapłata to także prestiż, a jeśli jest ona bez porównania niższa niż na ekwiwalentnych stanowiskach w sektorze prywatnym, to nikt ambitny (a nie ma dobrych profesjonalistów bez ambicji) nie zaakceptuje tego czas dłuższy. Pensje określają także możliwości bytowe dla pracownika oraz jego rodziny i trudno sobie wyobrazić, aby ktoś na stałe godził się na ich poważną redukcję w imię, tak demonstracyjnie lekceważonej dziś, walki o interes wspólny. Nie wzywam do zrównania dochodów w sektorze prywatnym i publicznym, ale do zasadniczego podniesienia tych ostatnich, gdyż to, co dzieje się obecnie, urąga zdrowemu rozsądkowi i wszyscy płacimy za to wielokrotnie więcej, niż oszczędzamy na wynagrodzeniach polityków i urzędników.

Ten chory stan ma kilka przyczyn. Najbardziej znaczącą jest kampania przeciw polityce prowadzona przez siły pozapolityczne. Wielki biznes, dominujące ośrodki opiniotwórcze czy media deprecjonują demokratycznie wybranych polityków, gdyż im mniej będą oni mieli autorytetu, a więc i władzy, tym większą rolę pozapolityczne centra będą odgrywać. To podstawowy motor przekształcania demokracji w oligarchię (władzę nielicznych w swoim interesie), której kolejnym wcieleniem jest tzw. demokracja liberalna.

Dodatkowo w krajach postkomunistycznych, w których żywa jest jeszcze pamięć zdegenerowanego totalitarnego państwa, ciągle można wymachiwać jego straszakiem, chociaż obecnie borykamy się z odwrotnym problemem. W efekcie osłabiamy państwo, które jest naszym dobrem wspólnym, na rzecz sił, które zaczynają je dominować, a nad którymi nie mamy żadnej kontroli.

Brukowce, których mentalność w dużej mierze ukształtowała współczesną publiczną sferę, żerują na zawiści funkcjonującej pod szyldem obrony równości i godności. Zawiścią taką łatwo sterować, co pokazują dziś totalnie opozycyjne media prywatne w Polsce. Wszystko to osłabia działanie państwa, za co płacimy wszyscy, ale szczególnie zwykli ludzie, którzy chociaż nie zdają sobie z tego sprawy, dużo bardziej zależni są od jego instytucji, gdy elity potrafią bronić się, wykorzystując swoje zasoby.

Państwo jest dobrem wspólnym i chociaż motorem demokracji jest konkurencja, to sfery podstawowe jego funkcjonowania powinny być wyjęte spod jej logiki. Niestety w III RP, która jest w dużej mierze oligarchią, jest zupełnie inaczej. Establishment nie liczy się z niczym w obronie swojej pozycji, gdyż państwo ma dla niego wartość wyłącznie jako jego własność, gotów jest więc zrobić wszystko, aby przywrócić swój stan posiadania. Ogłoszenie po przegranych wyborach totalnej strategii opozycji wskazuje to jednoznacznie. Każda cena jest dobra za odzyskanie władzy. Pandemia okazuje się poręcznym do tego instrumentem. Liczba chorych i zmarłych na covid również nie ma znaczenia, czego dowodzą choćby teksty w „Wyborczej", które wyrażają zachwyt z powodu niestosowania się Polaków do epidemiologicznych norm. Członkowie establishmentu III RP, do którego należą szefowie organu Michnika, zrobią wszystko, aby odwojować swoje przywileje, zyski i pozycje. Nie mają podmiotowych ambicji, chętnie podporządkują się więc obcej, współcześnie umownie europejskiej – co znaczy głównie niemieckiej – dominacji, jeśli ta zapewni im kontrolę nad „tym krajem". Ilu ludzi jaką cenę za to zapłaci, to już ich nie interesuje.

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl d4c85cccd8



Walizka Mateusza Szymkowiaka

dziennikarza i prezentera telewizyjnego

Niezależnie od pory roku, kierunku czy środka lokomocji uwielbiam podróżować. Chcę jak najwięcej przeżyć, doznać, zobaczyć, więc potrzebuję podróży jak oddychania. To moja pasja, którą zaszczepili mi rodzice. To wielka radość, że nierozerwalnie wiążą się one także z moją pracą. Do niezapomnianych wyjazdów na pewno zaliczam dwumiesięczną wycieczkę objazdową po Stanach Zjednoczonych, niejedne wakacje nad Morzem Śródziemnym, ale też Tel Awiw, skąd w 2019 r. relacjonowałem Konkurs Piosenki Eurowizji. Lubię też podróżować po Polsce, wracać do swojego rodzinnego Skarżyska, odpoczywać w Trójmieście czy czerpać pozytywną energię z niezwykłej Bydgoszczy.



KINDLE

Nie wyobrażam sobie podróżowania (ani w ogóle życia!) bez czytania książek. Żebym nie musiał się decydować na zabranie jednej czy dwóch pozycji w wersji papierowej, chętnie korzystam z Kindle'a i zawsze mogę czytać to, na co akurat mam ochotę.



SŁUCHAWKI

Muzyka towarzyszy mi każdego dnia – w domu, samochodzie, ale też w pracy podczas programów i koncertów muzycznych. Słuchawki to mój codzienny must have.



APARAT

Zdjęcia robione polaroidem to świetna forma pamiątki. Jadąc na wakacje z przyjaciółmi, zabieramy swoje polaroidy, a na koniec wyjazdu możemy się wymieniać zdjęciami.

OKULARY Z NAKŁADKĄ PRZECIWSŁONECZNĄ



Raczej nie lubię nosić soczewek, wyjątek zrobiłem w zeszłym roku podczas prowadzenia ceremonii otwarcia Eurowizji Junior w Warszawie. W każdej podróży towarzyszą mi nie tylko okulary korekcyjne, lecz i nakładka przeciwsłoneczna.

eprasa.pl d4c85cccd8





WITAMINY

Zdrowie jest najważniejsze. Korzystam z suplementów jako uzupełnienia dobrze zbilansowanej diety. Forma i zdrowy silny organizm to dla mnie podstawa.



GŁOŚNIK

Na wyjazdy ze znajomymi zawsze zabieram głośnik. To niezbędnik każdego wspólnego wakacyjnego spotkania.



BIDON FILTRUJĄCY WODĘ

Nie lubię bezsensownego kupowania wody w plastikowych butelkach. Dbanie o środowisko to ważny dla mnie temat. Butelka filtrująca wodę jest praktyczna i wygodna w użytkowaniu.

PRZEKĄSKI

Zawsze w podróży staram się mieć z sobą przekąski. Nagły spadek cukru i energii uratuje tylko mój ulubiony baton.



NERKA

Dokumenty, klucze, słuchawki, telefon, ładowarka, zapasowe maseczki... Bez podręcznej nerki nie wiem, gdzie bym to wszystko trzymał bez zgubienia przynajmniej połowy.





NOTES MOLESKINE

Zdarza się, że elektronika zawiedzie, ale nawet wtedy jestem przygotowany.

LAPTOP

Praca reportera to godziny spędzane przed ekranem komputera w każdej, nawet wolnej chwili. W podróży lubię na spokojnie odpisać na zaległe e-maile i planować kolejne zawodowe wyzwania.





KURTKA

Mrozy, które zaskoczyły nas w tym roku, skłoniły mnie do zadbania o bardzo ciepłą kurtkę w szafie. Jej wielką zaletą jest możliwość złożenia w kostkę bez zagnieceń po rozłożeniu, dzięki czemu mieści się w każdej walizce i torbie podróżnej.



PERFUMY

Perfumy to moja mała pasja. Uwielbiam odkrywać i testować nowe zapachy. Zawsze mam przy sobie flakon lub dwa moich aktualnie ulubionych zapachów.



KOLOROWE GOLFY

To mój znak rozpoznawczy! Jesienią i zimą uwielbiam nosić golfy zarówno solo z jeansami, jak i pod eleganckie marynarki. Mam już w swojej szafie sporą kolekcję, która wciąż rośnie.

INSTAGRAM

Nie mam Facebooka, ale uwielbiam Instagram. Pasjonuje mnie oglądanie na nim pięknych zdjęć, a wręczanie instagramowych serduszek ma dla mnie fajny, bardzo pozytywny wymiar.



Wysłuchał i zapisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4c85cccd8

OGNIEM NA WPROST

Gdańsk niedobry dla gejów



Trzy lata temu na weselu ówczesnej szefowej MSZ z nominacji narodowej Wolnościowej Partii Austrii Karin Kneissl pojawił się niezwykły gość. Był nim sam Władimir Putin. Upłynęło trochę wody w „pięknym, modrym Dunaju", a tu świat obiega informacja, że była już minister otrzymała posadę w... Rosniefcie. Kneissl została przez Kreml wyznaczona do rady dyrektorów państwowego giganta naftowego. Warto przypomnieć, że od 2017 r. szefem tego gremium jest nie kto inny, jak były niemiecki kanclerz Gerhard Schröder. I tak niemiecko-austriacka parka przepycha w Unii Europejskiej Nord Stream 2. Poza tym ciekawe, skąd się biorą te prorosyjskie ciągoty u europejskich (także naszych) „wolnościowców".

74 tys. osób podpisało się do tej pory pod petycją przeciw brytyjskiej reklamie znanej marki spożywczej Cadbury. W jednym z jej najnowszych klipów widać obejmującą się parę, trzymającą w ustach czekoladowe jajko. Jedna z osób przegryza je, co sprawia, że na jej usta wylewa się jasny krem, co „podgrzewa" atmosferę. Problem polega nie tyle na obscenicznej treści reklamy, ile przede wszystkim na tym, że jest to para gejów. Gdyby taka scena odegrana została tylko z udziałem mężczyzny i kobiety, zapewne materiał ten zostałby szybko zdjęty z ekranów z powodów obyczajowych. Jednak pozycja środowisk LGBT w Wielkiej Brytanii jest na tyle mocna, że żaden decydent nie ma odwagi z nim zadrzeć. Polecany przez reklamę Creme Egg jest bardzo chętnie kupowany przez młodych Brytyjczyków z okazji Wielkanocy. Jej twórcy nie kryją zresztą, że to najmłodsi są właśnie adresatami tej homomarketingowej zagrywki.

A Gdańsk, zdaniem tamtejszej filii „Gazety Wyborczej", nie chce się dzielić dobrami z osobami heteronienormatywnymi. Jako przykład autorka tekstu podała Adama i Igora. To „para gejów, którzy uciekli z Łodzi, gdzie »prawdziwi Polacy« powybijali im w domu szyby w oknach, i przyjechali do Gdańska, do »miasta wolności i solidarności, miasta szczodrego, które dzieli się dobrem«". Dziennikarka pochwaliła się na wstępie, że ma doktorat z literatury o Zagładzie Żydów: „Przeczytałam tysiące stron o tym, jak ludzie byli zabijani za kolor oczu, barwę skóry, fryzurę, za »żydowskie spojrzenie«". Jak musieli się ukrywać, żyć w szafie, oddawać ostatni kawałek chleba za jeszcze jeden dzień życia". Obecnie, według niej, „nie zabija się ich [osób LGBT i coś tam], ale wsadza do więzień, bije na ulicach, pluje im się w twarz". Jakby tego było mało, właściciel mieszkania, które geje wynajęli, sprzedał je razem z nimi. Nowy właściciel chce ich wyrzucić teraz na ulicę. „Sąsiedzi krzyczą z okien »pedały«. Rodziny się od nich odwróciły, bo są razem, a urzędnicy i władze Gdańska nie mają dla nich 35 mkw. mieszkania komunalnego" – pisze autorka. „Dlaczego nie kupią sobie mieszkania?" – zapytuje wreszcie słusznie dociekliwa dziennikarka i niebawem sama udziela sobie oraz czytelnikom odpowiedzi: „Bo nie mają zdolności kredytowej". Po czym kontynuuje myśl: „Na jeden metr kwadratowy mieszkania musieliby pracować trzy miesiące, bez picia i jedzenia. Na 35 mkw. – 105 miesięcy, czyli prawie dziewięć lat. Trudno tyle czasu nie jeść i nie pić". W Gdańsku dziesiątki bezdomnych oczekują na przydział mieszkania. Pytam więc, dlaczego to niby nietypowy sposób pożycia seksualnego miałby uprawniać parę do przeskoczenia kolejki? Najlepiej niech jeden z drugim zmienią pracę, wezmą kredyt, że posłużę się tu wskazówką klasyka, i przestaną świrować, że cierpią jak Żydzi w getcie podczas niemieckiej okupacji.

Coś dla odreagowania. Skrzydlaci jeźdźcy wierzą, że zaraza ich nie pokona i będą mogli pokazać publice swe umiejętności. Wiele osób i grup stara się zorganizować Turniej Husarski. „Wciąż też można się zgłaszać, wystarczy chęć, a my pomożemy zorganizować superemocjonujące wydarzenie. Jesienią zgłosiło się aż 13 podmiotów, by gościć u siebie husarzy. Do końca kwietnia mamy nadzieję, że podamy pełen harmonogram" – mówi Dariusz Wasilewski, koordynator powstałej Polskiej Ligi Husarskiej, a jednocześnie czynny husarz z Białegostoku. Jak na razie w harmonogramie znalazły się m.in.: 1 maja – III Ogólnopolski Turniej Husarski o pierścień Namiestnika; Zamek w Golubiu-Dobrzyniu; 26–27 czerwca – Piastowski OTH; Chojna (k. Szczecina i Cedyni); 7–8 sierpnia – Gniewski OTH; Vivat Vasa, Zamek w Gniewie. Kto chce zobaczyć husarzy w pełnym galopie, używających szabli, pałasza, koncerza czy kilkumetrowej kopii, koniecznie powinien uczestniczyć w jednym z turniejów husarskich. Pamiętajmy, że „póki husarz kopią nieboskłon podpiera, Rzeczypospolita stać będzie".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4c85cccd8

Dobra zmiana dla zwierząt na służbie



Marta Kaczyńska-Zielińska

W policji oraz pozostałych formacjach podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji służy ponad 1,2 tys. psów i kilkadziesiąt koni. Głównymi rasami psów wykorzystywanych w policyjnej służbie są owczarki niemieckie i owczarki belgijskie malinois. Psy innych ras mogą zostać zakwalifikowane do pracy, o ile posiadają odpowiednie predyspozycje psychiczne i fizyczne. W Państwowej Straży Pożarnej pracują w większości labradory i golden retrievery. Straż Graniczna ma w swoich szeregach owczarki holenderskie, labradory, cocker spaniele i jack russel teriery. Psy pełnią swoje obowiązki przez 8–10 lat.

Konie pozostają w dyspozycji zarówno policji, jak i Straży Granicznej, odgrywając szczególną rolę na trudno dostępnym odcinku granicy w Bieszczadach. Pracują do ukończenia 15. roku życia, a jeśli pozwala na to ich stan zdrowia, to dłużej.

Każdego roku ok. 10 proc. zwierząt obdarzonych wyjątkowymi predyspozycjami i mających za sobą lata ciężkiej pracy jest wycofywanych ze służby i przechodzi na „emeryturę". Obecnie ich status po zakończeniu służby nie jest jednoznacznie uregulowany.

1 marca br. MSWiA przekazało do konsultacji społecznych projekt ustawy, której przepisy nakładają na państwo obowiązek dożywotniego utrzymania i zapewnienia opieki weterynaryjnej dla zwierząt należących do służb podległych temu ministerstwu. Po raz pierwszy w historii status prawny psów i koni pozostających w dyspozycji wymienionych organów ma szansę zostać uregulowany i ujednolicony. Projekt stanowi odpowiedź na potrzeby wyrażane przez środowisko funkcjonariuszy powodowanych troską o los swoich czworonożnych współpracowników i przeświadczeniem o konieczności zapewnienia każdemu z nich jednakowo godnych warunków egzystencji.

Nowe przepisy obejmują jednak nie tylko sprawy związane z emeryturą zwierząt, ale mają regulować ich status, począwszy od zakupu, poprzez czas realizacji zadań w poszczególnych formacjach, aż po ich sytuację „na emeryturze".

Ustawa sprecyzuje obowiązki opiekunów zwierząt, m.in. związane z zapewnieniem podopiecznym prawidłowego utrzymania obejmującego: racjonalne żywienie, stały dostęp do czystej i świeżej wody, pielęgnację i utrzymanie w czystości, dbanie o stan zdrowia i kondycję, w tym poddawanie terminowym szczepieniom i zabiegom profilaktycznym czy też zapewnienie możliwości codziennego ruchu. Zwierzęta przechodzące w stan spoczynku będą przekazywane pod opiekę osób spełniających określone w przepisach kryteria, a pierwszeństwo w przejmowaniu opieki będzie miał dotychczasowy opiekun, o ile wyrazi taką wolę. Jeżeli żadna z uprawnionych osób (tj. inny funkcjonariusz, pracownik cywilny formacji, emerytowany funkcjonariusz bądź funkcjonariusz rencista) nie wyrazi woli przejęcia opieki nad zwierzęciem, będzie ona sprawowana w ramach określonej jednostki lub komórki organizacyjnej danej formacji. Ostatecznym rozwiązaniem będzie możliwość powierzenia opieki nad zwierzęciem organizacji społecznej, której statutowym celem działania jest ochrona zwierząt.

Przepisy zaproponowane przez ministerstwo charakteryzują się dużą szczegółowością mającą na celu zapewnienie jak najlepszych warunków dla zwierząt i bez wątpienia świadczą o zasadniczej zmianie cywilizacyjnej, która zaszła w ostatnich latach w zakresie traktowania naszych braci mniejszych. Dziesięć lat temu media obiegła informacja o petycji środowiska celników w związku z zarządzeniem ówczesnego ministra finansów z listopada 2011 r., które nie przewidywało jakiejkolwiek opieki dla psich emerytów, a w pewnych okolicznościach dopuszczało możliwość usypiania psów zwolnionych ze służby. Ówcześni decydenci tłumaczyli, że idzie o eutanazję możliwą wyłącznie w odniesieniu do zwierząt nieuleczalnie chorych, ale wielu osobom wspomniane przepisy wydawały się w tym zakresie niewystarczająco jednoznaczne.

REKLAMA



35/0221/F

eprasa.pl d4c85cccd8

RZECZY POSPOLITE

Unijna katastrofa



Tomasz Łysiak

Unia Europejska od początku kryzysu związanego z COVID-19, mówiąc kolokwialnie, daje ciała. Po raz pierwszy zbaraniała w marcu 2020 r. Komisje, urzędy, które na co dzień zajmowały się pouczeniami i strofowaniem Polski oraz Węgier, nagle – gdy przyszło do sprawdzianu sprawności działania instytucji – zniknęły, zapadły się pod ziemię, rozpłynęły w brukselskiej mgle.

Państwa członkowskie były zdane same na siebie wobec nadciągającego kryzysu epidemicznego i katastrofy gospodarczej. Nie funkcjonowała żadna spójna strategia walki z koronawirusem. Gdy w Lombardii brakowało respiratorów – nikt z Brukseli Włochom nie pomagał. Pomogły austriackie czy niemieckie szpitale, ale na własną rękę. Co dalej? Państwa wprowadzały odrębne przepisy, regulacje, i nawet tak ważne sprawy, jak zamykanie czy otwieranie granic, musiały się dokonywać przez podejmowanie decyzji w gabinetach rządowych każdego kraju z osobna. Innymi słowy: unijna porażka na całego.

Odbudowaniu wizerunku miały służyć mechanizmy pomocowe związane z finansami – przede wszystkim słynny Fundusz Odbudowy. Zamiast jednak zrobić z niego skuteczne, dobre narzędzie do ratowania ekonomii, unijni urzędnicy postanowili upiec drugą pieczeń i przy okazji znów wytoczyć wojenkę krnąbrnym członkom unijnej wspólnoty, czyli Polsce i Węgrom. To spowodowało opóźnienia i perturbacje.

Wreszcie – wydawałoby się – prawdziwe panaceum na problemy w znaczeniu podwójnym: i tym konkretnym dotyczącym choroby, i tym przenośnym: szczepionki przeciwko COVID-19 oraz cały system zarządzania zamówieniami, dostarczaniem ich do poszczególnych krajów. Tu znowu nastąpił blamaż na całej linii. Po pierwsze, coś, co miało być z założenia wspólnotowe (czyli solidarne rozprowadzanie szczepionek poprzez system wspólnych unijnych zamówień), zostało najpierw położone na łopatki przez Niemców, którzy w grudniu przyznali, że od BioNTechu kupują sobie sami na wolnym rynku. W stylu „Kto bogatemu zabroni?".

A potem się okazało, że spartaczono kwestie umów z producentami szczepionek i gdy ci nie wywiązują się z terminów dostaw, to trudno jest ich za to ukarać. W związku z tym europejska kampania szczepień została opóźniona.

„Jaka piękna urzędnicza katastrofa" aż chciałoby się krzyknąć i zatańczyć na plaży taniec Greka Zorby. Ale tańczyć teraz nigdzie nie wolno.

Kapitalnie, że z nami wyruszyli

Z reżyserem Bartoszem Konopką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Niemiec/AKPA

W czasie pandemii każda premiera cieszy po wielokroć. Co zobaczymy 8 marca o godz. 21 na scenie Teatru Telewizji?

Bartosz Konopka: Wśród dziesięciorga pasażerów ekskluzywnego statku „Lewiatan" znajduje się morderca. Starają się go wytropić: komisarz Gauche (Piotr Głowacki) i rosyjski arystokrata Fandorin (Piotr Żurawski). To adaptacja klasycznego kryminału Borisa Akunina, ale ze współczesną perspektywą, bo produkcje historyczne mają dla mnie sens tylko wtedy, gdy mówią też coś ciekawego o nas dzisiaj.

I co zobaczył pan w „Lewiatanie"?

Intrygującą psychologiczną opowieść o ludziach skazanych na siebie, wśród których z jednej strony pożądanie skarbu – być może ukrytego gdzieś na statku – z drugiej strach przed mordercą powodują uwolnienie ukrytych żądz: chciwości, zazdrości, zawiści. Niezwykle ciekawa jest analiza, jak szybko te żądze przejmują nad nami kontrolę, jeśli nie staramy się nad nimi zapanować. I to już jest uniwersalny przekaz. Dodatkowo udało się opowiedzieć tę historię ze świadomością nowoczesnego kina historycznego – filmów Guya Ritchiego o Holmesie czy serialu „The Knick" Soderbergha.

Zebrał pan też świetną obsadę: Karolina Gruszka, Maria Dębska, Piotr Głowacki...

Kapitalnie, że z nami wyruszyli. W przypadku Piotrka był to rejs zupełnie inny niż w serialu „Nieobecni", nad którym pracowaliśmy przez miniony rok. Tam policjant z zespołem Aspergera, tu postać bliższa „80 milionom" Krzystka. Z obu tych ról wykrzesał niesamowite rzeczy.

eprasa.pl d4c85cccd8

Powiedziane, odszczekane

Na szczęście już kilka godzin później ktoś powiedział rządowemu doradcy, że polscy przedsiębiorcy maseczki jednak szyją

Prof. Andrzej Horban, główny doradca premiera ds. COVID-19, typuje, że za chwilę będzie 16–20 tys. nowych zakażeń koronawirusem dziennie. Być może nawet, kiedy państwo czytają ten felieton, przewidywania pana profesora już się sprawdziły. Tak sobie jednak myślę, że może najwyższa pora, żeby doradca premiera, zamiast chodzić po mediach i opowiadać, jak rozwinie się epidemia, zajął się wreszcie doradzaniem rządowi, co zrobić, by tych zakażeń było mniej, bo chyba taka powinna być rola rządowego doradcy. Tymczasem profesor opowiada, co mu ślina na język przyniesie, a skutki tego obciążają samego szefa rządu.

Parę dni wcześniej prof. Horban doradził polskim przedsiębiorcom, by przekwalifikowali się na szycie maseczek. „Od roku jest epidemia... Troszeczkę tutaj bym do wszystkich panów przedsiębiorców, którzy mówią, że nie mają z czego żyć... A gdyby się wzięli za produkcję masek, to mieliby z czego żyć" – zawyrokował doradca premiera z gracją słonia w składzie porcelany lub butą Bronisława Komorowskiego. W 2015 r. podczas przedwyborczego spaceru ulicami Warszawy Komorowski radził młodemu człowiekowi, jak żyć za 2 tys. zł: „Zmienić pracę. Wziąć kredyt". Wszyscy jednak pamiętamy, czym to się skończyło dla byłego prezydenta.

Na szczęście już kilka godzin później ktoś powiedział rządowemu doradcy, że polscy przedsiębiorcy maseczki jednak szyją. „Przedsiębiorcy stanęli na wysokości zadania i nie tylko produkują, ale i eksportują maseczki. To poniekąd zmusza mnie do tzw. staropolskiego odszczekania tego, co mówiłem. Jestem dumny, że jednak produkujemy maseczki" – ucieszył się w programie „Newsroom.wp.pl" prof. Horban, uważając temat za zamknięty. Przedsiębiorcy raczej jednak tych słów szybko nie zapomną.

To jednak nie koniec wpadek pana profesora. Doradca premiera popisał się np. całkowitym brakiem wiedzy o tym, ilu jest seniorów w Polsce. Twierdził w jednym z wywiadów, że w naszym kraju żyje ok. 2 mln osób 60 plus. Jednak według danych GUS jest ich ponad 9,7 mln. Wydaje się, że tych parę milionów ludzi to istotna liczba dla kogoś, kto odpowiada za strategię walki z epidemią, w którą troska o seniorów powinna być mocno wpisana.

Zupełnym skandalem były jednak słowa doradcy o liczbie zgonów w Polsce. Trochę ponad miesiąc temu prof. Horban przyznał niefrasobliwie, że „i tak szczęśliwie się złożyło, że umiera tylko dwa razy więcej ludzi niż normalnie, a nie np. pięciokrotnie jak w Lombardii". To był jego komentarz do danych Ministerstwa Zdrowia, z których wynika, że w 2020 r. zmarło w Polsce 29 tys. osób, u których test wykazał SARS-CoV-2. W tym samym roku w Polsce zmarło 486 tys. osób, czyli o 82,3 tys. więcej niż średnio w ciągu czterech poprzednich lat (wzrost umieralności o ponad 20 proc.). To niestety oznacza, że ludzie umierają z powodu ograniczenia im dostępu do ochrony zdrowia. I tu znów profesor zapomniał, że jego robota powinna polegać na tym, żeby jak najmniej ludzi umierało, a nie na tym, by ogłaszać sukces, że umiera ich „tylko" dwa razy więcej niż normalnie.



A może umierałoby mniej, gdyby nie otwarta wojna, jaką prof. Horban wypowiedział amantadynie? Choć nie mamy jeszcze wyników dwóch prowadzonych w Polsce badań klinicznych na temat skuteczności amantadyny w leczeniu COVID-19, Rada Medyczna mocą swego autorytetu stwierdziła, że lek jest nieskuteczny i nie zaleca się stosowania go w tej chorobie. Co więcej, przy każdej nadarzającej się okazji prof. Horban opowiada o toksyczności i szkodliwości amantadyny, mimo że w 2009 r. sam zalecał ją w leczeniu grypy. A przecież skład leku się nie zmienił. Nawet jeśli przestała być skuteczna w leczeniu grypy typu A, to nie stała się z dnia na dzień trucizną. Na szczęście, mimo stanowiska Rady Medycznej, Ministerstwo Zdrowia wydało w ostatnim czasie zgody na czasowe dopuszczenie do obrotu na terenie Polski ponad 100 tys. opakowań leku Viregyt-K sprowadzanych z innych krajów.

Aż samo ciśnie się na usta pytanie, czy i w tej sprawie prof. Horban będzie musiał odszczekiwać (przypomnę: to jego słowa)? Jakoś bym się nie zmartwiła.

Dorota Łosiewicz

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

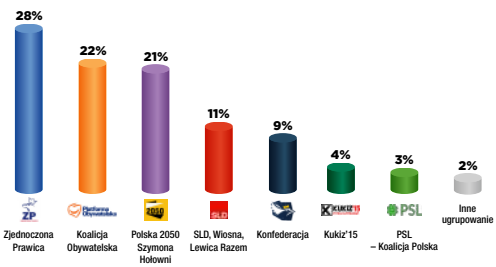
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, MARCIN KMIECIŃSKI /STREFAGMAZD/PAP, RAFAŁ GUZ/PAP, KURNIKOWSKI/AKPA, ENGELBRECHT/AKPA, BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS 2X, TOMASZ URBANEK/DOTWIN/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

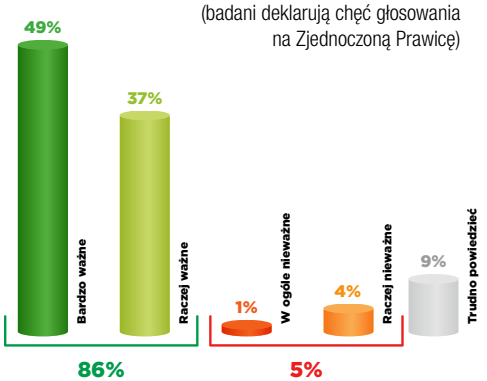
Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Czy popiera Pani/Pan starania o wypłatę odszkodowania przez Niemcy dla Polski za zbrodnie i zniszczenia podczas II wojny światowej?



Na ile jest dla Pani/Pana ważne zachowanie jedności i uniknięcie rozłamu w Zjednoczonej Prawicy?
(badani deklarują chęć głosowania na Zjednoczoną Prawicę)



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1071.

Zakres czasowy badania 26 lutego – 1 marca 2021 r.

Reklama 1/0321/F

eprasa.pl d4c85cccd8



eprasa.pl d4c85ccdd8



Cała prawda całą dobę

Wskutek wojny w rodzinie TVN opinia publiczna poznaje głębokie mechanizmy działania tej telewizji i może się wyzbyć złudzeń



STANISŁAW JANECKI

3 października 1997 r. o godzinie 19 dokonał się w Polsce cud. A 1 marca 2021 r. ogłoszono dramatyczny koniec cudu. Cudem było powstanie telewizji TVN, końcem cudu zaś list „pracowników TVN" przesłany do 142 adresatów w Polsce i na świecie zatytułowany „TVN Grupa Discovery – destrukcja". Zwiastunem końca cudu był wpis na Facebooku operatora Kamila Różalskiego (26 lutego 2021 r., po polsku i angielsku) „TVN SA/Discovery Inc. – łamanie prawa i patologie". Sygnałem, że mogą się pojawić obwieszczenia o końcu cudu, była afera związana z zaszczepieniem się poza kolejnością (w ramach szczepień dla pracowników służby zdrowia) sztandarowych postaci TVN: Katarzyny Kieli (z mężem) i Edwarda Miszczaka (z partnerką).

Wszystko, co się dzieje wokół TVN, nie jest sprawą między firmą a jej pracownikami, nie jest wewnętrznym problemem korporacji, chodzi bowiem o nadawcę nie tylko mającego wpływ na rynek telewizyjny, lecz także na polskie życie społeczne, polityczne, kulturalne. Nie jest to zatem tylko kłótnia w rodzinie. Chodzi raczej o wojnę o rząd dusz w Polsce, której skuteczność stanęła pod znakiem zapytania wskutek zmian w kierownictwie i restrukturyzacji. Pod pozorem dbałości o standardy, w tym etyczne, w całej tej batalii chodzi o strach, czy telewizja TVN będzie mogła odgrywać swoją dotychczasową rolę: nie tylko obserwatora i korektora politycznej, społecznej czy kulturowej rzeczywistości, lecz również jej kreatora, na co wiele lat temu zwrócił uwagę m.in. reżyser Andrzej Wajda. Uznał on TVN za główny zasób jednej strony politycznego, ale też kulturowego konfliktu, i nikt wtedy tego nie kwestionował.

Obiektywnie TVN jest zasobem określonej opcji politycznej, społecznej czy kulturowej niezależnie od deklaracji czy nawet intencji ludzi kierujących tą stacją i w niej zatrudnionych. Tak ją przecież traktują zarówno opozycyjne partie, jak i inne media, środowiska opiniotwórcze, kulturalne, naukowe, mające wpływ na gusty i wybory estetyczne, współtworzące wizję Polski i świata w ramach ostatecznego, docelowego modelu historii, jakim jest liberalna demokracja (ze znaczącym skrętem w lewo). To się nie zmieniało mimo zmian właścicielskich oraz w obrębie ciał zarządczych i nadzorczych. Telewizja TVN zachowała swoje DNA (ideowe i kulturowe) w czasie, gdy od powstania do

Fot. Grand Warszawski/Shutterstock

eprasa.pl d4c85cccd8



lipca 2001 r. prezesem był Mariusz Walter, wtedy gdy (do września 2009 r.) zarządzał nią jego syn Piotr Walter, za prezesury (do lipca 2016 r.) Szwajcara Markusa Tellenbacha, podczas rządów Jima Samplesa (w rok po przejęciu TVN przez Scripps Networks Interactive), gdy TVN przejęła Grupa Discovery i prezesem był (od maja 2018 r. do września 2020 r.) Piotr Korycki. I zachowała swoje DNA – wbrew temu, co napisali „pracownicy TVN" – także wtedy, gdy stacją (formalnie i nieformalnie) zaczęła kierować Katarzyna Kieli. Cel i oblicze się nie zmieniały. Zmieniały się tylko metody zarządzania. Ale czy faktycznie aż tak bardzo, jak to sugerują „pracownicy TVN" i operator Kamil Różalski? A może po prostu każda ekipa była „dobra" dla swoich, a „niedobra" dla tych, którzy swoimi być nie mogli?

SIELANKOWY KICZ

Formalny powód „wojny w rodzinie" jest stary jak świat – pieniądze. „Pracownicy TVN" uważają, że Discovery chce udowodnić, przede wszystkim amerykańskim akcjonariuszom, że potrafi zarabiać pieniądze. Kosztem takich „tygrysów" jak TVN. „Pracownicy TVN" twierdzą jednak, że „Discovery to przestarzała machina kontentu telewizji kablowej, która w pewnym momencie nie postawiła na rozwój, przespała moment", więc „dziś została już wykluczona z gry". W efekcie „chwilowy wzrost akcji Discovery na amerykańskiej giełdzie to zachłyśnięcie się akcjonariuszy czymś nowym, co tak naprawdę zaraz znowu okaże się starym, tylko w inny sposób sprzedawanym". I chociaż „dzisiaj gra toczy się najprawdopodobniej o wzrost kursu akcji Discovery na amerykańskiej giełdzie (w ciągu dwóch miesięcy wzrost o 100 proc.)", to w istocie chodzi o „roczny bonus dla Davida Zaslava, prezesa Discovery Global". A jeśli tak, to „dziś my wszyscy, jedna z największych polskich firm, największa polska telewizja, pracuje na pensję jednego człowieka". I ten trywialny w gruncie rzeczy cel miałby pogrzebać tak wspaniałe dzieło jak TVN. Wspaniałe dlatego, że – jak napisali „pracownicy TVN": „Wszyscy chcieli pracować w TVN, a Mariusz Walter chciał pracować ze wszystkimi, którzy mogli pomóc mu w tworzeniu i rozwoju stacji. Były to największe telewizyjne gwiazdy, najlepsi reporterzy, producenci, ludzie marketingu, techniki, sprzedaży, a nawet asystentki". Było wspaniale, gdyż „szefowie znali wszystkich, bo chcieli ich znać. Chcieli wiedzieć, co ludzie robią, jak żyją, a ci ludzie – my, ceniliśmy sobie każdy dzień spędzany razem w pracy. Ceniono nas za nasze kompetencje i ufano nam". Innymi słowy, raj na ziemi. I ten raj trwał po zmianie właściciela: „Mariusz Walter starał się przekazać telewizję TVN w możliwie najlepsze ręce. [...] Dla niego najważniejsze było to, co dalej wydarzy się z telewizją TVN, jaki kierunek obierze i czy jego ludzie dalej będą mogli tworzyć najlepszą polską telewizję". Oczywiście tworzyli: „Nowi amerykańscy właściciele i ich menedżerowie przylatywali do Polski, do TVN, często i chętnie. Patrzyli na TVN z wielkim podziwem, a pytani, co chcecie zmienić, odpowiadali: nic, bo ta maszyna działa idealnie". Sam „Jim Samples mówił: »To niesamowite, jak dobrze to wszystko działa i jak jest zaplanowane«".

> W TVN „orwellowska rzeczywistość stała się faktem. Nepotyzm, łapówki, łamanie prawa pracy, szantaż, poniżanie, łamanie RODO i inne patologie stały się chlebem powszednim" – napisał operator pracujący w tej stacji

Sielankowy obraz malowany przez „pracowników TVN" służy pokazaniu różnicy po przejęciu TVN przez Discovery, a szczególnie po pozbyciu się zasłużonych dla stacji menedżerów i nastaniu ery Katarzyny Kieli. Dlatego wydaje się, że za listem „pracowników TVN" stoją ci menedżerowie, którzy jeszcze w stacji zostali, ale spodziewają się, że ich dni tam są policzone. Oni byli do cna profesjonalni i etyczni, ci nowi zaś są tych cech pozbawieni. Każdy, kto cokolwiek wie o TVN, ten sielankowy obraz uzna za oczywisty kicz. Trzeba by bowiem mieć amnezję na to, co się działo w związku ze zwolnieniem na początku 2004 r. (po prawie siedmiu latach pracy) Tomasza Lisa, twarzy „Faktów". A chodziło o jego polityczne ambicje (w sondażu PBS miał 43 proc. poparcia, gdyby startował w wyborach prezydenckich), które nie pokrywały się z interesami stacji. Trzeba by zapomnieć o kulisach rozstania stacji (po prawie dziewięciu latach) z Kamilem Durczokiem (twarzą „Faktów"). W stacji powołano specjalną komisję badającą zarzuty o mobbing i molestowanie. Trzeba by zapomnieć o „odkryciu" (odkrywcą była Joanna Komolka) na taśmie z kokpitu samolotu, który rozbił się w Smoleńsku, słów (kompletnie zmyślonych): „Jak nie wyląduję, to mnie zabije/zabiją". Trzeba by nie pamiętać o przypisaniu przez Katarzynę Kolendę-Zaleską (obecnie nie tylko dziennikarkę, lecz i prezes Fundacji TVN „Nie jesteś sam") Jarosławowi Kaczyńskiemu słów o „prawdziwych Polakach" czy jej (oraz całej stacji) zaangażowania w czasie tzw. puczu sejmowego (w nocy z 16 na 17 grudnia 2016 r.). Trzeba by zapomnieć o materiale „Superwizjera TVN" o obchodach (w maju 2017 r.) w Wodzisławiu Śląskim urodzin Hitlera. Takich wydarzeń można by przytaczać setki. Powinno się jeszcze tylko wspomnieć o tym, co ujawniono w „Biuletynie IPN" z listopada 2006 r. Że główny oskarżony w aferze FOZZ Grzegorz Żemek zeznał podczas procesu: „Dostałem od służb specjalnych wojskowych zadanie, aby znaleźć za granicą firmę, która mogłaby pełnić rolę »konia trojańskiego«, to znaczy która mogłaby służyć do wprowadzenia agentów na obszar na Zachodzie w dziedzinie mediów. Był to rok 1987. Jedyną firmą zagraniczną w dziedzinie mediów, którą znałem, była firma należąca do Jana Wejcherta, ulokowana w Irlandii. Firma ta nazywała się Cantal, a później zmieniono jej nazwę na ITI. Zapytałem służby wojskowe, czy mogę podjąć kontakt z Wejchertem. Otrzymałem wówczas informację, że on już współpracuje ze służbami wojskowymi, więc będzie to proste. [...] Przez cały czas miałem naciski ze służb specjalnych, żeby jak najszybciej zorganizować ten koncern medialny na

eprasa.pl d4c85cccd8



Fot. Fratria

Zachodzie". Że Jerzy Urban w liście z 22 lutego 1983 r. do ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka tak pisał o Mariuszu Walterze: „Nadaje się na głównego konsultanta, jakiegoś szefa programowania, szefa realizacji programów radiowych i TV – jednym słowem nie kierownika pionu propagandy, lecz główną siłę koncepcyjno-fachową. Najzdolniejszy w ogóle redaktor telewizyjny w Polsce, organizator i koncepcjonista. […] Wielki talent i wulkan energii. Oczywiście członek PZPR".

TERAZ WOJNA

Trudno rozstrzygać, co we wpisie Kamila Różalskiego oraz liście „pracowników TVN" jest elementem walki o ich prawa i pieniądze, co wynika z żalu i poczucia krzywdy, więc może być przejaskrawione bądź naciągnięte, a co jest opisem faktów. Cytując te stanowiska, trzeba o tym pamiętać. Kamil Różalski o pracy w TVN napisał, że „szantażem (tak jak wszyscy w dziale realizacji) zostałem zmuszony przez dyrektora do rozwiązania umowy za porozumieniem stron". Że „ja, moje koleżanki i koledzy byliśmy traktowani jak ludzie drugiej kategorii. Stawaliśmy się ofiarami mobbingu, współczesnego niewolnictwa, wykluczenia zawodowego, szantażu, odwetu. Byliśmy zmuszani przez pracodawcę do pracy po 16–17 godzin dziennie, w wyniku czego traciliśmy zdrowie". Że w TVN „orwellowska rzeczywistość stała się faktem. Nepotyzm, łapówki, łamanie prawa pracy, szantaż, poniżanie, łamanie RODO i inne patologie stały się chlebem powszednim". A gdy „grupa osób (której też jestem członkiem), zgodnie z procedurą informowała Discovery Inc. (właściciela TVN SA) o patologiach i łamaniu prawa", Amerykanie „złamali procedury, które sami ustanowili. Naruszyli naszą anonimowość, narażając nas na działania odwetowe ze strony TVN". I Kamil Różalski zapowiedział, że „o łamaniu prawa, wprowadzaniu w błąd inwestorów, unikaniu płacenia podatków w Polsce, hipokryzji, podwójnych standardach stosowanych przez Discovery Inc. oraz TVN SA będziemy konsekwentnie informować prasę, tak by opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych, Polsce i niektórych krajach UE została rzetelnie poinformowana". Podają poważne zarzuty, które jednak nie zostały udokumentowane.

Podobnie jest z listem „pracowników TVN". Tam pojawia się zarzut, że w domu kierującej TVN Katarzyny Kieli „spotykała się bohema polskiego biznesu, polityki i kultury. […] [Bywała] ówczesna ambasador USA Georgette Mosbacher, prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski […] oraz inne gwiazdy i dziennikarze". To wskazywałoby na konflikt interesów ambasador Mosbacher, która potem broniła interesów TVN. Po co zapraszano polityków na takie spotkania? Czy coś z nimi uzgadniano, koordynowano?

W liście „pracowników TVN" pada poważny zarzut, że dziennikarze stacji mieli „zakaz informowania opinii publicznej" o aferze szczepionkowej, gdyż poza kolejnością zaszczepili się Katarzyna Kieli i Edward Miszczak, a może też inne ważne osoby, szczególnie te z Fundacji TVN „Nie jesteś sam". Jak czytamy w liście, „tym samym wprowadzono cenzurę na dziennikarski, rzetelny news. Oszukano widzów wolnych mediów. Zamknięto usta dziennikarzom, do których dzwonili ich koledzy z innych mediów, pytając, co się dzieje". W dodatku osoba z kierownictwa, która powinna świecić przykładem, miała uczestniczyć w kolacji z udziałem 70 osób, łamiąc wszystkie sanitarne restrykcje. To miały być powody odchodzenia ze stacji dziennikarzy, np. Szymona Jadczaka. W liście padają też zarzuty o łamanie praw pracowniczych, a wręcz postępowanie niehumanitarne: „Zwalniane są kobiety w ciąży, matki rodzin wielodzietnych, osoby w wieku emerytalnym, które są wybitnymi specjalistami w swoich dziedzinach". Zarzuty o unikanie zwolnień grupowych, żeby pracownicy nie mogli korzystać z różnych elementów osłonowych, które kosztują. W oświadczeniu biura prasowego TVN można przeczytać, że „w Grupie TVN Discovery przestrzegamy najwyższych standardów i mamy wdrożone rygorystyczne mechanizmy kontroli i zarządzania; wszystkie skargi dotyczące przestrzegania tych norm są badane i na bieżąco adresowane. Zasady te dotyczą wszystkich pracowników, bez względu na zajmowane stanowisko". Że „w sumie zatrudniliśmy prawie 600 nowych pracowników w Polsce. Liczba pracowników jest dziś wyższa niż cztery lata temu".

Wskutek wojny w rodzinie (TVN, Discovery) opinia publiczna dowiaduje się, jak wygląda codzienność w telewizji, której ważna część posługuje się dewizą: „Cała prawda całą dobę". Jeśli ten obraz jest prawdziwy, mielibyśmy moralizatorów pouczających innych, którzy sami łamaliby zasady etyczne. Mielibyśmy otwarte, a nawet bezczelne korzystanie z przywilejów bez cienia poczucia winy. Mielibyśmy tolerowane konflikty interesów i mieszanie się świata polityki, biznesu, rozrywki. Mielibyśmy nieformalne układy decydujące o polskich sprawach, ale przed opinią publiczną ukryte. Mielibyśmy wreszcie łamanie wielu praw i zasad. I nie byłaby to tylko kwestia ostatniego roku czy dwóch, tyle że wcześniej udawało się wiele tajemnic zachować. To, że teraz wypływają, może mieć pozytywny wpływ na polskie życie publiczne. Opinia publiczna poznaje mechanizmy funkcjonowania jednej z ważnych telewizji i może się wyzbyć złudzeń, jeśli je jeszcze miała.

Reklama | 33/0221/F

eprasa.pl d4c85cccd8

Energa Obrót | GRUPA ORLEN



Wybierz instalację słoneczną Energa Grupa ORLEN

Postaw na własną instalację słoneczną z Energą, produkuj własny prąd i obniż swoje rachunki. Zyskaj aż 25 lat gwarancji na panele oraz roczne ubezpieczenie instalacji w wybranym wariancie.

Zadzwoń pod **555 555 505** lub wypełnij formularz na www.energa.pl.

Koszt połączenia wg stawek Twojego operatora telefonicznego.

eprasa.pl d4c85cccd8



Najemnik Gowina

Kryptowaluty, blockchain, naukowe patenty, system e-TOLL. Co łączy te enigmatyczne obszary? Nie tylko wielkie pieniądze, lecz również przepychanki wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. W tej historii są służby specjalne, rosyjski oligarcha, wątpliwe etycznie wielomilionowe dotacje budżetowe. Jaką rolę w niej odgrywa Robert Anacki, bardzo bliski współpracownik Jarosława Gowina, wiceprezes jego partii?

Od kilku tygodni obserwujemy tarcia w koalicji rządzącej, które są nierozerwalnie związane z konfliktem wewnątrz Porozumienia Jarosława Gowina. Trudno dziś rozstrzygnąć, jak on się zakończy ani nawet która ze stron może mieć w nim rację – na to pytanie będzie odpowiadał sąd.

Rozmawiamy na ten temat z wieloma osobami z obozu władzy. Zwracają naszą uwagę na nieznane opinii publicznej tło – zakulisowe gry o polityczne wpływy i pieniądze. Jak bumerang powraca nazwisko człowieka z cienia wicepremiera, o którym słyszymy, że jest najważniejszym i najbliższym współpracownikiem Gowina. Na pewno jest też wykonawcą jego politycznych zleceń.

DONOSY DO SŁUŻB

19 maja 2020 r. wiceminister finansów Piotr Patkowski odbiera telefon z nieznanego mu numeru. Dzwoni Robert Anacki, wiceprezes Porozumienia. Chce rozmawiać o budowanym Nowym Krajowym Systemie Poboru Opłat drogowych. Reklamuje ofertę słowackiej firmy SkyToll, która ma gwarantować najlepsze finansowo warunki dla polskiego budżetu.

Panowie umawiają się, że Patkowski przekaże Anackiemu adres mailowy, na który ten ostatni prześle szczegółowe informacje o korzyściach płynących z interesów ze Słowakami. 20 minut później Anacki wysyła esemesa z prośbą o e-mail i kontakt do osoby, która w resorcie przejęła pilotowanie prac nad systemem e-TOLL.

Patkowski jest zaniepokojony, bo pamięta, że już w przeszłości były wątpliwości co do słowackiej firmy i podejrzenia o jej związki z rosyjskimi oligarchami. Kontaktuje się więc z urzędnikiem Ministerstwa Finansów delegowanym do ministerstwa z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ten poleca nie kontaktować się więcej z Anackim, a o sprawie zawiadomić służby specjalne. Tak też się dzieje. Dwa dni później wiceminister sporządza notatkę z rozmowy i przekazuje ją funkcjonariuszowi ABW, a także do CBA.

W nocy z 23 na 24 maja Anacki niespodziewanie zaczyna pisać o sprawie na Twitterze. Najpierw enigmatycznie:



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

„Dzisiejszy odcinek Ulicy Sezamkowej sponsorują literki CBA. Co ci ludzie mają w głowach – już się nie mogę doczekać poniedziałku". Po kilkunastu godzinach zamieszcza kolejne wpisy: „W dniu jutrzejszym zawiadamiam ABW i CBA o możliwości wykorzystywania służb do walk politycznych i możliwych zaniechaniach wysokich urzędników państwowych, w efekcie czego budżet państwa traci od 5–10 mld zł rocznie, a poprzez przedłużenie niekorzystnych umów może stracić 50 mld". I po kilkunastu minutach następny: „Będę oczekiwał nadzoru służb nad procesem wyboru dostawców usług dla RP, które stanowią newralgiczny element infrastruktury drogowej. Będę oczekiwał transparentności tego procesu, weryfikacji zmian ustaw w tym zakresie i powodów przeniesienia kompetencji z MI do MF".

Według naszych rozmówców Anacki się dowiedział, że Patkowski zawiadomił służby o jego lobbingu, i dlatego postanowił szybko złożyć kontrdoniesienie.

Pytamy wiceszefa Porozumienia, skąd się dowiedział o notatce Patkowskiego i co mu przekazywał. Odpowiedź nie jest jasna: – Nie chciałem zainteresować pana Patkowskiego żadną ofertą. Z moich informacji wynika, że on złożył zawiadomienie do CBA. Ja mam twarde dowody i w kontrze spotkałem się ze służbami, wyjaśniając to wszystko.

Jak dodaje, o sprawie informował również m.in. innego wiceszefa Porozumienia: – Powiedziałem panu Adamowi Bielanowi i wielu innym osobom, że są firmy (m.in. SkyToll) i ich reprezentanci w Polsce, którzy mają problem z dostaniem się do agendy rządowej z konkretnymi rozwiązaniami.

Zapowiada też, że nasz artykuł skonfrontuje z prywatnymi wiadomościami, które otrzymywał od niego Bielan i miał potwierdzać, że o sprawie wie Jarosław Kaczyński, który rzekomo był zainteresowany, aby ją szybko rozstrzygnąć.

Dzwonimy do Bielana. – Raz mówił mi o firmie SkyToll. Ta rozmowa wyglądała tak, że już więcej nie chciałem tego tematu podejmować. Wyglądało na to, że pan Anacki ma jakieś niezdrowe relacje z tą spółką. Zachwalał ją jak zawodowy akwizytor. Ja tej firmy nie znałem, bo nie zajmuję się tą tematyką. Z jakiej racji radny z Gorzowa, wiceprezes współrządzącej partii spotyka się z różnymi politykami i lobbuje na rzecz jakiejś firmy ws. tak gigantycznego kontraktu? Już samo to jest bulwersujące. Czułem, że to śmierdząca sprawa. Absolutnie nie przekazywałem nic na ten temat Jarosławowi Kaczyńskiemu, to jest kompletna bzdura.

> Raz mówił mi o firmie SkyToll. Ta rozmowa przebiegała tak, że już więcej nie chciałem tego tematu podejmować. Wyglądało na to, że pan Anacki ma jakieś niezdrowe relacje z tą spółką. Zachwalał ją jak zawodowy akwizytor – twierdzi Adam Bielan

Bielan dodaje, że w tamtym czasie nie słyszał o związkach SkyToll z Rosjanami. – Gdybym o tym wiedział, reagowałbym dużo ostrzej. O tym, że zdaniem naszych służb ta firma może być rosyjską przykrywką, dowiedziałem się wiele miesięcy później.

Mimo że Bielan nie podjął tematu, zaczął na skalę wręcz masową otrzymywać korespondencję od Anackiego.

Fot. PAP/Andrzej Grygiel

eprasa.pl d4c85cccd8

Były to analizy wychwalające ofertę SkyToll i narzekania na ciągnące się prace nad systemem. Nie odpowiadał.

SŁOWACY Z KREMLEM W TLE

Sprawa wygląda na bardzo poważną. Dotyczy ogromnych pieniędzy, bo roczne wpływy z opłat drogowych wynoszą 2 mld zł, a po zbudowaniu nowego systemu mogą wzrosnąć nawet kilkukrotnie. Jednak nie tylko o pieniądze tu chodzi, lecz również o wiedzę bezcenną np. dla obcych służb.

Obecnie funkcjonujący system viaTOLL polega na radiowym identyfikowaniu pojazdów w okolicach drogowych bramownic. Docelowo ma zostać przekształcony w system działający na bazie technologii satelitarnej i teoretycznie umożliwiać zdalne śledzenie wszystkich pojazdów do niego „podpiętych". Dlatego ten obszar powinien pozostać pod kontrolą państwa polskiego.

W ten długi (stanowczo za długi) proces reorganizacji wciągnięte zostały służby specjalne, które otoczyły prace urzędników tarczą antykorupcyjną. Zaangażowane było też rządowe Centrum Analiz Strategicznych, które w latach 2018–2019 zidentyfikowało SkyToll jako spółkę powiązaną z rosyjskim oligarchą.

Dotarliśmy do jednego z analityków, który w CAS zajmował się sprawą. Zastrzega anonimowość i opowiada: – Prześledziliśmy strukturę właścicielską firmy SkyToll i jej powiązania. Szlaki wiodą poprzez Holandię na Cypr, a ostatecznie do Olega Dieripaski, który jest jednym z „putinowskich ambasadorów". Rosyjski prezydent używa ich do budowania relacji, które mogą być pożyteczne w dużych operacjach polityczno-biznesowych prowadzonych przez Moskwę.

Sprawdziliśmy te informacje. Rzeczywiście łańcuch właścicielski nad firmą SkyToll prowadzi od jej szefa Petra Syrovátki do należących do niego spółek rejestrowanych na Cyprze. Dodatkowo Syrovátka kupił SkyToll za pieniądze od Czecha Petra Kellnera (właściciela m.in. CzechToll). Ten ostatni zaś to biznesowy wspólnik Olega Dieripaski, posiadającego cypryjskie obywatelstwo rosyjskiego oligarchy, o którym w Polsce usłyszeliśmy w 2010 r., gdy się okazało, że jego firma Awiakor remontowała rządowe tupolewy.

Nasz rozmówca z CAS tłumaczy, że państwo przejmując system opłat od zarządzającej nim austriackiej firmy Kapsch, de facto próbuje się pozbyć różnego rodzaju „kuratel" zza granicy, które chcą mieć dostęp do wrażliwych informacji z polskich dróg. – Od samego początku widzieliśmy obstrukcję w tym procesie na wszystkich poziomach – m.in. politycznym, a zwłaszcza urzędników różnego szczebla, np. z Ministerstwa Infrastruktury, ale też innych resortów. A skoro zaangażowanych było wiele instytucji, ośrodki zagraniczne miały ułatwione zadanie ich rozgrywania. Generowano przeróżne konflikty, posiedzenia komitetu sterującego przypominały grę szachów, a nie koordynację strategicznego dla państwa procesu.

> Od naszych rozmówców słyszymy, że Robert Anacki wielokrotnie mówił, że ma pomysł na nowatorskie finansowanie partii, ale szczegółów nie zdradzał. To ciekawe i jednocześnie zastanawiające, przedsiębiorca nie ukrywa bowiem, że od lat pasjonuje się kryptowalutami

Dziś wiemy już, że również służby specjalne mają wątpliwości co do przejrzystości całej operacji. 18 sierpnia CBA wszczęło kontrolę w Instytucie Łączności – Państwowym Instytucie Badawczym. Sprawdza „poprawność zawartych pomiędzy Instytutem oraz Głównym Inspektoratem Transportu Drogowego umów na projektowanie oraz budowę Nowego Krajowego Systemu Poboru Opłat". Jak poinformował nas rzecznik ministra koordynatora specsłużb Stanisław Żaryn, została ona przedłużona do 18 maja, a „do czasu zakończenia czynności kontrolnych oraz pokontrolnych określonych w ustawie o CBA Biuro nie udziela informacji o wyniku postępowania".

Zapytaliśmy też Żaryna, czy CBA i ABW podjęły czynności wyjaśniające w sprawie notatek złożonych w maju 2020 r. przez Piotra Patkowskiego oraz Roberta Anackiego, dotyczących nieprawidłowości przy budowie NKSPO, a także nielegalnego lobbingu w tej sprawie oraz jakie były ich efekty. W odpowiedzi czytamy: „Opisana przez Pana redaktora sytuacja jest znana służbom specjalnym. Z uwagi na ograniczenia prawne nie udzielamy informacji o szczegółach tej sprawy".

Zaznaczmy, że zainteresowanie słowacką firmą Anacki zaczął zdradzać zaraz po tym, gdy 25 kwietnia 2020 r. do Sejmu wpłynęła ustawa przekazująca budowę systemu e-TOLL z resortu infrastruktury do finansów. Wiceprezes Porozumienia Jarosława Gowina nic nie wskórał, za to zainteresowały się nim służby.

Być może taki obrót spraw jest wyjaśnieniem licznych ataków, jakie Anacki przypuścił na Patkowskiego w mediach społecznościowych. Latem i jesienią ubiegłego roku w serii wpisów nazywał go m.in. „skończonym głupcem", „patologią", „pogardliwym, cynicznym młodziakiem" i domagał się od premiera zdymisjonowania wiceministra.

Jeden z polityków Porozumienia skonfliktowany dziś z Jarosławem Gowinem mówi nam, prosząc o niepodawanie jego nazwiska: – Rozmawiałem z Gowinem o Anackim na etapie tych dziwnych postów o Patkowskim. Mówiłem, że jego wpisy to wstyd dla całej partii. Nalegałem, by w elegancki sposób odsunąć go od mediów, z wiceprezesury ugrupowania. Gowin przytakiwał, wydawało się, że rozumie i akceptuje, ale później się okazywało, że wciąż obdarzał go bezgranicznym zaufaniem, zlecał kolejne kluczowe zadania do wykonania.

PAŃSTWO PŁACI

Od naszych rozmówców słyszymy, że Robert Anacki wielokrotnie mówił, że ma pomysł na nowatorskie finansowanie partii, ale szczegółów nie zdradzał. To

eprasa.pl d4c85cccd8

ciekawe i jednocześnie zastanawiające, przedsiębiorca nie ukrywa bowiem, że od lat pasjonuje się kryptowalutami.

Po raz pierwszy zrobiło się o nim głośniej, gdy w sierpniu ub.r. tygodnik „Wprost" napisał o 10-milionowym grancie przyznanym przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju założonej przez niego firmie Tecra sp. z o.o. Start-up, który zajmuje się m.in. emisją kryptowaluty TecraCoin, uzyskał fundusze od instytucji podlegającej Jarosławowi Gowinowi (był wówczas wicepremierem oraz ministrem nauki i szkolnictwa wyższego nadzorującym NCBiR). W odpowiedzi na artykuł spółka wystosowała oświadczenie, w którym czytamy, m.in.: „Grant uruchomiony został po sprzedaży udziałów przez Pana Roberta Anackiego". Dzisiaj Anacki doprecyzowuje nam, że ani jego obecność w firmie już tylko jako doradcy – bo udziałów się pozbył – ani fakt, że z Gowinem zasiadali we władzach jednej partii, nie miały wpływu na przyznanie grantu. Co ciekawe, on sam – jak twierdzi – taką dotację odradzał.

– To był pomysł pana Krzysztofa Piecha, który doradzał Tecrze. [...] Komisja stwierdziła, że może dać 60 proc., ale na co? Na zatrudnienie. Czyli nie na usługi obce, które stają się kosztem, tylko na pracowników. I chodzi tu o refinansowanie, a nie dofinansowanie – mówi przedsiębiorca. Do Piecha zaraz wrócimy. Najpierw rzut oka na rejestry Centrum, wynika z nich rzeczywiście, że projekt miał kosztować 16 mln, a NCBiR rekomendował przyznanie nieco ponad 10 mln, ale dlatego że Tecra... o tyle właśnie wnioskowała. Czy zaważyła polityka? Tego nie wiemy, ale na stronie Tecry w notce o Robercie Anackim najważniejszą informacją jest to, że „jest wiceprezesem współrządzącej partii Porozumienie". Dodatkowo jego twierdzenie, że w czasie przyznawania grantu w 2019 r. nie był już współwłaścicielem i członkiem zarządu spółki, nie znajduje potwierdzenia w dokumentach KRS. Te mówią wyraźnie, że Anacki pozbył się udziałów i wyszedł z władz firmy dopiero w maju 2020 r.

By zrozumieć, na co tak naprawdę poszły pieniądze z budżetu państwa, warto prześledzić branżowe fora internetowe zajmujące się blockchainami i kryptowalutami. Projekt Tecry we wniosku do NCBiR jest określony jako „Badania nad technologią blockchain w kontekście wdrożenia zdecentralizowanej platformy wymiany aktywów cyfrowych, szczególnie stokenizowanych patentów i innych praw własności intelektualnej". To skomplikowane, spróbujmy więc uprościć. Nowe pomysły naukowe wymagają finansowania, ale idące za nimi ryzyko znacznie utrudnia pozyskanie państwowych grantów. Można więc stworzyć system swego rodzaju zbiórek w internecie, dających zarówno bezpieczeństwo autorom projektów, jak i pewność donatorom, że w razie sukcesu będą mieli udział w zyskach. Zapewnia to blockchain – nowoczesna technologia bezpiecznego i bardzo skutecznie szyfrowanego przechowywania informacji. Np. uczelnie chronią w ten sposób patenty, a szpitale wykorzystują go do przechowywania danych medycznych. Łańcuch bloków nasyconych danymi umożliwia – to jego wielka zaleta – pełną anonimowość, co wykorzystywane jest także do transakcji kryptowalutowych. I właśnie – jak podawał portal kryptowaluty.expert – „głównym celem spółki Tecra jest emisja TecraCoin – kryptowaluty", „to pierwszy projekt będący wsparciem dla finansowania opatentowanych, wysokich technologii. Zebrane w ICO środki będą w pierwszej kolejności inwestowane w technologie związane z grafenem".

Nowe technologie i ich rozwijanie to oczywiście kierunek, w którym ambitne państwo powinno zmierzać, ale czy i gdzie są jakieś granice ryzyka? O obficie dofinansowanym publicznymi pieniędzmi pomyśle Tecry rozmawiamy z doświadczonym policjantem, który od lat zajmuje się cyberprzestępczością i zagrożeniami w sieci. – Gdy słyszymy o kryptowalutach, natychmiast powinna się zapalać czerwona lampka. To coś, nad czym żadne państwo nie jest w stanie zapanować, nie tylko z powodu możliwości unikania płacenia podatków – mówi. To prawda, większość podejrzanych transakcji w internecie, włącznie z handlem usługami hakerskimi, narkotykami czy nawet ludźmi, rozlicza się kryptowalutami, bo do obrotu nimi nie trzeba podawać żadnych swoich danych. Są poza zasięgiem systemów bankowych i fiskalnych. – Jeśli po państwowy grant, nawet na inny cel, zgłasza się firma, która wypuszcza kryptowalutę na rynek, to należy dokładnie prześwietlić całość jej działalności. Z zawodowego obowiązku muszę ostrzegać, ale tak naprawdę to od użytkownika kryptowaluty zależy, czy wykorzysta ją do celów szczytnych, czy podejrzanych, za co nią zapłaci – dodaje policjant.


Gorzów 2020 r. Jarosław Gowin i Robert Anacki podczas kampanii prezydenckiej

Fot. Twitter

SZANSE I RYZYKA

W połowie stycznia Urząd Komisji Nadzoru Finansowego wystosował „ostrzeżenie o ryzykach związanych z nabywaniem

eprasa.pl d4c85cccd8

oraz z obrotem kryptoaktywami". Zwraca w nim uwagę, że to rynek w Polsce nieuregulowany i bardzo niestabilny. Jako przykład podaje kurs najpopularniejszej na świecie kryptowaluty – bitcoina – który w latach 2017–2018 w ciągu roku wzrósł nieznacznie, by potem spaść o ponad 80 proc. Teraz znów idzie w górę.

O konieczności uregulowania tego rynku dyskutuje cały świat. W 2018 r. w amerykańskim Senacie debatowano nad przymusem nowelizacji prawa, by ograniczyć zagrożenia, które niesie obrót kryptowalutami, nie eliminując jednocześnie szansy, jaką daje technologia blockchain. W Europie wciąż przeważa opinia, że więcej jest minusów, a największym ma być możliwość destabilizacji rynków finansowych, które nie są w stanie kontrolować przepływu kryptowalut i zapewnić ściągalności podatku dochodowego. W Polsce sprzedaż i kupno kryptowalut są opodatkowane, ale tzw. transakcje krypto-krypto, czyli zamiana jednej kryptowaluty na drugą, już nie. Pozbycie się podatku (PCC) to miała być zasługa m.in. Roberta Anackiego, który chwali się „skutecznym lobbingiem" w tej kwestii na zamkniętym forum dyskusyjnym na platformie Discord.

W oświadczeniu majątkowym radnego Roberta Anackiego znajduje się pozycja: jednostki walut cyfrowych. Biznesmen na dzień 21 listopada 2018 r. zgromadził kryptowaluty o wartości ok. 693 750 dol. Rok później, w kolejnym oświadczeniu ta wartość znacznie wzrosła, do 1,65 mln dol.

Kryptowaluty są, podkreślmy to, w Polsce legalne, można je kupować, sprzedawać i płacić nimi. Tecra nie dostała finansowania na emisję TecraCoina, ale na rozwój technologii blockchain. I tak jednak należy zadać pytanie, czy grant NCBiR został dobrze skierowany, czy tak powinno inwestować państwo polskie. Tym bardziej że te dwie kwestie – blockchain i kryptowaluty – są z sobą nierozerwalnie związane. Przekonuje o tym w mediach społecznościowych wspomniany już prof. Krzysztof Piech, makroekonomista zaangażowany wraz z Anackim w powstanie Tecry. Dzisiaj pisze, że w firmie jest doradcą ds. naukowych i architektem blockchain. To człowiek, który w 2007 r. kierował pracami nad programem Partii Kobiet, a w 2015 r. współtworzył część gospodarczo-społeczną programu partii Nowoczesna. Niezbyt skutecznie. Lepiej idzie mu z nowymi technologiami. Finansowanie dla swoich pomysłów (nie tylko Tecra) raczej mu się podoba, choć dostaje je od pań-

> Jest bardzo inteligentny, ambitny i pracowity. Na pewno ma łeb do interesów, ale nie zawsze przejrzystych. Świetnie czuje się w zakulisowych rozgrywkach, czym zjednał sobie Gowina – opowiada osoba, która zna Anackiego od wielu lat

stwa zarządzanego przez ludzi, którymi wyraźnie gardzi. Oto jeden z jego licznych wpisów na FB: „Od pięciu lat na czele państwa jest bezdzietny homoseksualista, który woli koty od dzieci".

KORWINOWIEC

Anacki jest w Porozumieniu od początku, czyli od jesieni 2017 r. Wcześniej szedł zupełnie inną polityczną drogą. Działał w partii Wolność Janusza Korwin-Mikkego, był nawet jej wiceprezesem.

– Jest bardzo inteligentny, ambitny i pracowity. Na pewno ma łeb do interesów, ale nie zawsze przejrzystych. Świetnie czuje się w zakulisowych rozgrywkach, czym zjednał sobie Gowina – mówi nam osoba, która zna Anackiego od wielu lat. Jak dodaje, przekonał wicepremiera, że skutecznie napompuje mu struktury, m.in. pozyskując ludzi z innych środowisk. – I tak zrobił. Zjednoczył się z republikanami, przyprowadził ze sobą paru korwinowców. Dziś trochę się wstydzą, że partycypują we władzy, ale pełnymi garściami jedzą to, co im ta władza daje – słyszymy.

Wśród „wolnościowców" został zapamiętany jako ten, który przed trzema laty doprowadził do rozłamu. Korwin-Mikke poświęcił mu oddzielny wpis na swoim blogu w listopadzie 2017 r. Czytamy w nim m.in. „P. Robert Anacki rozjeżdża się po kraju jak szalony, tłumacząc oczywiście o »przekrętach« – ale tak naprawdę obiecując w imieniu JE Jarosława Gowina konkretne korzyści, w tym tak absurdalne jak: »Będziesz mógł pukać trzy laski dziennie« (autentyczne!). Oczywiście p. Gowin będący w »rządzie« może obiecywać dużo – ale my jesteśmy w partii anty-systemowej; co oznacza, że chcemy zniszczyć ten system, a nie dawać się przezeń korumpować".

Zarzucał mu też drenowanie partii Wolność z pieniędzy i upublicznił rejestr umów, jakie firmy Anackiego zawarły z formacją Korwin-Mikkego. To 30 pozycji opiewających na łączną kwotę blisko 300 tys. zł. Dotyczą głównie promocji partii. Jak się dowiadujemy, Anacki produkował m.in. słynny spot „Inwazja" przygotowany w kampanii z 2015 r. Ten agresywny materiał stawiał w jednym szeregu PO i PiS jako ugrupowania chcące ściągać do Polski nielegalnych imigrantów.

Dwa lata później znalazł się we władzach nowej partii, u boku Jarosława Gowina. Jest to pewna przewrotność, wszak nie ma w Zjednoczonej Prawicy drugiej osoby, która w przeszłości pełniła tak ważną funkcję w Platformie Obywatelskiej jak lider Porozumienia.

Gowinowi brakuje zaufanych ludzi, w ostatnich tygodniach widać to nader dobrze. Anacki jest więc dla niego dziś bezcenny. Dzięki niemu prezes nie robi wszystkiego w partii własnymi rękami, nie musi na bieżąco pilnować i poszerzać struktur w regionach. To może kluczowy aspekt ich kooperacji, szczególnie w kontekście wyborów w roku 2023 i plotek o tym, że ludzie Gowina nie znajdą już miejsc na listach PiS. O tym, jak buduje się Porozumienie, które ma przetrwać nawet poza Zjednoczoną Prawicą, napiszemy za tydzień.

eprasa.pl d4c85cccd8

Trzecia fala i co dalej?



Jedną z głównych przyczyn obecnego wzrostu zakażeń jest ciągłe mutowanie wirusa i pojawienie się w Polsce nowego, bardziej zakaźnego wariantu brytyjskiego. Dlatego ważne jest, aby jak najszybciej wyszczepić jak największą liczbę osób, zanim nie pojawią się u nas nowe, potencjalnie jeszcze groźniejsze, odmiany koronawirusa



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Po niespełna dwóch miesiącach od ustąpienia jesiennej fali pandemii statystyki zakażeń w Polsce znów zaczynają rosnąć. Najlepiej widać to w zestawieniu tydzień do tygodnia. I tak w środę 17 lutego zarejestrowano w Polsce 8695 przypadków, tydzień później, 24 lutego, było już 12 147 nowych zakażeń, a 3 marca liczba ta wzrosła do 15 698 osób. Nie ma więc chyba wątpliwości, że trzecia fala pandemii już do nas dotarła. Przy czym mówimy tu o zarejestrowanych przypadkach zakażeń, ich rzeczywista liczba może być znacznie wyższa, ponieważ wiele osób przechodzi zakażenie bezobjawowo, a inne – przynajmniej dopóki ich stan zdrowia dramatycznie się nie pogorszy – rezygnują z testów. Wyraźnie dostrzegalna jest także regionalizacja zakażeń. Największe wzrosty notuje się na północy kraju, szczególnie w województwie warmińsko-mazurskim, gdzie rząd ponownie zaostrzył restrykcje związane z pandemią.

Wzrosty zakażeń dotyczą nie tylko Polski. Liczba zarażonych rośnie bowiem w całym naszym regionie, najbardziej dramatycznie w Czechach, gdzie przy niespełna 11 mln ludności notowano ostatnio po 15 tys. zakażeń na dobę. Niepokojące wzrosty rejestrują również Słowacja, Węgry, Ukraina i Estonia. To wszystko oznacza, że mamy do czynienia z szeroką falą, a nie z odizolowanym przypadkiem. Jak wysoka będzie ta fala, tego jeszcze nie wiemy. Pesymiści mówią, że może przewyższyć tę z jesieni, realiści sądzą, że będzie podobna. Na razie znowu niebezpiecznie rośnie liczba zajętych respiratorów i łóżek w szpitalach.

Jest kilka możliwych przyczyn obecnego wzrostu zakażeń. Przede wszystkim mutowanie wirusa i pojawienie się

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d4c85cccd8

nowych, bardziej zakaźnych odmian. Ale również zmęczenie pandemicznymi rygorami i osłabienie dyscypliny. Sprzyjającym czynnikiem jest również zmiana pogody, która w połączeniu z sezonową obniżką odporności wśród ludzi pozwala koronawirusowi atakować ze wzmożoną siłą. Warto tu zwrócić uwagę, że po raz pierwszy koronawirus rozniósł się po Europie dokładnie o tej samej porze roku. Zapewne stało się to nieprzypadkowo.

KOLEJNE FALE

Jeszcze rok temu epidemiolodzy spierali się na temat tego, czy pandemia jest zjawiskiem jednostajnym, czy też przebiega falami. Niektórzy wskazywali, że trudno mówić o falach pandemii, skoro przecież trwa ona cały czas. To prawda, jednak intensywność pandemii była dość zróżnicowana w czasie i miejscu. W Polsce pierwsze przypadki zakażeń zostały odnotowane w marcu ub.r. Twardy lockdown i dość powszechny strach przed nieznanym zagrożeniem uchroniły nas wtedy od tragicznego scenariusza, który stał się udziałem Włoch. Polska wyszła późną wiosną z pierwszej fali pandemii w na tyle niezłej kondycji, że rząd – dość pochopnie – obwieścił zwycięstwo w walce z koronawirusem.

Wakacyjne rozprężenie i niemal pełne otwarcie gospodarki wraz ze szkołami, które – jak wykazały badania i symulacje matematyczne – okazały się poważnym rozsadnikiem zarazy, doprowadziły jednak do szybkiego wzrostu zakażeń, dodatkowo spotęgowanego jesienną pogodą, idealną do rozprzestrzeniania się koronawirusa. W rezultacie bilans drugiej fali, której szczyt przypadł w listopadzie, okazał się znacznie gorszy niż pierwszej. Polska przeskoczyła aż o 30 miejsc naprzód w światowym rankingu państw najbardziej dotkniętych pandemią, zatrzymując się ostatecznie na 14. pozycji i przekraczając na początku grudnia milion udokumentowanych zakażeń. Fatalna była też statystyka zgonów, których liczba z zaledwie 2,5 tys. na początku października, podskoczyła pod koniec grudnia do blisko 30 tys.

Wraz z jesienną falą pandemii zmarło również wiele osób cierpiących na inne choroby, w tym te, które z powodu zatkanych covidowymi pacjentami szpitali nie otrzymały na czas pomocy. W rezultacie liczba zgonów w samym tylko listopadzie sięgnęła w Polsce 60 tys., co stanowi ogromny wzrost w stosunku do poprzednich lat (w listopadzie 2019 r. zmarło 31,6 tys. osób).

NIE BĘDZIE TAK ŹLE?

W tej chwili jesteśmy w o tyle lepszej sytuacji niż jesienią, że mamy już do dyspozycji szczepionki. W ramach narodowego programu szczepień do początku marca udało się zaszczepić w Polsce prawie 3,4 mln osób, z tego 1,2 mln z nich otrzymało już obie dawki szczepionki. Oznacza to, że – jak dotąd – wstrzyknięto średnio 8,94 dawki na 100 osób (dane z 1 marca). Dla porównania średnia unijna wynosiła tego dnia 7,50 dawki. Polska wyprzedziła w Unii m.in. Francję (6,99), Niemcy (7,63), Holandię (5,65), Szwecję (7,14), Czechy (6,29), Włochy (7,20) i Hiszpanię (8,19). Lepsze od nas były Węgry (10,09) i Litwa (8,99). Wygląda więc na to, że mimo przejściowych trudności związanych z unijnymi dostawami szczepionek radzimy sobie bardzo dobrze. Jak poinformował minister zdrowia Adam Niedzielski, w kwietniu pojawią się pierwsze dostawy z liczącego łącznie 16 mln dawek kontraktu na szczepionki firmy Johnson & Johnson. Również koncern Pfizer zapowiada zwiększenie dostaw. Poza tym już wkrótce, jak zapowiedział premier Mateusz Morawiecki, może w Polsce ruszyć produkcja szczepionki amerykańskiej firmy Novavax. Szczepionka ta wykorzystuje rekombinację białka koronawirusa SARS CoV-2, a jej skuteczność w badaniach klinicznych przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii sięgnęła blisko 90 proc. w przypadku jednej dawki i 95 proc. w przypadku dwóch. Gdyby wszystko poszło dobrze, to – zdaniem Adama Niedzielskiego – do końca wakacji można byłoby wyszczepić wszystkich chętnych.

Są już zresztą pierwsze efekty szczepień. Minister Niedzielski zaprezentował dane dotyczące zachorowalności wśród personelu medycznego, który w większości został już zaszczepiony dwiema dawkami. Z danych tych wynika, że na początku grudnia w tej grupie zawodowej dochodziło do 200 zakażeń dziennie. Po szczepieniach odsetek ten spadł do zaledwie 10 przypadków na dobę. Jest też duża szansa, że prowadzone właśnie szczepienia w najstarszej grupie wiekowej zmniejszą liczbę zajętych miejsc w szpitalach i znacząco ograniczą ciągle wysoką liczbę zgonów. Jeżeli intensywne szczepienie kolejnych grup nie będzie niczym zakłócone, trzecia fala pandemii może się nawet okazać krótsza i płytsza niż poprzednia.

Czasopismo medyczne „The Lancet" przedstawia skuteczność szczepień za pomocą prostego porównania. Jak czytamy, 1 proc. zachorowań w niezaszczepionej grupie 100 tys. osób daje nam 1 tys. chorych, tymczasem w przypadku zaszczepionej grupy także liczącej 100 tys. osób – wskaźnik chorych spadnie do zaledwie 50. Jest więc o co walczyć.

PRZETESTOWANE W PRAKTYCE

Pozytywne efekty szczepień i ich wpływ na wytłumienie pandemii potwierdzają dane z tych państw, które zdołały dotąd zaszczepić największą liczbę mieszkańców. W Izraelu, który ma szansę stać się pierwszym krajem na świecie, który osiągnie odporność zbiorową, do początku marca udało się zaszczepić obiema dawkami aż 39 proc. ludności (jedną dawkę otrzymało prawie 55 proc.). Dzięki temu służby medyczne tego państwa dysponują wynikami rzeczywistych pomiarów skuteczności szczepionki, a nie tylko klinicznych testów.

Z izraelskich badań wynika, że zaledwie 1248 osób (0,07 proc. z ogółu w pełni zaszczepionych) doznało potem infekcji koronawirusem. Zwraca się przy tym uwagę, że były to zwykle osoby, które zaraziły się przed osiągnięciem pełnej odporności nabywanej dopiero po pewnym czasie od zaszczepienia.

Równie zachęcające są dane z Wielkiej Brytanii, która będąc – podobnie jak Izrael – poza unijnym mechanizmem dostaw szczepionki, prowadzi swoją akcję szczepień bez poważniejszych zakłóceń logistycznych, wstrzykując po pół miliona dawek na dobę. Dzięki temu do końca lutego udało się tam zaszczepić 97 proc. osób powyżej 70. roku życia.

eprasa.pl d4c85cccd8

W rezultacie liczba zgonów wywołanych koronawirusem spadła w Wielkiej Brytanii o 30 proc., hospitalizacji – o 20 proc., a zakażeń – o 15,7 proc. Nic dziwnego, że rząd brytyjski coraz poważniej myśli o odmrożeniu gospodarki, choć jeszcze na początku stycznia notowano tu ponad 50 tys. zakażeń dziennie. Wygląda bowiem na to, że Brytyjczycy mają już trzecią falę pandemii za sobą. Eksperci uważają, że udało się ją opanować dzięki dwóm czynnikom: surowym restrykcjom oraz sprawnym masowym szczepieniom.

Ciekawe informacje napływają także ze Stanów Zjednoczonych, które po rozpoczęciu masowej akcji szczepień zanotowały wyraźny spadek dobowej liczby zakażeń z ponad 300 tys. na początku stycznia do 50 tys. obecnie. I choć zwolennicy teorii spiskowych dostrzegą zapewne w tym spadku zakażeń zadziwiającą zbieżność czasową ze zmianą lokatora w Białym Domu, to – według danych opublikowanych przez „The New York Times" – już w lipcu istnieje szansa na osiągnięcie odporności zbiorowej w USA. Pod warunkiem że utrzyma się tempo szczepień i spadek zakażeń. No i nie pojawią się żadne nieprzewidziane okoliczności w rodzaju nowych, groźnych mutacji koronawirusa.

GROŹNA MUTACJA

Niestety, im dłużej trwa pandemia, tym ryzyko mutacji koronawirusa rośnie. W tej chwili za najbardziej groźne uchodzą warianty: brytyjski, południowoafrykański i brazylijski. Pierwszy odpowiada prawdopodobnie za wielki impet trzeciej fali koronawirusa, która na przełomie roku przetoczyła się przez Wielką Brytanię. Teraz wariant brytyjski, który zadomowił się już w Czechach i we Włoszech, zaczyna, jak wszystko na to wskazuje, napędzać nową falę pandemii w Polsce.

Laboratoryjne badania próbek koronawirusa pobranych od zarażonych pacjentów w województwie warmińsko-mazurskim wskazują, że wariant brytyjski wywołał tam w ostatnim czasie 70 proc. zakażeń i doprowadził do tego, że region ten notuje dziś najszybsze przyrosty liczby zakażonych. Równie niepokojąca sytuacja panuje w sąsiednim województwie pomorskim, gdzie zakażenia spowodowane brytyjską odmianą wyniosły aż 77 proc. Również w Krakowie w 70 na 100 pobranych próbek stwierdzono brytyjski wariant koronawirusa.

Zakażenie brytyjskim wariantem może mieć – jak informują lekarze – nieco inne objawy niż te pochodzące od znanych nam wcześniej odmian koronawirusa SARS CoV-2. Przede wszystkim nie musi wywoływać utraty węchu i smaku, które były dotąd charakterystycznym objawem zakażenia. Znacznie częściej przypomina za to grypę, pojawiają się bóle głowy, mięśni lub wyższa temperatura. Objawy te nie ustępują i mogą po tygodniu doprowadzić do nagłego niebezpiecznego pogorszenia kondycji chorego. Wskazuje się też, że odmiana brytyjska jest bardziej zakaźna od poprzednich (według niektórych danych transmisja jest wyższa o 35 proc.), a niewykluczone, że może być także bardziej śmiertelna.

> Im dłużej trwa pandemia, tym ryzyko mutacji koronawirusa rośnie. W tej chwili za najbardziej groźne uchodzą warianty brytyjski, południowoafrykański i brazylijski. Dwa z nich są w Polsce

Jeszcze większym potencjalnym zagrożeniem są dwa pozostałe warianty: brazylijski i południowoafrykański, a to za sprawą występującej w nich mutacji o symbolu E484K, dzięki której wirus łatwiej sobie radzi z przeciwciałami. Potwierdzono już niestety, że wariant południowoafrykański, obecny poza Afryką w Europie Zachodniej i Turcji, pojawił się już także w Polsce. Równie niepokojące jest to, że – jak donoszą naukowcy – groźna mutacja przedostała się ostatnio do wariantu brytyjskiego. Występowanie tej mutacji stwierdzono też w dwóch północnoamerykańskich odmianach koronawirusa: kalifornijskiej i nowojorskiej. Pierwsza pojawiła się już w Europie, Japonii i Meksyku.

Wyższa odporność mutacji E484K na przeciwciała jest złą wiadomością dla wszystkich, w tym również dla ozdrowieńców oraz osób zaszczepionych. Wprawdzie producenci szczepionek zaznaczają, że ich produkty chronią – przynajmniej częściowo – przed nowymi odmianami koronawirusa, to jednak nie jest na razie dostatecznie znany poziom tej ochrony. Wiadomo już jednak m.in., że stosowane dziś preparaty firm AstraZeneca i Moderna, które stosunkowo dobrze radzą sobie z „tradycyjną" (czyli pozbawioną mutacji E484K) odmianą brytyjską, są już znacznie mniej skuteczne wobec wariantu południowoafrykańskiego. Można mieć jednak nadzieję, że nawet w przypadku zakażenia tą odmianą przebieg choroby będzie nieco lżejszy. Zresztą w tym wszystkim pewne jest jedynie to, że nic nie jest do końca pewne.

W tej chwili trwają intensywne prace nad kolejnymi wariantami szczepionek, które zapobiegną rozprzestrzenianiu się nowych odmian koronawirusa. Mówi się również, że rozwiązaniem dla osób już zaszczepionych może być przyjęcie trzeciej dawki przypominającej szczepionki ok. pół roku po drugiej dawce. Są to jednak przejściowe rozwiązania. Niewykluczone, że w przypadku koronawirusa, podobnie jak w grypie, konieczne będą coroczne modyfikacje szczepionek.

Oczywiście nie da się wykluczyć, że koronawirus może mutować także pod wpływem szczepionek. Jednak bez szczepień tych mutacji będzie z pewnością znacznie więcej, co jest bardzo groźne.

Szczepionki nie dają nam całkowitej gwarancji, że nie zachorujemy i wszystko będzie po staremu. Dają nam jednak niemalże pewność, że unikniemy najgorszego. A to już bardzo wiele.

eprasa.pl d4c85cccd8



Jak babcia Filomena wywalczyła prawdę

Kolejna osoba wykazała, że profesorowie Jan Grabowski i Barbara Engelking popełnili w swojej książce „Dalej jest noc", w której oskarżają Polaków o udział w Holokauście, wiele porażających błędów. Tym razem jednak wpływowi badacze zostali obnażeni nie przez historyków z IPN, lecz przez skromną mieszkankę małej wsi na Podlasiu. Oto jak pani Filomena Leszczyńska upomniała się o prawdę



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

W tym przypadku zespół Grabowskiego miał wyjątkowego pecha – trafił na Filomenę Leszczyńską, bratanicę Edwarda Malinowskiego. Po dwuletnim procesie jej walka z kłamstwami książki „Dalej jest noc" została ukoronowana wyrokiem nakazującym profesorom Grabowskiemu i Engelking przeprosić krewną pomówionego sołtysa wsi Malinowo. – Oczywiście przeproszenie ma być na stronie wydawcy, przez miesiąc, w języku polskim i w języku angielskim. To jest ważne – komentowała mec. Monika Brzozowska-Pasieka, która reprezentowała powódkę w sądzie. – Natomiast dla niej, dla 80-letniej Filomeny Leszczyńskiej, skromnej kobiety z Podlasia, która stanęła do walki o dobre imię swojego przodka z osobami z wielkim autorytetem, z profesorami, ważne jest, że te osoby mają ją przeprosić listem polconym – dodała.

Autorka felernego rozdziału prof. Barbara Engelking oraz redaktor tomu prof. Jan Grabowski zapewne będą się odwoływać od wyroku, ale już wiedzą, że nieprawdy, pod którymi się podpisują, nie zostaną pominięte milczeniem. Jak to się stało, że babcia Filomena doprowadziła dwoje badaczy przed sąd i wygrała sprawę? W tej histo-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4c85cccd8

rii wspólną melodię zagrały różne środowiska i instytucje: Reduta Dobrego Imienia, Radio Maryja i oczywiście rodzina Leszczyńskich.

„WSZYSTKO PRZEKRĘCONE!"

– Na stare lata oślepłam, to z rozrywek zostało mi już tylko Radio Maryja – opowiada tygodnikowi „Sieci" Filomena Leszczyńska. Siedzimy u niej w domu, w małej miejscowości na Podlasiu, w pokoju gościnnym, gdzie ze ścian patrzą na nas św. Jan Paweł II czy członkowie rodziny sportretowani kilkanaście lat temu. – Słucham radia dzień i noc, i oto pewnego razu czytają fragmenty tej książki [„Dalej jest noc" – red.], podobno naukowej – wspomina gospodyni. – I słyszę nagle o swoim stryju, ale wszystko przekręcone – oburza się Leszczyńska na samo wspomnienie audycji.

Pani Filomena urodziła się w 1940 r., więc była dzieckiem, gdy jej stryj Edward Malinowski, mianowany przez Niemców sołtysem Malinowa, ukrywał Żydów w swoim gospodarstwie. – Byłam mała, ale pamiętam – podkreśla. Ale przede wszystkim pamięta dziesiątki i setki rozmów na ten temat, pamięta powojenny proces sądowy w tej sprawie i liczne opowieści rodzinne. Gdy miała 10 lat, sąd uniewinnił jej stryja w sprawie dotyczącej zamordowania Żydów we wsi Malinowo, o bezinteresownej pomocy ze strony Edwarda Malinowskiego świadczyli ocalali z Holokaustu Żydzi. W książce Grabowskiego i Engelking nie tylko scalono los przynajmniej dwóch mężczyzn o nazwisku Malinowski w jeden życiorys, ale też przypisano stryjowi pani Filomeny udział w zabijaniu Żydów oraz okradanie tych, których ratował. – Mój stryj w 1950 r. przechodził przez proces sądowy i teraz, po 70 latach, znowu jest oskarżany o to samo? – pyta retorycznie Leszczyńska.

W książce „Dalej jest noc" roi się od takich dziwnych pomyłek. Pisali już o nich dr Piotr Gontarczyk (także na łamach „Sieci"), dr Tomasz Domański w publikacji IPN, prof. Bogdan Musiał w książce „Kto dopomoże Żydowi", historyk z Węgrowa Radosław Jóźwiak przyłapał badaczy Holokaustu na serii błędów dotyczących jego miejscowości.

Panią Filomenę już od pierwszego zdania z fragmentu o jej stryju uderzyły kłamliwe twierdzenia. – Dobrze, że radio nie stało pod ręką, bo chyba bym je w gniewie strąciła – opowiada kobieta. O szkalowaniu stryja szybko opowiedziała rodzinie, ale nie od razu wiedziano, jak zaradzić oszczerstwom.

WKRACZA REDUTA

Gdy w okolicy pojawił się Maciej Świrski, pani Leszczyńska postanowiła opowiedzieć mu swoją historię. Znała i śledziła działalność Reduty Dobrego Imienia, więc jej prezes, w dodatku znający osobliwe badania Grabowskiego i Engelking, od razu zyskał zaufanie gospodyni. Tak rozpoczęła się ich współpraca.

> Ja wiem, co się za granicą pisze o tym wyroku – podsumowuje Filomena Leszczyńska, bo zna już komentarze liberalnych mediów, że niby w Polsce ma się zabronić badań historycznych. – Ja nikomu nie bronię pisać, ale trzeba pisać uczciwie – dodaje

Sama sprawa ciągnęła się dwa lata. Był czas, że zdrowie pani Leszczyńskiej pogorszyło się do tego stopnia, że odroczono termin jej zeznań. Kobieta obawiała się, że w ogóle nie będzie w stanie stawić się przed sądem. Czy po tylu latach, w tym wieku, nie bała się zeznawać? – Jestem niewidoma, to nie mogłam dostrzec poważnych min na sali sądowej – śmieje się gospodyni. – Zresztą ja już jestem nad grobem, to już mi wszystko jedno, co kto będzie o mnie mówił. Byle obronić prawdę o stryju.

9 lutego 2021 r. przed Sądem Okręgowym w Warszawie zapadł korzystny dla pamięci o Edwardzie Malinowskim wyrok. Polskę obiegła wieść o skromnej pani Filomenie z Podlasia, która zareagowała na kłamstwa o swoim stryju.

4 marca gościmy u rodziny Leszczyńskich, by na miejscu dowiedzieć się jeszcze więcej – skąd ta determinacja u kobiety, która przecież na stare lata miałaby prawo zażyć trochę spokoju?

Historia Malinowskich okazuje się jeszcze bogatsza.

„KILKANAŚCIE OSÓB KARMILIŚMY W TEJ STODOLE"

Bracia Józef i Edward zawsze trzymali się blisko. Gdy po odzyskaniu niepodległości na Polskę napadli bolszewicy, młodzi mężczyźni zapisali się do wojska, zostawiając ojca Stanisława na gospodarstwie. Buty zdarli aż pod Smoleńskiem, wspominali potem zakrwawione stopy, ale i błyskawiczną ewakuację, cofanie się na zachód. Chwała Bogu tamtego lata bolszewicy zajęli Podlasie na krótko. W 1939 r. było już inaczej. Każdy chłop z pięcioma hektarami ziemi był przez komunistów uznawany za kułaka, a to groziło represjami. Malinowscy podzielili majątek między siebie, ale mimo to pętla prześladowań powoli się zaciskała. – Jak w czerwcu 1941 r. wkroczyli Niemcy, to przerwali przygotowania do deportacji – opowiada pani Filomena. – Pod Bielskiem samochody do wywózek były już pełne, aż tu nagle Sowietom przyszło w kalesonach uciekać. „Sowieci" – tak mówi Filomena Leszczyńska. Sama ma akt urodzenia pisany cyrylicą, bo urodziła się w 1940 r., gdy te ziemie były pod sowiecką okupacją. Ale jej ojciec, wuj i dziadek pamiętali jeszcze zabory. – Dobrze umieli mówić po rosyjsku – wspomina. To się wielokrotnie przydawało, bo po anonimowych donosach Malinowscy musieli się często tłumaczyć przed lokalnymi władzami: a to ze swojego majątku, a to z podejrzenia o posiadanie broni. Raz musieli zdobyć podpisy miejscowych, ale nie kułaków, którzy by poręczyli za nich przed sowiecką władzą. I zaraz potem przyszła okupacja niemiecka.

eprasa.pl d4c85cccd8

– Ja byłam dzieckiem, ale pamiętam, jak dorośli nosili jedzenie do stodoły – wspomina pani Filomena. To tam „za Niemca" ukrywano Żydów, a po wojnie przechowywano rzeczy – odzież i żywność – dla partyzantów. Wyraźnie w pamięci dziewczynki utkwiła historia Żydówki Estery, która dzięki fałszywym dokumentom mogła uchodzić za Polkę i dzięki temu wyjechała do pracy w głąb Rzeszy. – Kilkanaście osób karmiliśmy w tej stodole, a to nie było takie proste. Przymusowe kontyngenty, inwentarz policzony przez Niemców, a w przednówek w Malinowie było wyjątkowo trudno – relacjonuje. Niemcy wyznaczyli jej stryja na sołtysa, a to właśnie o sołtysach w czasie okupacji Grabowski i Engelking piszą często jako o „elementach aparatu represji". – Oni piszą o tamtych czasach, jakby okupacji niemieckiej w ogóle nie było – unosi się kobieta.

Ale i kres wojny nie przyniósł większej ulgi. Malinowscy wspierali antykomunistyczne podziemie do początku lat 50. – Ojciec mi kazał pewnego dnia odebrać paczkę od nauczyciela. Były tam buty, które odebrał jeden z partyzantów – wspomina w rozmowie. Ojciec i stryj nie byli rozmowni, niechętnie opowiadali o swoich sekretach, przesyłkach dla partyzantów, nocnych gościach. A bywało tak, że przychodził do gospodarstwa cały oddział, chłopcy stawali na warcie, a Malinowscy zaopatrywali ich w odzież i żywność. – Ja ci kiedyś wszystko opowiem – mówił do córki Józef Malinowski. Dziewczynka nie bardzo chciała czekać na owe „kiedyś", więc czasem zakradała się za stodołę, gdzie podsłuchiwała rozmowy dorosłych. – Raz się tak przestraszyłam, że uciekłam. Co usłyszała? – Ruscy po drugiej stronie granicy tak miejscowych zabijali, że całe studnie były pełne.

Malinowscy byli dobrze poinformowani o sytuacji – od uciekinierów z Wołynia dowiadywali się o tamtejszych zbrodniach, od żołnierzy o ruchach frontu, od partyzantów o zachowaniach władz okupacyjnych.

PODLASIE W CIENIU SOWIETA

Podlasie tkwiące w cieniu Sowieta zaczynało po wojnie wieść podwójne życie. – Gdy zmarł Stalin, nasz nauczyciel wezwał mnie z koleżanką i mówi: – Trzeba napisać artykuły i rozwiesić gazetkę. A potem, gdy nikogo z nami nie było, rzucił o Stalinie: – Zdechł, dzięki Bogu. Mężczyzna jednak się zreflektował, że rozmawia z młodymi dziewczętami, więc je szybko pouczył: – Pamiętajcie, przy ludziach chwalcie sukinsyna, opłakujcie!

– Od ojca raz jeden dostałam w skórę. Jako „wychowanka Stalina" – śmieje się pani Filomena. – Opowiadałam mu o Petersburgu, ze szkolnej historii, że to rdzenne rosyjskie miasto. Ojciec mi tłumaczy: to były szwedzkie ziemie, a ja swoje: rosyjskie. On: Rosja odebrała Szwedom, ja dalej: od zawsze rosyjskie. Nie wytrzymał.



Ale na co dzień nie było tak do śmiechu, czasy niepewności trwały, w okolicy osiedlali się ludzie ze Wschodu, różni, obcy. – Zza linii Curzona – babcia Filomena często używa historycznych określeń, zresztą sama ma w domu setki książek, historycznych, religijnych, literaturę. Malinowscy byli w okolicy znani i szanowani, choć sama gospodyni nie wie, skąd u jej ojca i wuja było tyle wiedzy historycznej. Rodzina o swojej miejscowości zdaje się wiedzieć wszystko – pokazują drogę, którą armia Napoleona szła na Moskwę, opowiadają o początkach historii wsi z czasów wojen polsko-szwedzkich, pani Filomena przytacza fakty z wojny polsko-bolszewickiej, a także krótkie, acz burzliwe dzieje Litwy Środkowej, którą według planu Piłsudskiego i Żeligowskiego przyłączono do Polski. Późniejsze losy zna już z autopsji.

– Przychodzili do nas partyzanci, ale byli też zwykli bandyci. A bo to Sowieci nie nasyłali takich? – pyta Leszczyńska, być może faktycznie znając odkrywane później historyczne fakty o organizowaniu prowokacji przez Urząd Bezpieczeństwa, w których pozorowano działania komunistycznych bojówek jako „band reakcyjnych". Z tych opowieści wyłania się obraz nie tylko Malinowskich, nie tylko okolicznych wsi, ale i całego Podlasia – pogranicza polsko-rosyjsko-prusko-litewskiego – przez które przetaczały się huragany historyczne. Przecież jej stryj, Edward Malinowski, urodził się za panowania cara Mikołaja I, przeżył I wojnę światową, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, gospodarował w wolnej Rzeczpospolitej, potem próbował przetrwać za pierwszej sowieckiej okupacji, ratował Żydów podczas niemieckiej okupacji, doczekał nadejścia Sowietów po raz kolejny i przeżył wszystkie etapy i transformacje PRL. Zmarł w 1990 r. i jakby jego bogatemu życiorysowi było mało, powrócił po raz kolejny, w pełnej błędów i pomówień książce, by zostać – znowu – uniewinniony dzięki zabiegom swojej bratanicy.

„PISAĆ SPRAWIEDLIWIE"

– Ja wiem, co się za granicą pisze o tym wyroku – podsumowuje Filomena Leszczyńska, bo zna już komentarze liberalnych mediów, że niby w Polsce ma się zabronić badań historycznych. – Ja nikomu nie bronię pisać, ale trzeba pisać uczciwie – dodaje.

Jej wygrana w sądzie wzbudziła entuzjazm tej części opinii publicznej, która śledziła tropienie błędów i przeinaczeń w książce „Dalej jest noc". Co pani Leszczyńska chciałaby powiedzieć tym, którzy się ucieszyli z jej zwycięstwa? – Trzeba w życiu robić to, co Pan Bóg przykazał – odpowiada. Tak jak faktycznie swoją misję spełniło Radio Maryja, nagłaśniając sprawę, tak jak na wysokości zadania stanęła Reduta Dobrego Imienia, mec. Monika Brzozowska-Pasieka, wreszcie sama babcia Filomena. Nauki jej ojca i stryja przynoszą dobre owoce.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4c85cccd8



Zdekomunizujmy Powązki Wojskowe

Dziś groby żołnierzy niepodległości sąsiadują tu z okazałymi mauzoleami komunistycznych morderców. To Powązki Wojskowe w Warszawie. Muszą się stać polskim cmentarzem, nekropolią chwały Polaków, polskich żołnierzy, polskich autorytetów, a nie zbrodniarzy komunistycznych. Tak było w II Rzeczypospolitej, zanim po 1945 r. cmentarz zawłaszczyli rodzimi bolszewicy



TADEUSZ PŁUŻAŃSKI

Podczas uroczystości Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, organizowanych przez Fundację „Łączka" na Powązkach Wojskowych, powiedziałem: „Idąc tutaj, na Łączkę, jakie groby mijamy? Mauzoleum Bolesława Bieruta, grób Stanisława Radkiewicza, szefa bezpieki. Z jednej strony Jakub Berman, z drugiej słynna Luna Brystigerowa – zbrodniarze, mordercy Żołnierzy Wyklętych. Niedaleko jest też grób Aleksandra Dreja, kata Mokotowa, który 1 marca 1951 r. strzelił w głowę siedmiu wspaniałym Polakom, mężom, ojcom, dowódcom IV Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość".

W obecności marszałków Sejmu i Senatu, ministrów rządu RP z premierem Mateuszem Morawieckim na czele, a nade wszystko żyjących żołnierzy wyklętych (był z nami płk Waldemar Nowakowski „Gacek") i rodzin żołnierzy wyklętych (m.in. Aleksandry Moroń i Henryki Gruszki – córek Jana Przewoźnika „Rysia"; Waldemara Wrońskiego, siostrzeńca Tadeusza Radwańskiego „Kostka"; Gabriela Kubackiego, syna Józefa Kubackiego „Wichra"), jako gospodarz uroczystości na Łączce zaapelowałem: „Musimy uczynić z całych Powązek wielką narodową nekropolię, polski cmentarz. Pytanie tylko, jak to zrobić. Proponuję, żeby zrobić dokładnie to, co stało się z placem Piłsudskiego w Warszawie i co stało się z terenem Westerplatte w Gdańsku. Trzeba wywłaszczyć Powązki Wojskowe na rzecz skarbu państwa, skoro władze samorządowe, władze Warszawy z tym tematem sobie nie radzą, bo zapewne nie chcą sobie po prostu poradzić".

DWIE STACJE WARSZAWSKIEJ GOLGOTY

Cmentarz Powązki Wojskowe w Warszawie. Tu jaśnieją kwatery powstańców styczniowych, żołnierzy wojny

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl d4c85cccd8



Kwatera „Ł” na Powązkach Wojskowych

Fot. Fratria

polsko-bolszewickiej 1920 r., września 1939 r. czy powstańców warszawskich (w tym młodzieży z Szarych Szeregów – kwatera brzozowych krzyży stworzona dzięki por. Janowi Rodowiczowi „Anodzie”, zamordowanemu później przez komunistów). Tu co roku oddajemy im hołd 1 sierpnia o godzinie „W”. Tu o groby naszych bohaterów dbają społecznicy, kibice...

Tu też przez długie lata PRL zrzuceni do bezimiennych dołów śmierci, przykryci grubą warstwą nawiezionej ziemi, spoczywali żołnierze wyklęci-niezłomni – ofiary komunistycznych zbrodni. Polscy niepodległościowcy nie mieli (i w dużej mierze nie mają do dziś) grobów. Nie mieli też pogrzebów. Nie odprowadzała ich tu rodzina ani ksiądz. Na rozkaz nielegalnej, bo niewybranej przez Polaków władzy trzymanej z nadania Kremla przez Bieruta, Bermana, czy Radkiewicza zostali potajemnie zakopani w ziemi, aby w myśl szatańskiego planu na wieki pozostać wyklętymi – wymazanymi ze świadomości Polaków.

To zbrodnia dokonana w katowni bezpieki przy ul. Rakowieckiej 37. Sowieckim, katyńskim strzałem w tył głowy przez dwóch katów Mokotowa: Piotra Śmietańskiego, następnie Aleksandra Dreja. Bohater trzech wojen – gen. August Emil Fieldorf „Nil” i policjant II RP mjr Bolesław Kontrym „Żmudzin” zostali powieszeni. Groźnych dla siebie przeciwników – bo ideowych polskich niepodległościowców – komuniści chcieli dodatkowo odrzeć z munduru, zrobić z nich pospolitych przestępców. Dziś wydobyte przez Instytut Pamięci Narodowej szczątki patriotów są identyfikowane. Ten proces też trwa zbyt długo.

Rakowiecka to pierwsza stacja warszawskiej Golgoty. Łączka to stacja druga.

TU LEŻĄ ZBRODNIARZE

Powązki Wojskowe – w II RP nekropolia chwały polskiego oręża – po wojnie zostały zawłaszczone i zbezczeszczone przez komunistów. Tak samo zresztą jak cała Polska.

Czerwoni uzurpatorzy wzięli sobie oczywiście aleję Zasłużonych, gdzie do dziś straszą tacy degeneraci jak Władysław Gomułka, Karol Świerczewski czy tzw. prezydent, a naprawdę naczelny zbrodniarz Bolesław Bierut – główny morderca żołnierzy wyklętych, który podpisał na nich setki wyroków śmierci.

Przypomnę nazwiska innych bolszewickich niegodziwców, którzy nigdy nie powinni byli trafić na ten szczególny polski cmentarz.

Komunistyczni marszałkowie:

Marian Spychalski i Michał Rola-Żymierski.

Komunistyczni generałowie, w tym:

Zygmunt Berling, Włodzimierz Oliwa, Józef Urbanowicz, Piotr Jaroszewicz (był także premierem PRL), Franciszek Jóźwiak (również wiceszef bezpieki, twórca i pierwszy komendant Milicji Obywatelskiej), Bolesław Kieniewicz (także dowódca zbrodniczego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego – wzorowanego na wojskach wewnętrznych NKWD), Aleksander Zawadzki (przewodniczący Rady Państwa RPL), Henryk Jabłoński (kolejny przewodniczący Rady Państwa PRL), Włodzimierz Muś (kolejny dowódca KBW), Edward Ochab (tak jak większość pozostałych funkcjonariusz Komunistycznej Partii Polski – poprzedniczki PPR/PZPR), Franciszek Szlachcic (szef komunistycznego MSW).

Szefowie bezpieki:

Stanisław Radkiewicz, Roman Romkowski, Mieczysław Mietkowski, Jan Ptasiński, Konrad Świetlik.

Niżsi rangą ubeccy pałkarze: Anatol Fejgin, Stanisław Łyszkowski, Marian Stróżyński, Edward Umer (rodzony brat Adama Humera).

Krwawi sędziowie:

Józef Badecki, Marian Frenkiel, Władysław Garnowski, Leo Hochberg, Teofil Karczmarz, Roman Kryże, Bronisław Ochnio.

Krwawi prokuratorzy:

Stanisław Zarako-Zarakowski, Henryk Holder, Henryk Ligięza.

Komunistyczne morderczynie:

Julia „Luna” Brystiger i Alicja Graff.

OSTATNIE LATA

W ostatnich latach Powązki zabarwili na czerwono kolejni komuniści. W 2013 r. obok kwatery „Ł” spoczął peerelowski szef MON Florian Siwicki, jeden z architektów inwazji na Czechosłowację i stanu wojennego. Chwilę wcześniej Jan Czapla i Włodzimierz Sawczuk, szefowie Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego i wśród wielu innych komunistycznych dygnitarzy

eprasa.pl d4c85cccd8

– reprezentantów interesów Moskwy: Eugeniusz Molczyk, zastępca naczelnego dowódcy wojsk Układu Warszawskiego, w razie sowieckiej interwencji szykowany przez Moskwę na dowódcę WP, chciał zlikwidować Solidarność siłą. Z kolei Czapla był wcześniej zastępcą dowódcy ds. politycznych Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który pacyfikował „bandytów", czyli niepodległościowe podziemie.

Obok Tadeusz Pietrzak – w grudniu 1970 r. współdecydował o strzelaniu do polskich robotników, a zbrodniczą karierę rozpoczynał od wymordowania żołnierzy kpt. Henryka Flamego „Bartka". W kolumbarium „kat Trójmiasta" Stanisław Kociołek oraz poprzednik Jerzego Urbana Artur Starewicz, szef komunistycznej propagandy w latach 1948–1954.

Trudno pominąć towarzysza generała Wojciecha Jaruzelskiego – nawet zdaniem sądu III RP – przywódcę związku przestępczego o charakterze zbrojnym. Jego grobu, na którym wyryto (zapewne „towarzyszka panienka") lapidarne określenie „żołnierz", niezmiennie pilnuje kamera, aby po śmierci – tak jak za życia – przypadkiem nic złego mu się nie stało.

DOSTALIŚMY W TWARZ

Do dziś na Powązkach chowani są komunistyczni notable i zbrodniarze. Kto o tym decyduje? Prezydent Warszawy, względnie osoba przez niego upoważniona. Wystarczy, aby stalinowiec czy inny komunistyczny decydent posiadał stopień generała lub był odznaczony Orderem Virtuti Militari.

Ale co Rafał Trzaskowski ma wspólnego z nekropolią? Niestety ma, bo Powązki są cmentarzem wojskowym tylko z nazwy, a właścicielem jest miasto stołeczne Warszawa.

Problem z pochówkiem „zasłużonego" towarzysza może się pojawić jedynie wówczas, gdy denat został pozbawiony praw publicznych, stopnia wojskowego lub skazany prawomocnym wyrokiem sądu. Jak wiadomo, w III RP nawet najbardziej haniebne, zbrodnicze czyny komunistów nie zostały napiętnowane, a tym bardziej osądzone. Dzięki „okrągłostołowej" abolicji. Mordercy byli szanowani za życia, honorowani także po śmierci. I znów z czerwonego kapelusza wyskakuje nam towarzysz generał Jaruzelski. Ten pierwszy człowiek Moskwy w PRL został w 2014 r. pochowany na Powązkach ze szczególnymi honorami, asystą wojskową, przemówieniami prominentnych przedstawicieli magdalenkowych pseudoelit. Wielu Polaków poczuło wówczas, jakby dostało w twarz.

> Jaruzelskiego trzeba wynieść z Powązek, tak jak Bieruta, Gomułkę czy Cyrankiewicza. Tylko jak to zrobić? Jest jeden sposób – ponieważ na władze Warszawy nie ma co liczyć, musimy walczyć o to, żeby Powązki Wojskowe przeszły – tak jak plac Piłsudskiego w Warszawie czy teren Westerplatte w Gdańsku – z rąk samorządu na własność państwa

Jaruzelskiego też trzeba wynieść z Powązek, tak jak Bieruta, Gomułkę czy Cyrankiewicza. Tylko jak to zrobić? Jest jeden sposób – ponieważ na władze Warszawy nie ma co liczyć, musimy walczyć o to, żeby Powązki Wojskowe przeszły – tak jak plac Piłsudskiego w Warszawie czy teren Westerplatte w Gdańsku – z rąk samorządu na własność państwa.

A jaki jest stosunek magistratu do dekomunizacji cmentarza? Rzeczniczka Zarządu Cmentarzy Komunalnych Anna Obuchowicz powiedziała kiedyś szczerze: „IPN nie ma żadnej mocy sprawczej, żeby przenosić groby. Byłaby to profanacja miejsca pochówku i naruszenie praw rodziny. Zarząd cmentarza na pewno nie wydałby na to zgody".

Dlatego łatwo nie będzie. Szansa w tym, że orędownikiem dekomunizacji Powązek Wojskowych wydaje się Instytut Pamięci Narodowej, a otwarcie o takiej konieczności mówi Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Znalazłem nawet wspierającą wypowiedź czynnego wówczas senatora Platformy Obywatelskiej, opozycjonistę w PRL Jana Rulewskiego: „Powinno się poprosić rodziny, między innymi Bolesława Bieruta, o to, żeby przenieśli te groby w inne miejsce".

To może jednak się uda?

ABY NIE „SZARGAĆ AUTORYTETÓW"

1 sierpnia 2016 r. mauzoleum obermordercy Bieruta zostało „zdewastowane" – doniosła nieoceniona „Gazeta Wyborcza". „Dewastacja" polegała na napisaniu na płycie – czerwoną farbą słowa KAT. Aby do takiego „szargania autorytetów" nie dochodziło, zawołajmy jeszcze raz: oczyśćmy Powązki z komunistów. Wszystkich i jak najszybciej! Bo to jest polski cmentarz. Wynieśmy ich – z zastosowaniem cywilizowanych procedur – na cmentarz komunalny, a najlepiej na cmentarz żołnierzy radzieckich w Warszawie.

ŁĄCZKA

Jest jeszcze problem Łączki na tych samych Powązkach. 1 marca, podczas uroczystości Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, mówiłem: „Tutaj musi powstać wielki narodowy panteon chwały, na wzór Cmentarza Orląt Lwowskich, w miejsce panteoniku, który jest za nami. Zamiast szuflad ze stłamszonymi kośćmi naszych bohaterów, każdy musi mieć swój grób. Każdy żołnierz wyklęty zasłużył po latach poniewierki, prześladowań, represji, na własny grób".

eprasa.pl d4c85cccd8



Fot. Andrzej Wiktor

Polskie firmy wyjdą z kryzysu obronną ręką

Jeżeli dobrze wykorzystamy najbliższe lata, to pomimo osłabienia przez pandemię nie tylko szybko się odbudujemy, ale wykonamy kolejny skok cywilizacyjny i realnie dogonimy poziom życia większości nadal bogatszych krajów europejskich

Jacek Karnowski rozmawia z Pawłem Borysem, prezesem Polskiego Funduszu Rozwoju

W zeszłym tygodniu PFR poinformował, że sfinansuje inwestycję polskiej firmy biotechnologicznej Mabion w produkcję w Polsce szczepionki przeciw COVID-19. Mają to być preparaty amerykańskiej firmy Novavax. Preparaty, których – jak rozumiem – jeszcze nie ma na rynku?

Paweł Borys: Zapewnienie dostępności szczepionek jest w tej chwili głównym priorytetem dla całego świata. Brakuje mocy produkcyjnych. Na rynku jest już obecnych kilka szczepionek, ale niedługo dojdzie m.in. szczepionka firmy Novavax. Wstępne wyniki jej testów są bardzo pozytywne i wskazują na wysoką efektywność, co plasuje ją w czołówce rankingów. Polska firma Mabion, w którą PFR zainwestował jeszcze w 2018 r., może stać się głównym producentem tej szczepionki w regionie. To z kolei ułatwi nam kupno i zwiększy bezpieczeństwo dostaw szczepionki. A jeszcze w tym roku planujemy zakup 8 mln dawek.

Czy dzięki tej współpracy Mabion rozwinie swoje kompetencje w tej dziedzinie? Uzyska dostęp do wiedzy?

Mabion specjalizuje się w technologiach białkowych, pracuje też nad swoim lekiem. To firma, która dysponuje dokładnie tymi kompetencjami, które są potrzebne przy produkcji szczepionek opartych na technologii białkowej.

Jak wygląda kalendarz związany z rozpoczęciem produkcji w Polsce?

eprasa.pl d4c85cccd8

Zgodnie z porozumieniem między Mabionem a Novavaxem transfer technologii nastąpi w drugim kwartale tego roku. To pozwoliłoby rozpocząć produkcję szczepionki na skalę przemysłową w połowie roku. Polska dołączyłaby do dość elitarnego grona producentów szczepionek przeciw COVID-19.

To o tyle ważne, że szczepienie trzeba będzie zapewne powtarzać co roku. Dostęp do szczepionek staje się więc kluczowym wyzwaniem dla każdego państwa.

Szczepienia na pewno będą powtarzane, tak jak w przypadku grypy. Szczepionki będą co roku ulepszane, poprawiane, zmieniane, choćby w odpowiedzi na mutowanie się koronawirusa. Bezpieczeństwo dostaw będzie znaczyło bardzo wiele. Ale ta inwestycja ma szerszy sens, ponieważ technologie białkowe mają zastosowanie przy produkcji wielu zaawansowanych technologicznie leków.

Na czym konkretnie polega ta inwestycja?

Dzięki finansowaniu od PFR w kwocie 4 mln zł Mabion podwoi swoje moce produkcyjne. Kluczowy jest zakup nowoczesnych bioreaktorów. Polska na pewno na tym skorzysta. Nie jesteśmy obecnie w stanie szybko stworzyć swojej szczepionki, ale posiadanie technologii i mocy produkcyjnych jest obecnie również kluczowe. Nawiązanie współpracy strategicznej z amerykańską firmą to duży sukces Mabionu, wspieranego też w tych rozmowach przez polski rząd i PFR.

Dlaczego wybrano firmę Novavax? Nie lepiej byłoby uruchomić produkcję szczepionki już obecnej na rynku, np. Pfizera?

Novavax ma szczepionkę białkową, czyli w takiej technologii, jaką dysponujemy. Nie mamy firm, które poradziłyby sobie ze szczepionką mRNA. Konkretnie mówiąc: już nie mamy. Osiem lat temu tę technologię opracowała polska firma, która została jednak sprzedana niemieckiej. Szkoda.

Jak doszło do nawiązania współpracy z Amerykanami?

Pierwsze kontakty nawiązał sam Mabion. Później w ten proces włączyliśmy się my, dając gwarancje, pokazując, że to jest poważny partner i że są pieniądze. Nad finalną umową po stronie polskiej pracował specjalny zespół powołany przez premiera Mateusza Morawiec-kiego, którym na bieżąco kierował minister Michał Dworczyk, oczywiście z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia. Całość negocjacji z udziałem rządu zajęła dwa tygodnie. Dla PFR to także element szerszego programu „PFR Life Science", stworzonego trzy lata temu, czyli inwestycji w rozwój polskiej branży biotechnologicznej. To branża bardzo przyszłościowa, ale trudno w niej o kapitał, bo wieloletnie badania mogą przynieść albo olbrzymi sukces, albo doprowadzić donikąd. Dzięki naszemu wsparciu mamy w Polsce już trzy firmy biotechnologiczne, które realnie pracują nad polskimi lekami, tak jak Sevita czy Mabion.

O jakich pieniądzach ze strony rządu mówimy?

PFR zainwestuje obecnie 40 mln zł i kolejne 100 mln, jeżeli zamówienia będą wyższe od zakładanych. Mabion chce pozyskać poprzez giełdę drugie tyle.

Czy Polska będzie mogła te szczepionki sprzedawać dalej, dystrybuować? To byłoby ważne narzędzie dyplomatyczno-polityczne.

To będzie zależało od dalszych ustaleń. Teraz trzeba zakończyć proces rejestracji szczepionki, co powinno nastąpić w ciągu miesiąca lub dwóch, przetransferować do Polski technologię, uruchomić produkcję.

Mówimy o infrastrukturze krytycznej, związanej z lekami, z medycyną, której znaczenie jest dziś oczywiste. Jednocześnie słyszymy z ust prof. Andrzeja Horbana, że „nie jesteśmy w stanie wyprodukować własnych masek i musimy korzystać z masek produkowanych za granicą". Czy rzeczywiście nie udało się załatwić tej sprawy?

Zaniedbania w sferze wyposażenia szpitali w sprzęt i potrzebne środki to ostatni zarzut, który można postawić rządowi. Widać, że wyposażenie jest w pełni dostępne, o co zadbano latem poprzez doposażenie szpitali i stworzenie rezerw strategicznych w ARM. Powstało też kilka zakładów produkcyjnych w naszym kraju. To naprawdę nie jest problem. W przypadku szczepionek mówimy o czym innym. To są rzadkie i bardzo kosztowne technologie, tworzone latami. Wierzę, że polska nauka ma potencjał tworzenia tych technologii i mamy bardzo nowoczesną infrastrukturę badawczą. Ale brakuje nam umiejętności komercjalizacji, tzn. przełożenia wyników badań podstawowych na konkretne zastosowania, co wymaga dalszych badań, kapitału, a następnie umiejętności dystrybucji leków. W naszym kraju nie powstał niestety żaden ważny znaczący lek. Ale to się może zmienić.

A gdyby na początku pandemii PFR powiedział: mamy duże pieniądze, zbieramy naukowców, firmy, pracujemy nad polską szczepionką?

Program inwestycji w biotechnologię, uruchomiony trzy lata temu, to właśnie droga, która ma doprowadzić do tego, byśmy mieli odpowiednie kompetencje w tej dziedzinie. Niestety tych projektów jest bardzo mało. Współpraca uniwersytetów i biznesu wygląda w Polsce słabo. Mamy bardzo nowoczesną infrastrukturę badawczą, która niestety często stoi niewykorzystana. Brakuje ciekawej wiedzy, a jeśli już jest, to nie ma umiejętności doprowadzenia do komercyjnego finału. Jeśli coś nam się uda wynaleźć czy zbadać, to często bardzo szybko tę wiedzę przejmują inni.

Bez zaszczepienia większości ludności gospodarka nie ruszy pełną parą. To jest wyścig z czasem, w którym polska gospodarka może też przegrać?

Na tle innych krajów przechodzimy przez ten kryzys naprawdę suchą stopą. Mamy drugi najniższy spadek PKB w 2020 r. po Litwie oraz, co było naszym najważniejszym celem działań antykryzysowych, ludzie utrzymują pracę. Właśnie Eurostat podał dane, według których pierwszy raz w historii mamy najniższe bezrobocie w Unii Europejskiej. Dzisiaj tarcza finansowa PFR chroni 3,5 mln miejsc pracy. W przemyśle mamy nawet mały

eprasa.pl d4c85cccd8

boom, eksport i nasza nadwyżka handlowa też biją rekordy. Na tle bardzo wielu państw radzimy sobie naprawdę dobrze. Szybka reakcja na recesję w drugim kwartale przesądziła o tym, że wychodzimy z pandemii obronną ręką i nie grozi nam scenariusz południa Europy po kryzysie finansowym 10 lat temu, gdzie mamy do czynienia z bezrobociem ponad 16-procentowym w Hiszpanii i Grecji. Mówi się tam o straconym pokoleniu. Niestety druga fala pandemii pokazała, że choć większość gospodarki radzi sobie dobrze, to zwłaszcza branża usług zmaga się z olbrzymimi wyzwaniami.

Gastronomia, turystyka, hotelarstwo, fitness czy sfera rozrywki twierdzą, że toną.

Te branże, stanowiące ok. 5 proc. polskiej gospodarki, od marca są w bardzo trudnym położeniu. To dla nich masowe szczepienia są kwestią życia i śmierci. Do tego czasu robimy wszystko, aby im pomóc możliwie stabilnie przejść przez ten bardzo trudny okres. W ramach tarczy finansowej 2.0 wypłaciliśmy od początku tego roku 7 mld, które trafiły do ponad 45 tys. firm. Przeciętna restauracja, zatrudniająca dwóch czy trzech pracowników, dostała ok. 80 tys. zł, a średniej wielkości hotel ok. pół mln zł.

W internecie nie brakuje jednak filmików, na których przedsiębiorcy twierdzą, że wystąpili o pomoc i jej nie dostali.

W najtrudniejszej sytuacji są firmy jednoosobowe, które nie zatrudniały pracowników. Nasz program ma bowiem przede wszystkim chronić zatrudnienie. Ale i najmniejsi dostali pomoc: mikrodotacje, postojowe czy zwolnienia ze składek.

Czy PFR sprawdza sygnały o tym, że ktoś występował o pomoc i jej nie dostał?

Każdy taki sygnał traktujemy poważnie. Często się okazuje, że albo firma nie zatrudniała ludzi na umowę o pracę, albo podawane są nieprawdziwe informacje. Niedawno pewna restauracja ogłosiła, że nie dostała pomocy, a okazało się, że trafiło do niej 830 tys. zł, a więc bardzo dużo.

Mówmy o restauracji, w której wnętrzach nakręcono spot informacyjny PFR. Firma dostała spore pieniądze, po czym publicznie twierdzi, że ich nie dostała. Co to za zjawisko? Wstydzą się, że dostali pomoc od rządu, którego być może nie lubią?

Trudno mi ocenić motywację konkretnych firm, ale takich przypadków jest więcej. Nawet ludzie, którzy stają na czele ruchów protestów i twierdzą, że nic nie dostali, często mówią nieprawdę, bo skorzystali z pomocy. Po sprawdzeniu pewnego restauratora, który promował restaurację „polski nierząd", okazało się, że na jego konto trafiło ponad 200 tys. zł. W sumie warto powiedzieć jedno: nigdy w historii polscy przedsiębiorcy nie dostali tak dużej pomocy jak obecnie. W ciągu roku pomoc trafiła do co drugiej polskiej firmy. W sferze wydatków zbliżamy się do 200 mld zł, z czego połowa to pomoc bezzwrotna. Efektem tego jest duży bufor płynnościowy firm, który pomaga także podczas drugiej i trzeciej fali pandemi oraz przede wszystkim utrzymanie zatrudnienia, bo od tego zależy umorzenie subwencji.

Pytanie, czy wszystkie firmy, które przetrwały w pandemii dzięki pomocy publicznej, przetrwają po jej ustaniu. Na Zachodzie mówi się, że wiele firm to swego rodzaju zombi, które powinny dawno upaść.

W Polsce chyba nam to nie grozi, bo określając strategię walki z kryzysem, postawiliśmy więcej niż inne kraje na pomoc bezzwrotną, o ile firmy utrzymają zatrudnienie. To jest strategia win-win, tzn. firmy mają subwencje, które będą umorzone, jeśli utrzymają zatrudnienie. Wygrywa i przedsiębiorca, i pracownik. Firmy nie wyjdą więc z kryzysu zadłużone ani tak słabe, że nie będą w stanie się rozwijać. W wielu krajach głównym rodzajem pomocy było gwarantowanie kredytów. To oznacza, że firmy przeżyły, ale wyjdą z kryzysu bardzo zadłużone. Tam powrót do stabilnego wzrostu będzie trwał długo i będzie to droga wyboista. W Polsce sytuacja finansowa jest w wielu przypadkach lepsza niż przed epidemią – relacja depozytów do kredytów firm i gospodarstw domowych jest najlepsza od lat. Duży ciężar poniosły finanse publiczne, których zadłużenie wzrośnie, ale też w rozsądnej i bezpiecznej skali. Jeśli szybko wrócimy na ścieżkę wzrostu, to dług szybko spadnie.

Jak pan odpowie prof. Waldemarowi Paruchowi, który w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" stwierdził niedawno: „Wiemy np., że w ostatnich miesiącach z jednej strony wzrosły oszczędności wielu Polaków, z drugiej szybko drożeją mieszkania i domy. Skąd w pandemii wzięły się te środki? Prawdopodobnie są to pieniądze pochodzące z tarcz antykryzysowych, z owych 200 mld zł. I tu pojawia się pytanie, co zyskali ci, którzy zarabiają 2,7 tys. zł czy trochę mniej lub więcej? Co dostali w czasie kryzysu?".

Żeby otrzymać pomoc, trzeba spełnić warunki, w tym przede wszystkim mieć istotny spadek przychodów o ponad 30 proc. Zdecydowana większość pomocy, która trafia do firm, służy utrzymaniu miejsc pracy. Otrzymane pieniądze idą głównie na finansowanie pracowników. Pośrednio pomoc rządowa trafia więc do pracowników w formie pensji. Niezależne raporty wskazują, że bez tarczy finansowej PFR pracę straciłoby ponad 600–700 tys. osób. A czy zdarzają się nieuczciwi przedsiębiorcy? Oczywiście zdarzają się takie przypadki, ale oceniamy, że to naprawdę margines.

Jak PFR walczy z nadużyciami?

Od pierwszych dni współpracujemy z Krajową Administracją Skarbową, z ZUS, ze służbami specjalnymi, z prokuraturą, mamy opracowane kanały wymiany informacji. Osobiście poprosiłem ministra Mariusza Kamińskiego o objęcie całego programu tarczą antykorupcyjną. Sami identyfikujemy firmy, w których przypadku ryzyko wyłudzenia subwencji jest podwyższone. Opracowaliśmy z CBA specjalne algorytmy. Chodzi o zawyżanie kwot subwencji lub np. o firmy, które są w rejestrach karuzeli vatowskich. Nasz system blokuje wówczas pomoc. Każdy może się odwołać i wówczas sprawdzamy indywidualnie konkretną firmę.

Jak wiele jest takich firm?

W sumie chodzi o kilkaset podmiotów na blisko 370 tys., które z pomocy sko-

eprasa.pl d4c85cccd8

rzystały. Warto podkreślić, że w wielu krajach zachodnich skala nadużyć okazała się olbrzymia. W Niemczech czy Stanach Zjednoczonych oceniano, że nadużycia dotyczyły nawet 20 proc. kwot pomocy. U naszego zachodniego sąsiada niektóre landy musiały przerwać udzielanie pomocy, ponieważ skala wyłudzeń na fikcyjne firmy była zbyt wielka. U nas tego nie ma, ponieważ wykorzystaliśmy nowoczesne technologie i weryfikacja wniosków była automatyczna z rejestrami publicznymi. Miałem nawet zapytania z innych krajów, jak sobie poradziliśmy z tymi zagrożeniami.

Na ile pandemia może zmienić krajobraz własnościowy? Z jednej strony osłabione polskie firmy mogą zostać wykupione przez zagraniczny kapitał, z drugiej – my też możemy korzystać z okazji i kupować.

Polskie firmy wyjdą z kryzysu obronną ręką, będziemy mieli swego rodzaju pole position przed kolejnym okrążeniem. Jeśli dodamy do tego pieniądze z Funduszu Odbudowy, to w sumie możemy gonić bogatszych jeszcze szybciej niż dotąd. Najważniejsze jest szybkie dostosowanie się do nowych warunków, sięganie po nowe technologie, takie jak chmura obliczeniowa czy elektroniczne kanały sprzedaży. Tu nie można zaspać. Z kolei na poziomie państwowym pandemia nie powinna zawieszać takich projektów, jak Centralny Port Komunikacyjny, który – jeśli będzie mądrze skalowany – może pchnąć nas do przodu w wielu obszarach. Przykładem może być nasza inwestycja w terminal kontenerowy DCT w Gdańsku, który stał się już największym hubem kontenerowym na Bałtyku, dającym budżetowi 10 mld zł rocznie. CPK także zwróci się bardzo szybko.

Pytanie, czy nie zatrzymają nas ceny energii. Koszty emisji CO_2 rosną, ceny prądu rosną, wymusza się na nas gwałtowne odejście od węgla, który zapewnia nam ponad 70 proc. energii.

Teza, że musimy na tym przegrać, jest fałszywa. Wchodzimy w tę grę później i możemy skorzystać z tzw. renty zapóźnienia. Technologie solarne i wiatrowe stały się tańsze, łatwiej dostępne, bardziej efektywne. To nie będzie więc tak drogi proces jak Energie Wende dla konsumentów w Niemczech. Oczywiście, musimy budować u siebie odpowiedni przemysł, musimy wypracować i zdobyć technologie oraz kompetencje. Przy okazji zlikwidujemy smog, przez co poprawimy nasze zdrowie i jakość życia.

Tu pojawia się jednak zarzut, że zielona energia to w istocie finansowanie Niemiec, bo to oni produkują kluczowe urządzenia.

To nie są na tyle skomplikowane produkty, żebyśmy nie mogli sobie poradzić. Konstrukcje stalowe umiemy przecież robić. A fotowoltaika to przede wszystkim Chiny, choć już w branży baterii Polska jest sporym producentem. Trzeba ten „łańcuch wartości" spolonizować w jak największym stopniu. PFR już od dwóch lat inwestuje w zieloną energię, w biogazownie, w technologie wodorowe. W tym roku wyjedzie z Pesy pierwsza lokomotywa wodorowa, która będzie jeździła dla PKN Orlen.

> Zgodnie z porozumieniem między Mabionem a Novavaxem transfer technologii ma nastąpić w drugim kwartale tego roku. To pozwoliłoby rozpocząć produkcję szczepionki na skalę przemysłową w połowie roku. Polska dołączyłaby do dość elitarnego grona producentów szczepionek przeciw COVID-19

Ale czy nie powinniśmy mocniej bronić węgla?

Musimy szukać kompromisu między bezpieczeństwem, zdrowiem i klimatem a możliwie niskimi cenami energii, co jest ważne i dla odbiorców indywidualnych, i dla konkurencyjności gospodarki. Wiatru i energii słonecznej nikt nam nie wyłączy, zwłaszcza jeżeli te źródła wzmocnimy atomem. To oznacza wysokie bezpieczeństwo. Redukcja emisji CO_2 to nasze zdrowie, mniej chorób, a pośrednio niższe koszty opieki zdrowotnej dla budżetu. Rachunek jest więc oczywisty. Postawienie na najnowsze technologie i atom powinno dać nam z kolei konkurencyjne ceny energii. Spowalnianie tego procesu jest więc sprzeczne z naszym interesem społecznym i gospodarczym. Z drugiej strony jest oczywiste, że węgiel musi być obecny w naszej energetyce jeszcze przez wiele lat. Transformacja Śląska musi mieć charakter ewolucyjny, nie rewolucyjny, dbając o miejsca pracy dla ludzi w tych regionach. To są konkretne problemy społeczne, choć trzeba też pamiętać, że wśród młodych ludzi nie ma zbyt wielu chętnych do pracy w kopalniach.

Na koniec pytanie o pomysły opozycji na walkę z kryzysem. Czy np. obniżenie VAT dla branż szczególnie dotkniętych pandemią to dobra koncepcja?

Uważam, że tzw. recepta na kryzys nic nie da. Ekonomiści mają dziś zresztą dużą wątpliwość, czy obniżanie VAT naprawdę pomaga. Cóż zresztą po niższym VAT w branżach, gdzie jest brak obrotów? Polska gospodarka potrzebuje dziś nie takich prostych recept, ale szerszego spojrzenia, odważnej wizji, konsekwencji w jej realizacji. Udało się zrealizować główne cele planu Morawieckiego. Wzrosło zatrudnienie, wynagrodzenia, spadło ubóstwo i przekroczyliśmy 77 proc., jeżeli chodzi o poziom naszych dochodów w relacji do średniej UE. Ale pandemia przewartościowała nasze życie i świat. Dlatego tak ważne jest pokazanie przez premiera nowej wizji i priorytetów w Nowym Polskim Ładzie. Jeżeli dobrze wykorzystamy najbliższe lata, to pomimo osłabienia przez pandemię nie tylko szybko się odbudujemy, ale wykonamy kolejny skok cywilizacyjny i realnie dogonimy poziom życia większości nadal bogatszych krajów europejskich.

eprasa.pl d4c85cccd8



Uwieść i wykorzystać. Metoda polityczna Adama Michnika



DOMINIK ZDORT

Narzekaliśmy, że w Polsce nie są wydawane biografie osób żyjących. Że u nas portretuje się tylko tych, którzy zmarli, szczególnie jeśli nie mają spadkobierców. A jednak...

Dobrym przykładem jest tu film „Pan T.", który opowiada o żyjącym w czasach stalinowskich antykomunistycznym literacie o nazwisku na T. Wszyscy oczywiście wiedzą, kim był pierwowzór, ale autorzy filmu rżną głupa i twierdzą, że bohater filmu nie ma nic wspólnego z pisarzem o nazwisku zaczynającym się na tę samą literę.

Wspominam o tym dlatego, że właśnie ukazuje się biografia wciąż żyjącego pana M., w dodatku autor wcale nie ukrywa, że chodzi o Adama Michnika. To odważne, bo wiadomo, że wspomniany polityk i redaktor ma w zwyczaju nasyłać suto opłacanych prawników na tych, którzy nie chwalą go wystarczająco.

A Michnik to postać dla najnowszej historii Polski bardzo ważna, jeśli nie najważniejsza. Choć najwyższą funkcją państwową, jaką sprawował, był mandat poselski, to w rzeczywistości jest – jak w tytule książki – demiurgiem III RP, człowiekiem, który sterował premierami i prezydentami Polski, kreował narracje czyniące bohaterów ze zdrajców – i odwrotnie.

Książkę o Adamie Michniku napisał Roman Graczyk, były dziennikarz „Gazety Wyborczej" i „Tygodnika Powszechnego", obecnie pracownik krakowskiego IPN. Politycznie można by go dziś nazwać „symetrystą" i ma to kapitalne znaczenie, bo należy założyć, że gdyby biografię tę pisał dziennikarz kojarzony z prawicą, nie dotarłby do wielu rozmówców. Z Graczykiem zresztą też nikt z aktualnych współpracowników Michnika nie chciał rozmawiać – można się domyślać, że bohater biografii wydał w tej sprawie jakiś ukaz. Za to zgodziło się paru byłych podwładnych redaktora, którzy niekoniecznie rozmawialiby z kimś innym.

Mrówcza praca Romana Graczyka, kwerendy w IPN, w licznych wydanych wcześniej pracach i rozmowy nie przyniosły w tej sytuacji żadnych sensacyjnych informacji – do tego potrzebna byłaby wiedza insajderska. Jednak krąg akolitów redaktora okazał się dla autora całkowicie niemożliwy do przeniknięcia. To zresztą przyczynek do tej biografii: zdolność Adama Michnika tworzenia grup całkowicie hermetycznych, lojalnych wobec niego i mu podporządkowanych, niemal sekciarskich. Być może to umiejętność wyniesiona z harcerskich drużyn walterowskich, gdzie – jak pokazuje Graczyk – tego typu środowisko stworzył Jacek Kuroń.

Michnik ma zresztą znacznie większą od Kuronia predylekcję do tworzenia wokół siebie kręgów ludzi oddanych. Jego największym atutem, zanim stał się „tym Michnikiem", był osobisty urok (w co czasem dziś trudno uwierzyć) połączony z bezczelnością (w co trudno wątpić). Jako 18-latek wypuszczony po

eprasa.pl d4c85cccd8

raz pierwszy na Zachód nie tylko potrafi dotrzeć do czołowych działaczy emigracyjnych, lecz też zrobić na nich wrażenie. Wymieńmy tylko cztery nazwiska: Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak Jeziorański, Tadeusz Bór-Komorowski i Jerzy Giedroyc.

Ta nadzwyczajna umiejętność kokietowania ludzi, na których Michnikowi zależy, wraca zresztą raz po raz na kartach jego biografii. Antoni Słonimski (któremu sekretarzował w latach 70.) podarował mu kiedyś książkę z dedykacją „Panu Adasiowi Michnikowi jako memu powolnemu narzędziu z męskim uściskiem dłoni". W rzeczywistości – jak pokazuje Graczyk – to Słonimski był „powolnym narzędziem" w rękach Michnika, który wykorzystywał swojego mentora do przewożenia przez granicę „trefnych" przesyłek, a także do zachęcania znanych postaci ze świata kultury do składania podpisów pod listami otwartymi.

Michnik po prostu doskonale wiedział, jak się wkraść w łaski osób, których wsparcia potrzebował. W 1976 r. (a więc cztery lata przed Noblem) Czesław Miłosz był w depresji, przekonany, że nikt nie czyta jego poezji. I wtedy spotkał się na obiedzie w paryskiej restauracji z Adamem Michnikiem, który zaczął z pamięci recytować jego wiersze – jeden za drugim. Poeta popłakał się ze wzruszenia. To była świetna inwestycja. Potem Miłosz wielokrotnie odwdzięczał się Michnikowi, pisząc przedmowy do jego książek i głosząc laudacje na spotkaniach promocyjnych.

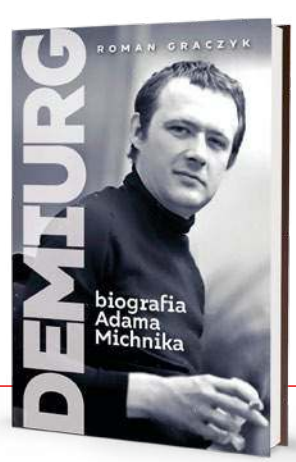
Czasem owo uwodzenie było tak ostentacyjne, że zwracało uwagę otoczenia. Podczas swoich 40. urodzin w 1986 r., na które zaprosił 350 gości, Adam Michnik wyjątkowo ciepło witał się z Jerzym Turowiczem, redaktorem „Tygodnika Powszechnego". Graczyk pisze tak: „Michnikowi zależało na tym, żeby się do tego świata [liberalnych katolików – przyp. D.Z.] zbliżyć i zyskać łaskawość jego najważniejszych reprezentantów".

Jak wiadomo, te zabiegi obecnego szefa „Gazety Wyborczej" się powiodły i ogromna część środowiska kojarzonego z Turowiczem poddała się temu, co moglibyśmy nazwać dziś lekko prześmiewczo „ukąszeniem michnikowskim".

Tej samej metody używał zresztą Michnik przy „okrągłym stole" i później wobec komunistów, z czasem cudownie przeistoczonych w postkomunistów. Budował sobie osobistą pozycję wśród ludzi, którzy na dźwięk jego nazwiska jeszcze niedawno wyciągali pistolet z kieszeni, i to zarówno tych ze starszego pokolenia, jak Wojciech Jaruzelski i Jerzy Urban, jak i nieco młodszych – choć umoczonych już w uczestnictwo w niedemokratycznym systemie – jak Leszek Miller i Aleksander Kwaśniewski. Powiedzieć, że pozwolili mu zawładnąć swoim środowiskiem, byłoby przesadą, ale ludzie ci z opinią Michnika od tego czasu zawsze się liczyli.

Kwaśniewski jako prezydent zaproponował redaktorowi stanowisko w Kancelarii Prezydenta. Ten odmówił, bo – jak słusznie zauważa Graczyk – „wcale nie musiał zabiegać o posady, żeby wywierać wpływ na bieg spraw". Nie bez przyczyny podczas tamtej prezydentury szefa „Wyborczej" nazywano wiceprezydentem. Miał też doskonałe kontakty z eseldowskimi premierami Włodzimierzem Cimoszewiczem i Leszkiem Millerem. Jednak, jak się niebawem okazało, zbliżenie z postkomunistami skończyło się dla Michnika nader nieprzyjemnie.

Jeśli przyjęta przez Sejm uchwała w sprawie „afery Rywina" prawidłowo opisuje sytuację, to „uwiedzeni" przez Michnika postkomuniści utworzyli „grupę trzymającą władzę" gotową załatwić Agorze ustawę, która pozwoli spółce kupić telewizję. Owa „grupa" uznała też, że sympatię i wdzięczność Adama Michnika można „zmonetyzować" za 17,5 mln dol. Ta transakcja miała się wszystkim opłacić. Coś jednak zawiodło, tym razem najwyraźniej, mimo wcześniejszego „uwiedzenia", komuś zabrakło chyba lojalności i „sprawa się rypła".



Roman Graczyk, „Demiurg. Biografia Adama Michnika", wyd. Zona Zero, 2021

A od ludzi, których uwiódł (czy to swoim urokiem, czy intelektem), Adam Michnik wymaga bezwzględnej wierności. Widać to i na przykładach dawniejszych, gdy za burtę swojej łodzi wyrzucał tych, którzy zbyt wiele powiedzieli na milicyjnym przesłuchaniu w roku 1968 (Andrzej Mencwel), widać to i obecnie, gdy dziennikarze choćby odrobinę odstający od linii „Gazety" muszą się żegnać z redakcją (Graczyk wymienia tu Artura Domosławskiego, Rafała Kalukina i Grzegorza Sroczyńskiego).

Taka polityka, jak wiadomo, zawsze kończy się tak samo: pozostają mierni, ale wierni – i takimi Adam Michnik od lat się otacza.

Tu anegdota: w 1994 r. pracowałem krótko w dziale publicystyki TVP1. Uznaliśmy, że warto byłoby na piątą rocznicę „Gazety Wyborczej" zrobić program. Umówiliśmy się więc na rozmowę do Agory, gdzie przyjęła nas wierchuszka „GW" z Adamem Michnikiem na czele. Chcieliśmy pokazać najważniejsze teksty „Gazety", a potem w studiu przeprowadzić o nich dyskusję z przeciwnikami „GW". Michnik był twardy: My z tymi ludźmi do stołu nie usiądziemy.

Zaproponowaliśmy więc, że będziemy przedstawiać te teksty, potem damy „z puszki" głos polemiczny, a na koniec odpowiedź kogoś z „Wyborczej". Michnik kręcił nosem, ale siedząca obok niego bardzo ważna pani redaktor szukała rozwiązania: „Adam, przecież mogą gadać, co chcą, a my puścimy tylko to, co będziemy chcieli". To wkręciło w fotel nawet samego Michnika, który fuknął przerażony prostackim pomysłem swojej koleżanki: „Teresa, ale tak nie można...".

Nie można? Dziś już wszystko można, a redaktorska metoda z „Gazety Wyborczej" przebiła się do innych mediów.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Fot. EAST NEWS/MARCIN SMULCZYNSKI

eprasa.pl d4c85cccd8



Wymazywanie

Krakowski poseł Maciej Gdula zarzucił Sienkiewiczowi i jego „W pustyni i w puszczy” „zatruwanie dzieci przez rasizm, kolonializm i patriarchat”. Samemu sobie coraz częściej stawiam pytanie, czy i kiedy nastąpi chwila, w której zacznie się palenie nieprawomyślnych książek



JAN ROKITA

Od ponad wieku spór o Henryka Sienkiewicza jest jednym z istotnych tropów polskiej kultury. Dość przypomnieć przenikliwą krytykę Sienkiewiczowskiego modelu polskości zdefiniowanego przez Brzozowskiego jako polskie „zdziecinnienie”. Albo sławną tyradę Gombrowicza podważającego literacką wartość Sienkiewiczowskiej „nieznośnej opery”, w której nawet największe namiętności i konflikty, jakimi żywi się literatura, zostają spłaszczone do wymiaru opowiastek dla pensjonarek.

Muszę przyznać, że nigdy nie podzielałem radykalizmu krytyki Sienkiewicza. A to pewnie dlatego, iż sam dobrze wiem, jak wiele mam do zawdzięczenia tym książkom. I to zarówno jako chłopak, dla którego Staś Tarkowski był niegdyś punktem odniesienia w pracy nad własnym charakterem, jak i człowiek dorosły, który postaci Zagłoby czy Pana Wołodyjowskiego do dziś traktuje jako klucze do zrozumienia silnych i słabych stron polskiej tożsamości. W każdym razie zawsze dotąd mniemałem, iż spór o Sienkiewicza jest czymś dla polskiej kultury dobrym i ożywczym. Bo w końcu istotą sensownego uczestnictwa w kulturze

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl d4c85cccd8

jest z jednej strony kultywowanie dziedzictwa po to, by przenieść je w nowe pokolenia, a z drugiej – jego ustawiczne podważanie, tak (by mówiąc językiem Norwida) oczyszczać je z popiołów, szlifując w ten sposób najcenniejszy diament.

„RASISTOWSKA" POWIEŚĆ

Teraz „sprawa Sienkiewicza" znów powraca, ale w nowym kontekście i okolicznościach. Nie ma już antysienkiewiczowskich błyskotliwych książek albo esejów, które byłyby choć jakimś odległym echem świetnej „Legendy Młodej Polski" sprzed ponad stu lat. Nie ma zażartej debaty w mediach zajmujących się kulturą, bo też – prawdę powiedziawszy – nie ma już nawet takich mediów. Co jest w zamian? „Wściekła" (bo dziś każdy protest musi być „wściekły") polityczna akcja grupy sfanatyzowanych nauczycielek, które w twarzach Kalego i Mei zobaczyły ponoć „twarz George'a Floyda", czyli Murzyna zamordowanego w ubiegłym roku przez białego policjanta, co – jak wiadomo – stało się pretekstem do gwałtownej rewolty w USA, ze sporymi reperkusjami również w Europie.

Nauczycielki żądają usunięcia nie tylko ze szkół, lecz w ogóle wymazania z polskiej kultury „rasistowskiej" powieści „W pustyni i w puszczy." I pewnie akcja nauczycielek pragnących za wszelką cenę przenieść do Polski modną dziś „kampanię antyrasistowską" nie miałaby istotniejszych reperkusji, poza jakimś drobnym zamieszaniem w paru szkołach, gdyby nie to, iż rzecz postanowili przejąć politycy. Za sprawą krakowskiego posła Macieja Gduli, skądinąd znanego intelektualnego „goszysty" („lewak" moim zdaniem brzmi obraźliwie), Staś i Nel, wraz całym literackim kontekstem towarzyszących im w powieści „dzikich", bodaj po raz pierwszy w swych dziejach ostro wkroczyli do polityki.

Gdula zarzucił Sienkiewiczowi „zatruwanie dzieci przez rasizm, kolonializm i patriarchat". A wiadomo, że w dzisiejszych czasach tego rodzaju oskarżenie jest równoznaczne z polityczną intencją ostatecznego wymazania jakiejś postaci, dzieła literackiego albo nawet żywego człowieka z obiegu kulturowego. Nie wiedzieć czemu, amerykańscy konserwatyści wymyślili dla tej coraz częstszej dziś praktyki określenie „cancel culture", choć ów modny trend nie tylko z żadną kulturą nie ma nic wspólnego, lecz jest raczej jawną kontrkulturą, dążącą do zafałszowania i obłożenia anatemą pokaźnej części naszego dziedzictwa kulturowego.

Niemcy mają tu bardziej trafne określenie: „Totschweigen", czyli metoda „zamilczenia na śmierć". To ta metoda, jaką przez pół wieku praktykowano (do pewnego czasu z powodzeniem) wobec twórczości literackiej Józefa Mackiewicza, którego powieści, absolutnie kluczowe dla polskiej tożsamości i kultury literackiej XX w., w paradoksalnej zgodzie skazali na nieistnienie zarówno komuniści, jak i polska patriotyczna emigracja.

Sam sądzę, że w polszczyźnie owo zjawisko politycznego dążenia do unicestwienia jakiegoś fragmentu historii czy kultury najtrafniej ujmuje termin „wymazywanie". To oczywiście zapożyczenie z tytułu sławnej powieści Thomasa Bernharda, spopularyzowanej w Polsce za sprawą wielogodzinnych spektakli Krystiana Lupy. Tam „wymazywanie" dotyczy co prawda wstydliwych kart historii Austrii, ale istota rzeczy jest taka sama. W „wymazywaniu" zawsze idzie bowiem o to, aby jakaś część wspólnego dziedzictwa przestała istnieć w świadomości ludzi żyjących. Obalić pomniki, zakazać książek, zapomnieć o postaciach, o których jeszcze wczoraj wszyscy dobrze wiedzieli.



Poseł Lewicy Maciej Gdula

Fot. Andrzej Wiktor

DWA WZORCE „DZIKUSA"

„W pustyni i w puszczy" stać się ma teraz narzędziem, za pomocą którego polska (a zarazem cała zachodnia) kultura ma być okładana przez jej wojujących i sfanatyzowanych wrogów. Pretekstem zaś po temu ma być w pierwszym rzędzie obraz „dzikiego" – zdaniem posła Gduli – „rasistowski i patriarchalny". Pewnie warto w tym miejscu choć odrobinę uspokoić posła Gdulę i jego „goszystowskich" zwolenników. „Dziki" (czy też „dzikus") to nie jakiś emocjonalny epitet, ale głęboko zakorzeniony w antropologii kulturowej termin określający postać, której wiara, obyczaje i cała kultura jest tak pierwotna i nieprzefiltrowana rozumem, że owa postać zdaje nam się nie tylko obca, lecz może budzić lęk. To w takim znaczeniu użył terminu „dziki" (w tytule swej słynnej książki) ojciec kulturowej antropologii – krakowianin Bronisław Malinowski, tak wielce zasłużony dla przełamania owej obcości i lęku za pomocą rzetelnej wiedzy, czerpanej z życia razem z „dzikusami". O ile pamiętam, Sienkiewicz nie posługuje się nigdy tym terminem. Co nie zmienia faktu, że we „W pustyni i w puszczy" mamy dwa, klasyczne i zakorzenione w europejskiej kulturze wzorce „dzikusa".

Wzorzec pierwszy – to Murzyni Kali i Mea – klasyczne typy „Noble Savage", czyli „szlachetnego dzikusa" – jednego z najważniejszych tropów kultury zachodniej od XVII w. Trop

ów (jak wiadomo) wywodzi się z literatury angielskiej, a za jego ojca uważa się nadwornego poetę Stuartów i ojca literackiej translatologii Johna Drydena. Mocno spłycając problem, rzec można, iż chodzi tu o „dzikusa", który na pozór może się wydać Europejczykowi istotą niemal nieludzką, ale po wniknięciu okazuje się człowiekiem bardziej nawet „ludzkim" niźli ów Europejczyk, bo szlachetnym i nieskażonym cywilizacją.

Sienkiewicz pisze powieść przygodową dla dzieci, a poza tym pisze ją przed antropologicznymi odkryciami Malinowskiego, więc też jego Murzyni nie są ani psychologicznie nazbyt głębocy, ani tym bardziej jakoś skomplikowani. Są jak postaci z westernu: najważniejsze, że tkwi w nich głęboko zakorzenione dobro, które w powieści ma budzić wzruszenie. Powiedzmy wprost: jeśli tego kluczowego dla zachodniej kultury tropu jakiś nauczyciel nie jest w stanie prosto wyjaśnić współczesnym dzieciom czytającym „W pustyni i w puszczy", to nie świadczy to ani źle o książce, ani o dzieciach, ale jedynie o tym nauczycielu. Żądanie zaś wymazania to nic innego jak zabranie się do obcowania z kulturą za pomocą politycznego cepa.

Ale w książce Sienkiewicza jest jeszcze inny wzorzec „dzikusa", zapewne bardziej dydaktycznie przydatny w świecie, w którym żyjemy. To wzorzec fanatyka islamisty, ślepego wyznawcy ówczesnej wersji Państwa Islamskiego, jakie w Chartumie założył Al-Mahdi po pokonaniu Anglików. Ten wzorzec reprezentują zabici przez Stasia kidnaperzy Chamis i Gebhr. To zabójstwo zaś jest jedyną i ostateczną możliwością, jaka zostaje dzielnemu chłopcu dla ocalenia siebie i angielskiej dziewczynki powierzonej mu w opiekę. Tacy „dzicy" pozostają obcy, niezrozumiali i wrodzy nam dziś, tak samo jak w czasach Sienkiewicza i walk Anglików z Al-Mahdim.

Liberalne rządy, tak przejęte duchem wielokulturowości i antyrasizmu, podążają również dziś tropem Stasia, uznając, że zabijanie wojujących „dzikusów" jest ostateczną, acz jedyną metodą rozwiązywania problemu. Do historii przeszedł niezwykły i moralnie dwuznaczny projekt liberała Obamy, który osobiście (zdaje się, że raz na tydzień) wybierał z listy kolejnych islamistycznych „dzikusów", przeznaczonych do zabicia przez amerykański dron. Choćby tylko ta historia winna uświadamiać zwolennikom „wymazywania", że konflikt jako tako racjonalnego człowieka Zachodu z niezrozumiałym i agresywnym „dzikim", któremu jego głębokie przekonania nakazują obcinać głowy przypadkowo schwytanym białym ludziom, nie jest wymysłem ani Sienkiewicza, ani rasistów, ani też jakichś innych zatwardziałych prawicowców.

> „Wymazywacze" chcą osiągnąć swój cel nie poprzez debatę intelektualną czy dobrze napisane książki, ale poprzez politykę, czyli sposób z konieczności oznaczający przemoc i przymus

IDEOLOGICZNY FANATYZM

„Wymazywacze" w gruncie rzeczy zaklinają rzeczywistość, próbując wmówić nam, iż nie istnieje coś takiego jak obcość kulturowa, niezrozumienie „dzikich", obawa przed ich kulturami czy w końcu w skrajnych przypadkach – konieczność samoobrony. Próbują zaprzeczyć temu, co było i jest przecież potocznym doświadczeniem milionów ludzi. Choćby owych kobiet z Kolonii, które nieoczekiwanie padły w sylwestra 2015 r. ofiarami zbiorowego molestowania przez przybyszów z Afryki, niewidzących w takiej „zabawie" żadnego kulturowego tabu. Co więcej, „wymazywacze" chcą osiągnąć swój cel już nie poprzez debatę intelektualną czy dobrze napisane książki, ale poprzez politykę, czyli sposób z konieczności oznaczający przemoc i przymus. Samemu sobie coraz częściej stawiam pytanie, czy i kiedy nastąpi chwila, w której zaczną palić nieprawomyślne książki. Pod niewinnym hasłem antyrasizmu tworzy się bowiem teraz polityczny ruch, który ma wszelkie znamiona ideologicznego fanatyzmu i porywa za sobą coraz liczniejsze rzesze zaślepionych kontrkulturowych zapaleńców. Wielu z nich – niestety – zwłaszcza tym z młodego pokolenia, wydaje się, że znaleźli w końcu jakiś ideowy punkt ciężkości albo istotę rzeczy, dla której warto walczyć, protestować, „być wściekłym".

W polskich warunkach Sienkiewicz jest poręcznym narzędziem do wykorzystania w „wojnie kulturowej". Po pierwsze dlatego, że od stu lat ma jak najgorszy wizerunek utrwalony na lewicy. Po drugie – bo jego proza była przez te sto lat swoistą podwaliną polskosarmackiego modelu patriotyzmu, kultywowanego dziś oficjalnie przez państwo rządzone przez PiS. Stasia i Nel łatwo zatem można przekształcić w jeszcze jedno narzędzie politycznej konfrontacji, czyli w gruncie rzeczy walki o władzę nad krajem. Jednak uczciwy rzut oka na kanon europejskiej literatury jasno wskazuje, iż na tle prawdziwych „rasistów" Sienkiewicz to przypadek marginalny. Przed polskim noblistą wymazania wymagałby na pewno choćby Dickens, który w sławnym eseju rozprawiał się z ideą „szlachetnego dzikusa", dowodząc, że każdy „dziki" to najprawdziwszy moralny potwór. Ale prawdziwie wstrząsającym i zarazem genialnym dziełem literackim na temat obcości „dzikich" jest bez wątpienia „Jądro ciemności". To właśnie Marlow, opowiadając o swoim przerażającym, krwawym doświadczeniu z kulturą „dzikich", wypowiada tam zdania, które współcześni „wymazywacze" powinni uznać za dobry powód do spalenia dorobku literackiego Conrada. Mówi: „Nie, nie byli nieludzcy... Wiecie, to właśnie było najgorsze – podejrzenie, że mogą nie być nieludzcy. Wyli, skakali, kręcili się w kółko, wykrzywiali się paskudnie. Ale tym, co przejmowało dreszczem, była właśnie myśl o ich człowieczeństwie, takim jak moje; myśl o odległym pokrewieństwie z tym dzikim, namiętnym wrzaskiem".

eprasa.pl d4c85cccd8



Fot. Shutterstock

Nic wielkiego się nie stało?

Znany lekarz i społecznik został prawomocnie skazany za wykorzystanie seksualne dziecka. Sąd zgodził się odroczyć mu karę, miejscowa przychodnia przyjęła do pracy, a lokalne elity udają, że nie ma żadnej sprawy. Wstrząsająca historia z Białej Podlaskiej skłania do pytań o jakość systemu wymiaru sprawiedliwości, ale przede wszystkim o to, gdzie podziała się zwykła ludzka przyzwoitość



PIOTR FILIPCZYK

Lipiec 2018 roku. Maciej T. wraz z żoną przygotowują się do przyjęcia na świat córeczki. Młodzi, szczęśliwi. I bardzo aktywni. Widać to na facebookowej ścianie Macieja i jego znajomych. Piknik charytatywny, koncert organizowany przez stowarzyszenie, w którym działa. Fotografie z lokalnymi notablami, a nawet z Jerzym Owsiakiem – Maciej T. jest ważną postacią finałów WOŚP w Białej Podlaskiej.

Ale Maciej T. używa nie tylko FB, podoba mu się nie tylko żona i jest aktywny nie tylko na niwie działalności społecznej. Na jednym z portali randkowych koresponduje z Anią (imię zmienione). Nie, „koresponduje" to jednak nie jest właściwe słowo. Zaczepia, nagabuje, osacza, składa seksualne propozycje – tak lepiej. Udaje mu się doprowadzić do spotkania. Potem kolejnego i jeszcze jednego.

Mama Ani: „Powiadomił nas sąsiad, że córka jest z jakimś nieznanym mężczyzną. Poszłam w to miejsce z bratankiem. Córka klęczała obok tego pana, on miał spodnie opuszczone do połowy. Zadzwoniłam na policję".

W lipcu 2018 r. Ania miała 14 lat. W jej życiu zmieniło się dosłownie wszystko. W życiu Macieja T. przez długi czas nie zmieniło się nic. Ona – próbowała popełnić samobójstwo. On – mimo prokuratorskich zarzutów opiekował się noworodkami w szpitalu, organizował kolejny finał WOŚP i brylował na salonach.

A jak jest dzisiaj? Maciej T. mimo prawomocnego wyroku nie trafił za kraty. Przyjmuje w przychodni w Międzyrzecu Podlaskim. Ania liże rany – fizyczne może się zagoją, psychiczne raczej nigdy. Zwłaszcza że jej oprawca wciąż jest na wolności.

Dlaczego sąd zgodził się odroczyć wykonanie kary Maciejowi T.? Czy możemy mieć pewność, że lekarz nikogo już nie skrzywdzi? Jak to możliwe, że wiele osób w Białej Podlaskiej uważa, że właściwie nie zrobił on nic złego? Czy dziwna cisza wokół tej sprawy ma związek z towarzyskimi relacjami T.? Spróbujmy poszukać odpowiedzi.

SKUTKI I KOSZTY

Zarzuty przedstawiono Maciejowi T. zaraz po zatrzymaniu przez policję. Mężczyzna odpowiadał z wolnej stopy, a proces odbywał się za zamkniętymi drzwiami. Za wielokrotne nakłanianie Ani do poddania się „innej czynności seksualnej" oraz trzykrotne doprowadzenie dziewczynki do „poddania się innym czynnościom seksualnym" Sąd Rejonowy w Białej Podlaskiej skazał lekarza na dwa lata więzienia, nie zawieszając wykonania kary. Sąd Okręgowy w Lublinie podtrzymał wyrok. Dodatkowymi sankcjami były zakaz kontaktów i zbliżania się do ofiary oraz zakaz wykonywania zawodu lekarza. Ale, co ważne, tylko w zakresie specjalizacji pediatry i neonatologa.

Maciej T. nie trafił do więzienia. Niespodziewanie 8 grudnia zeszłego roku Sąd Rejonowy w Białej Podlaskiej przychylił się do jego wniosku o odroczenie kary. Dlaczego? Bo, jak przekonuje Magdalena Dobosz z zespołu prasowego Sądu Okręgowego w Lublinie, „sąd może odroczyć wykonanie kary pozbawienia wolności na okres do roku, jeżeli natychmiastowe wykonanie kary pociągnęłoby dla skazanego lub jego rodziny zbyt ciężkie skutki". A takie przesłanki miały zaistnieć w przypadku Macieja T.

Jak to możliwe, że człowiek skazany prawomocnym wyrokiem za przestępstwo seksualne wobec dziecka może liczyć na – powiedzmy to tak – dość konstruktywną i empatyczną postawę sądu?

eprasa.pl d4c85cccd8

„To kompletnie niezrozumiała decyzja. Moja córka jest zagrożona. On może znowu ją nachodzić. Boję się, że będzie próbował zastraszyć córkę" – mówiła po ujawnieniu decyzji sędziów mama Ani.

Niewiele rozumiał też pełnomocnik ofiary mecenas Piotr Selwa. „Wymierzając karę, sąd powołał się na opinię psychiatry i seksuologa, którzy wskazali, że »istnieje wysokie prawdopodobieństwo ponownego popełnienia przez oskarżonego czynu zabronionego«. Konieczne jest zatem odizolowanie skazanego od społeczeństwa" – podkreślał na łamach „Dziennika Wschodniego".

Zdumiewać powinno też to, że na wolność wypuszczono człowieka, wobec którego – jako środka zabezpieczającego – zastosowano obowiązek terapii. Sąd okręgowy oddalił skargę prokuratury na decyzję sądu w Białej Podlaskiej. Równocześnie Maciej T. wystąpił do prezydenta Andrzeja Dudy o ułaskawienie, a jego pełnomocnicy (jednym z nich jest sędzia Trybunału Stanu Maciej Zaborowski) złożyli obszerną kasację w Sądzie Najwyższym.

Ze względu na niejawny charakter sprawy nie możemy napisać wszystkiego, co wiemy o zachowaniu Macieja T. na sali sądowej. Niech za przykład postawy lekarza posłuży fakt, że przez długi czas nie chciał on zwrócić kosztów postępowania matce swojej ofiary. Żalił się, że go nie stać. Że przecież zarabia tylko 3,5 tys. zł.

Koszty sprawy z doktorem płaci za to konsekwentnie Ania. Dziewczyna spędziła w szpitalach psychiatrycznych kilka miesięcy. Połknęła garść tabletek nasennych. Poderżnęła sobie żyły.

NIE UCIEKAM OD SŁÓW PRAWDY

Wieść o tym, co zrobił Maciej T., trafiła do lokalnych mediów bardzo szybko. Te (w większości, bo nie wszystkie) informowały o sprawie dość zdawkowo, ale przecież w 50-tysięcznej Białej Podlaskiej każdy wiedział, o kogo chodzi. Z pewnością zaś o tym, że lekarzowi zarzuca się wykorzystanie seksualne dziecka, wiedział jego przełożony – ordynator oddziału neonatologii Riad Haidar. Mimo tej wiedzy otrzymanej od prowadzącej sprawę prokuratury nie zerwał on współpracy z Maciejem T.

Haidar to bardzo barwna postać. Z rodzinnej Syrii przyjechał do Polski na studia medyczne. Osiadł w Białej Podlaskiej, w 1991 r. rozpoczynając pracę w tamtejszym szpitalu. Jako ordynator oddziału neonatologii stał się lokalną gwiazdą. Przyczyniło się do tego z pewnością zaangażowanie doktora w organizację finałów Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Haidar stał się twarzą imprezy, a jego oddział nazwano imieniem WOŚP. Popularność i społeczną sympatię doktor dyskontował przy wyborczych urnach. Jako działacz SLD został radnym Białej Podlaskiej, wicemarszałkiem sejmiku wojewódzkiego, a po zmianie barw i przejściu do Koalicji Obywatelskiej – posłem.

> Maciej T. mimo prawomocnego wyroku nie trafił za kraty. Przyjmuje w przychodni. Ania liże rany – fizyczne może się zagoją, psychiczne raczej nigdy

Jedna z koleżanek Macieja T. z bialskiego szpitala: – Maciek był zapatrzony w dr. Haidara, a Haidar bardzo cenił Maćka. Czy się przyjaźnili? Trudno powiedzieć. Na pewno Haidar bardzo o niego dbał.

Czy także wtedy, kiedy było już wiadomo o zarzutach prokuratury? – Szczerze mówiąc, nie zauważyłam zmiany w ich relacji. Te zarzuty były zresztą niepotwierdzone, a Maciek nie był żadnym bandziorem. Choć na pewno popełnił błąd... – mówi kobieta.

„Nie uciekam od słów prawdy. Jest pracownikiem szpitala, pracuje u mnie na oddziale" – mówił w 2019 r. Riad Haidar dopytywany o Macieja T. Podkreślał, że zachowanie podwładnego jest przez niego „obserwowane". Zapewniał dziennikarzy, że Maciej T. nie ma kontaktu z dziećmi – tylko z noworodkami, które trafiały na oddział (sic!). Haidar twierdził, że Maciej T. jest świetnym lekarzem, zasługującym nie tylko na pochwały, lecz i na premie. Wysławiał osobiste przymioty T. „Jest dobrym mężem, troskliwym ojcem, ma dziecko, które ma pięć miesięcy..." – mówił w rozmowie z „Tygodnikiem Podlaskim" Riad Haidar. Nie odwołał tych słów nawet wtedy, gdy w kampanii parlamentarnej 2019 r. temat wziął na tapet w rozmowie na antenie RMF FM Robert Mazurek. Gdy tym, że podejrzany o czyny pedofilskie mężczyzna zajmuje się noworodkami w szpitalu, zainteresowała się posłanka Joanna Mucha (wtedy PO, dziś Polska 2050), ówczesny dyrektor bialskiej placówki Dariusz Oleński odpowiedział tak: „Według mnie nie ma podstaw do rozwiązania umowy o pracę, tym bardziej że pan Maciej T. jest dobrym, samodzielnym lekarzem, zaangażowanym w pracę oddziału neonatologicznego, o którym przełożony [wówczas był nim Riad Haidar – przyp. red.] wydaje jak najlepszą opinię. Prywatnie jest mężem i ojcem, który dba o rodzinę. Nigdy nie pojawiły się skargi na tę osobę ani ze strony pracowników, ani ze strony rodzin pacjentów".

W styczniu 2019 r., długo po pierwszych wzmiankach o sprawie w mediach, uśmiechnięty Maciej T. pozował z kolegami ze szpitala do zdjęć z okazji kolejnego finału WOŚP. Rej w trakcie imprezy wodził nie kto inny, ale właśnie Riad Haidar. Poseł do dziś nie ma sobie nic do zarzucenia w tej sprawie. Uważa, że skoro w Polsce obowiązuje domniemanie niewinności, nie miał obowiązku żegnać się lekarzem przed prawomocnym wyrokiem. Bardzo zależy mu, by jego nazwisko nie pojawiało się w kontekście skandalu wokół byłego podwładnego. „Ciągłe łączenie mnie ze wskazanym lekarzem jest wielkim nadużyciem i podejmę kroki prawne w obronie mojego dobrego imienia" – napisał w oświadczeniu dla portalu podlaski.info.

Co ciekawe, także Maciejowi T. zdaje się zależeć na image'u Haidara. W liście do redakcji podlaski.info bowiem stwierdził on, że „niedopuszczalne jest także publikowanie zdjęć z osobami, które nie mają związku ze sprawą". „Rozumiemy, że chodzi mu o zdjęcia z posłem Koalicji Obywatelskiej Riadem Haidarem. Na zamieszczonych w naszym portalu ilustracjach

eprasa.pl d4c85cccd8

do artykułów nie pokazujemy bowiem wizerunków żadnych innych osób" – odpowiedział portal.

Inne lokalne media jakby nie chciały drążyć tematu. Haidar w ich tekstach o Macieju T. nie występuje. A sam Maciej T. przedstawiany nie jest bynajmniej jako seksualny przestępca, który zniszczył życie dziecku. To „lekarz, skazany za seks z nastolatką". Brzmi lepiej, prawda? Jakby nic wielkiego się nie stało, jakby chodziło o chwilę słabości...

– Haidar jest w Białej figurą. Jemu się po prostu nie podskakuje. A co do T., to sporo ludzi niestety ma podejście takie, że facet zrobił skok w bok, miał jakiś romans, a wszyscy się go czepiają. Tak to jest w wielu rozmowach przedstawiane – mówi nam miejscowy prawnik, niezwiązany bezpośrednio z tą sprawą.

W wielu rozmowach powielana jest więc niejako linia obrony Macieja T. Twierdzi on, że nie wiedział, ile lat ma Ania. I dlatego – jest niewinny. Kiedy niedawno przyjechali do niego dziennikarze „Interwencji" Polsatu, szedł właśnie w taką narrację. „No, rozwinięta dziewczyna. Jest mi jej szkoda" – tak Maciej T. odpowiedział na pytanie reportera o to, czy budowa ciała bądź charakterystyka mentalna Ani jednak nie podpowiedziały mu, że nie jest ona kobietą, ale dzieckiem.

FESTIWAL GIER I ZABAW

Riad Haidar to niejedyny wysoko postawiony znajomy Macieja T. Lekarz był członkiem skupiającego miejscowy establishment, artystów i społeczników stowarzyszenia Przez Pryzmat. Angażuje się ono w rozmaite imprezy organizowane przez miejscowe władze. Festiwal Dawnych Gier i Zabaw, Noc Świętojańska w Porosiukach, koncerty, akcje charytatywne – Przez Pryzmat jest w Białej i okolicach marką. W zarządzie organizacji od początku zasiada Gabriela Kuc-Stefaniuk, rzeczniczka prasowa i jedna z najbardziej zaufanych współpracownic prezydenta Białej Podlaskiej Michała Litwiniuka.

– Poznałam Macieja T. jako lekarza oddziału neonatologii bialskiego szpitala, gdy stowarzyszenie pomagało przy organizacji Dnia Wcześniaka – informuje Kuc-Stefaniuk. Czy zgadza się ze stwierdzeniem Haidara, że T. jest „wspaniałym mężem i ojcem"? – Nie znam jego sytuacji rodzinnej – odpowiada.

A prezydent Litwiniuk? Czy zna Macieja T.? Czy panowie są po imieniu? „Macieja T. poznałem jako pracownika oddziału neonatologii bialskiego szpitala organizującego Dzień Wcześniaka i wolontariusza WOŚP" – odpowiada przez swoją rzeczniczkę prezydent. Wspaniały mąż i ojciec? „Nie znam jego sytuacji rodzinnej" – odpowiada włodarz Białej Podlaskiej.

Maciej T. pozostał członkiem stowarzyszenia po tym, jak jego sprawę nagłośniły media. Z rejestrów jego nazwisko zniknęło dopiero w lutym 2020 r. Od samego początku do dzisiaj w stowarzyszeniu działa żona T. W internecie wciąż można znaleźć zdjęcia z wydarzeń, w których uczestniczył Maciej T.

„Stowarzyszenie Przez Pryzmat jednoznacznie potępia czyny, za które został skazany Maciej T. i nie chce być z nim kojarzone. Jednocześnie informujemy, że Maciej T. będąc członkiem Przez Pryzmat, nigdy aktywnie nie uczestniczył w organizowanych przez nas wydarzeniach, nie jest też już członkiem stowarzyszenia" – oświadcza w odpowiedzi na wiele bardzo szczegółowych pytań prezes Jakub Jańczuk.

Dodajmy tylko, że Jakub Jańczuk to także członek bialskiego sztabu WOŚP. Tego samego, któremu od lat szefuje Riad Haidar i w którym przez lata działał Maciej T. Szef stowarzyszenia Przez Pryzmat zasiada też wraz z Haidarem w kapitule konkursu Nasz Autorytet. Organizuje go finansowana m.in. przez miasto gazeta „Podlasianin". Jedna z tych, które nie poinformowały swoich czytelników, że skazany za przestępstwo seksualne (czy raczej „za seks z nastolatką") Maciej T. to ten sam uśmiechnięty od ucha do ucha lekarz, którego wszyscy znają z działań społecznych i zdjęć z Owsiakiem.

> „Moja córka jest zagrożona. On może znowu ją nachodzić. Boję się, że będzie próbował zastraszyć córkę" – mówiła mama Ani po decyzji sędziów o odroczeniu Maciejowi T. wykonania kary pozbawienia wolności

DOSZŁO DO PRZYKREGO ZDARZENIA

Dzwonimy do przychodni w Międzyrzecu Podlaskim. To tam, w oczekiwaniu na pobyt w więzieniu, przyjmuje Maciej T. Czy można umówić się na wizytę? „Jak najbardziej". Czy można przyjść z dzieckiem? „A... to nie, bo pan doktor przyjmuje dorosłych. Ale podam numer telefonu, proszę porozmawiać" – słyszymy.

Szefostwo przychodni nie odpowiedziało na nasze pytania dotyczące zatrudnienia Macieja T. Więcej szczęścia miał reporter „Interwencji", który nagrał wypowiedź dyrektora placówki Ryszarda Danieluka: „Świetny materiał na lekarza. Jako kolega, jako człowiek też nie budzi najmniejszych zastrzeżeń". A co z wyrokiem za przestępstwo seksualne wobec dziecka? „Doszło do tego przykrego zdarzenia. Nie znam szczegółów sentencji wyroku, ale odnoszę wrażenie, że to nie było efektem skłonności, tylko efektem chwilowej głupoty" – mówi szef Macieja T.

Pytamy w sądzie, czy fakt, że skazany bez przeszkód pracuje niedaleko miejsca, gdzie popełnił wcześniej poważne przestępstwa, nie jest przypadkiem niebezpieczny (by nie wspomnieć o poczuciu sprawiedliwości). – Zakres pytania wykracza poza kompetencje biura prasowego, które nie jest uprawnione do komentowania sytuacji podsądnych niewynikającej z orzeczeń sądowych – odpowiada Magdalena Dobosz.

Odroczenie wykonania kary więzienia wobec Macieja T. obowiązuje do 21 kwietnia. Trudno byłoby jednak znaleźć ludzi, który postawiliby majątek, że na pewno tego dnia stawi się on w zakładzie karnym.

eprasa.pl d4c85cccd8



Telefon od „wnuczka” nadal dzwoni

Wymyślił oszustwo „na wnuczka” i stworzył organizację przestępczą zajmującą się wyłudzeniami. Przez lata wymiar sprawiedliwości był zaskakująco łaskawy dla Arkadiusza Ł., pseudonim Hoss. W końcu jednak został skazany. Ale „wnuczkowa” mafia nadal działa, a siostra „Hossa” żąda miliona złotych odszkodowania od skarbu państwa

egrasp.pl d4c85ccdd





MAJA NARBUTT

Tym razem nie będzie hucznego przyjęcia, jakie rodzina Arkadiusza Ł. zwykle wydawała na jego cześć, gdy opuszczał areszt. Nie ma czego świętować. „Hoss" na razie nie wyjdzie na wolność, dostał wyrok sześciu i pół roku więzienia.

– Rażąco łagodna kara. Biorąc pod uwagę to, że Arkadiusz Ł. uczynił z przestępstw źródło dochodu, a także ich społeczną szkodliwość, prokurator żądał 13 lat – podkreśla prokurator Aleksandra Skrzyniarz, rzecznik warszawskiej prokuratury okręgowej.

Ogłaszając wyrok, sędzia Katarzyna Obst z Sądu Okręgowego w Poznaniu mówiła, że wzięła pod uwagę wiek oskarżonego i zły stan jego zdrowia, o którym wspominał obrońca. Ten argument może dziwić – wiek Arkadiusza Ł. nie jest specjalnie zaawansowany, ma 50 lat. Znacznie mniej, niż miały wszystkie jego ofiary. Stan zdrowia Arkadiusza Ł. jest zaś trudny do ustalenia – nigdy nie przeszkadzał mu w kierowaniu grupą przestępczą, ale pogarsza się natychmiast, gdy ma on do czynienia z sądami czy prokuraturą.

– Przemiana jest kompletna i aktorsko dopracowana w każdym szczególe. Znikają drogie garnitury i szwajcarskie zegarki, a miłośnik sportowych samochodów staje się zaniedbanym i schorowanym człowiekiem, ubranym w skromną polarową bluzę – opowiadał mi kiedyś policjant z pionu kryminalnego, zajmujący się romską przestępczością.

Podobno Arkadiusz Ł. wpadł na pomysł oszustw „na wnuczka" jeszcze pod koniec lat 90. ubiegłego wieku. Zadecydował przypadek: zadzwonił do kogoś, chcąc go oszukać, a potencjalna ofiara nieoczekiwanie ułatwiła mu zadanie, biorąc go za krewnego.

> Podobno Arkadiusz Ł. wpadł na pomysł oszustw „na wnuczka" jeszcze pod koniec lat 90. ubiegłego wieku. Zdecydował przypadek: zadzwonił do kogoś, chcąc go oszukać, a potencjalna ofiara nieoczekiwanie ułatwiła mu zadanie, biorąc go za krewnego

To był początek. Wkrótce Arkadiusz Ł. stworzył międzynarodową strukturę przestępczą, działającą także w Niemczech, Austrii i Szwajcarii. Ma ścisłą hierarchię – na samej górze był on i jego rodzina. Niżej zaufane osoby, także Romowie: tzw. telefoniści, którzy dzwonią do starszych ludzi. Świetnie mówią po niemiecku, bo przez lata mieszkali w Niemczech lub Austrii. Są też „logistycy", organizujący operację wyłudzania pieniędzy. Romami są również kurierzy przewożący łup.

Na samym dole w całej strukturze przestępczej znajdują się „odbieraki", czyli ludzie, którzy odbierają od ofiar pieniądze. Oni nie muszą już być narodowości romskiej. I najczęściej tylko oni wpadają i są zatrzymywani przez policję.

Skala działalności „wnuczkowej" mafii przez lata była ogromna. Jak twierdzi niemiecka policja, tamtejszy emeryt tracił przeciętnie 40 tys. euro. Akt oskarżenia dotyczył jednak skromnego wycinka przestępczej kariery Arkadiusza Ł., czyli kilkunastu miesięcy w 2013 i 2014 r.

Dowodem były podsłuchy – zorganizowane zarówno przez niemiecką, jak i polską policje. Obrona Arkadiusza Ł. usiłowała je podważyć – począwszy od negowania precyzji tłumaczeń z języka romskiego, jakim posługiwali się przestępcy, a skończywszy na ich legalności.

– Znaczna część dowodów została zgromadzona z naruszeniem prawa, bo strona niemiecka najpierw objęła kontrolą operacyjną Arkadiusza Ł., a dopiero potem poinformowała o tym polską policję. Oczywiście zgadzam się, że wyłudzanie pieniędzy od starych ludzi jest ohydnym moralnie procederem. Ale mój klient jest niewinny. Uważam też, że w ogóle nie ma czegoś takiego jak „wnuczkowa" mafia. To po prostu wymyślone, publicystyczne sformułowanie – mówi mi mecenas Paweł Głuchowski.

W strukturach „wnuczkowej" mafii była praktycznie cała rodzina Arkadiusza Ł. Na ławie oskarżonych miała zasiąść też jego siostra Soraya P., o czym informowały media. Ale media już nie zauważyły, że postępowanie przeciwko niej poznański sąd umorzył. I w najbliższych tygodniach – jak powiedział mi jej obrońca mecenas Paweł Sołtysiak – siostra „Hossa" będzie walczyć przed tym samym sądem o milionowe odszkodowanie za „bezprawne aresztowanie".

Fot. ROBERT WOŹNIAK/POLSKA PRESS

eprasa.pl d4c85cccd8

WSTYD OFIAR

Policja nie ma najmniejszych wątpliwości, że mnóstwo oszukanych osób nigdy tego nie zgłosiło. – Nie przyznało się nawet rodzinie. Wstydzą się głęboko, że dali się tak podejść, i ten wstyd zamyka im usta – mówi mi młodszy inspektor Andrzej Borowiak, rzecznik wielkopolskiej policji.

Za każdą historią oszustwa kryje się tragedia starszego człowieka pozbawionego pod koniec życia nie tylko oszczędności, lecz i poczucia bezpieczeństwa. Ofiara bardzo szybko się orientuje, że została oszukana. Czasem natychmiast po przekazaniu pieniędzy, a najpóźniej następnego dnia.

Milknie telefon, który przez kilka dni dzwonił bez przerwy. W tej ciszy starszy człowiek może spokojnie pomyśleć i zrozumieć, co się stało. Do tej pory był pod bezustanną presją, taktyka przestępców polega na tym, by nie dać ofierze chwili do namysłu.

Mechanizm oszustwa jest prosty. Podstawą jest telefon stacjonarny i książka telefoniczna. Oszust wyszukuje w niej abonentów o staroświecko brzmiących imionach. Słusznie zakłada, że Józef, Stanisława, a w Niemczech Helmut okażą się seniorami. Działa metodycznie.

– To nie jest tak, że zawsze im się udaje. Można wręcz założyć, że w większości wypadków nie. Jednak oszust wybiera ciągle nowe numery, do skutku – mówi Andrzej Borowiak.

Zazwyczaj oszust zaczyna tak: „Dzień dobry, zgadnij, kto dzwoni". Albo mówi: „Babciu, to ja". To jak zarzucenie wędki.

Odkłada słuchawkę, gdy rozmówca powie, że to chyba pomyłka. Ale w końcu ktoś daje się wciągnąć w rozmowę. Może mieć wątpliwości – w końcu głos wnuczka brzmi jakoś inaczej. „Jestem zaziębiony" – słyszy od oszusta.

– W słuchawce czasem słychać szloch. Jakaś kobieta mówi coś niewyraźnie. Zaniepokojona starsza pani sama ułatwia wtedy oszustom sprawę. Pyta na przykład: „Sandra, to ty?". I już natychmiast rzekoma Sandra odpowiada, że to właśnie ona, i płacze, bo przed chwilą spowodowała wypadek. Trafi do aresztu, chyba że natychmiast wpłaci kaucję – opowiada oficer wielkopolskiej policji.

Wypadek to chyba najczęstsza przyczyna kłopotów rzekomych wnuczków. Jeśli babcia lub dziadek nie pomogą, trafią do więzienia. Pewna suma pieniędzy może natomiast sprawić, że zostanie zawarta ugoda i wypadek nie będzie zgłoszony. „Wnuczek" prosi też o dyskrecję – nie chce, by ktokolwiek dowiedział się, że ma kłopoty.

Seniorom niemieckim czy austriackim – znacznie przecież zamożniejszym niż polscy – „wnuczek" opowiada często zupełnie inną historię. Jest w domu aukcyjnym, może kupić coś niezwykle wartościowego za niską cenę. Ale niestety zapominał pieniędzy. Albo też kupuje akcje, to wielka okazja. I oczywiście zagapił się, zostawił portfel w domu. Oczywiście jak najszybciej wszystko odda, zjawi się u kochanej babci z bombonierką i kwiatami.

> Skala działalności „wnuczkowej" mafii przez lata była ogromna. Jak twierdzi niemiecka policja, tamtejszy emeryt tracił przeciętnie 40 tys. euro

Można się zastanawiać, co powoduje, że seniorzy dają się oszukać. W jakiej mierze to problem neurologiczny, związany z gorszą percepcją rzeczywistości i mniejszym krytycyzmem. A w jakiej psychologiczny – często starsze osoby siedzą samotnie w domu i kiedy ktoś okazuje im zainteresowanie, gotowe są wiele zrobić.

PÓŁ KROKU ZA OSZUSTEM

– Przez pewien czas po tym, jak policja organizuje akcje prewencyjne, ostrzegające przed oszustwami „na wnuczka", obserwujemy spadek liczby tych przestępstw. Można odnieść wrażenie, że przestępcy postanawiają przeczekać. Potem niestety wracają – mówi mi nadkomisarz Łukasz Skawiński z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Miejskiej Policji w Poznaniu.

Wydawać by się mogło, że każdy już usłyszał o takich oszustwach. Plakaty, nalepki w tramwajach, a nawet wplecenie tego wątku do popularnego serialu. Jednak niekoniecznie ten przekaz dociera.

– Ofiary nie chcą opowiadać mediom o tym, co je spotkało. Pewna pani dała się w końcu przekonać, że jeśli opowie przed kamerami o tym, co ją spotkało, ostrzeże innych. Kiedy operator skończył nagrywać, obecna przy tym policjantka nie wytrzymała i spytała starszą panią, czy naprawdę nie słyszała wcześniej o oszustwach „na wnuczka". Ta odpowiedziała z oburzeniem: „Ależ oczywiście, że słyszałam. Ale do mnie, proszę pani, dzwoniła córka" – opowiada mł. inspektor Borowiak.

Policja jest co najmniej pół kroku za oszustami żerującymi na starszych osobach. Gdy udało się ograniczyć zasięg oszustw „na wnuczka", natychmiast pojawiła się nowa forma przestępczości „na policjanta". Znacznie bardziej perfidna i niebezpieczna, bo ofiary tracą dużo więcej. Zazwyczaj wszystkie oszczędności, w dodatku zaciągają kredyty.

Tak jak w wypadku oszustw „na wnuczka" przestępcy dzwonią w godzinach przedpołudniowych, chcąc mieć pewność, że w domu nie będzie młodszych, pracujących członków rodziny.

Zwykle telefon dzwoni dwa razy. Najpierw jest to ktoś, kto podszywa się pod wnuczka lub innego krewnego. Specjalnie się do tego nie przykłada, nawet nieoczekiwanie przerywa rozmowę.

I wtedy przychodzi pora na ten właściwy telefon. Głos w słuchawce jest spokojny i stanowczy. W końcu należy do policjanta lub nawet prokuratora, bo tak przedstawia się rozmówca. Wyjaśnia, że starsza osoba znalazła się na celowniku przestępców. Chcą ją ograbić, na szczęście prokuratura i policja prowadzi akcję i do tego nie dopuści, zabezpieczając w depozycie oszczędności.

Rozmówca się uwiarygodnia – podaje nazwisko, stopień służbowy, a także nazwę jednostki policji czy prokura-

eprasa.pl d4c85cccd8

tury, w której pracuje. Prosi, by tam zadzwonić i wszystko potwierdzić. Trik jest prosty – ofiara, na prośbę oszusta, się nie rozłącza. I kiedy wykręci numer, rozmawia z kolejnym oszustem.

– Szkolimy teraz pracowników banków, by rozpoznawali ofiary przestępstw. Powinni zwrócić szczególną uwagę na starsze osoby, które zachowują się nietypowo, nie chcą usiąść, trzymają cały czas telefon przy uchu i są z kimś w kontakcie. Są zestresowane. Jedna z kasjerek opowiadała mi, że jej stała klientka właśnie tak się zachowywała. Dyskretnie wezwała więc policję. Kiedy zjawili się policjanci, starsza pani zaczęła krzyczeć wniebogłosy, że policjanci i pracownicy banku to oszuści, którzy chcą ją okraść – mówi inspektor Borowiak.

WYPCHANA REKLAMÓWKA

Przestępca i jego adwokat mają prawo wybrać każdą linię obrony i uporczywie dowodzić niewinności. W przypadku Arkadiusza Ł. problem polega na zupełnie czymś innym. Od samego początku, gdy tylko policja zaczęła się zajmować szefem „wnuczkowej" mafii można było odnieść wrażenie, że sądy – i warszawski, i poznański – traktują go dziwnie pobłażliwie.

Kiedy pierwszy raz Arkadiusz Ł. został zatrzymany przez policję w 2014 r., niemal natychmiast znalazł się na wolności. Sąd wyznaczył kaucję w wysokości pół miliona złotych. W ciągu kilku godzin Arkadiusz Ł. zorganizował pieniądze. Przyniósł je do sądu w wypchanej reklamówce.

– To zupełnie niebywałe. W ten sposób, przy pomocy sądu, przestępca może „przeprać" pieniądze czy zalegalizować środki pochodzące z przestępstwa – mówił mi wówczas jeden z warszawskich prokuratorów.

Ówczesny obrońca Arkadiusza Ł. twierdził, że pieniądze pochodzą ze spadku, który jego klient dostał po rodzinie z zagranicy oraz że takie niesformalizowane przepływy pieniędzy to „romska tradycja". Mimo wpłacenia kaucji Arkadiusz Ł. rozpłynął się w powietrzu i musiała go szukać specjalna grupa pościgowa wielkopolskiej policji, tzw. łowcy głów.

Ta historia się powtórzyła, tak jakby sąd rzeczywiście wierzył, że kaucja powstrzyma Arkadiusza Ł. przed ukrywaniem się. I znów poznańska policja musiała tropić „Hossa".

„Posprzątaliśmy po sądach" – pochwalił się kiedyś rzecznik wielkopolskiej policji.

> Za każdą historią oszustwa kryje się tragedia starszego człowieka pozbawionego pod koniec życia nie tylko oszczędności, lecz i poczucia bezpieczeństwa

To niejedyna osobliwa rzecz związana ze sposobem, w jaki sądy traktują szefa „wnuczkowej" mafii.

Można odnieść wrażenie, że niewiele brakowało, by sprawa Arkadiusza Ł. w ogóle nie trafiała na wokandę. Sąd z uporem zwracał prokuraturze akt oskarżenia. Tak było w przypadku pierwszej sprawy szefa „wnuczkowej" mafii, ostatecznie zakończonej w ubiegłym roku prawomocnym wyrokiem sześciu lat więzienia.

W drugiej sprawie – tej, w której „Hossa" ostatnio skazano – było jeszcze ciekawiej. Sędzia w ubiegłym roku sprawę umorzyła. Sąd apelacyjny polecił jednak powtórnie ją rozpatrzyć, co mogło być tylko gestem umycia rąk.

Rozbawiony obrońca „Hossa" opowiadał mi wówczas, że ma „prawdziwą petardę". Wystarczy, że sędzia dopisze parę akapitów, a sprawę można będzie już definitywnie umorzyć. Chwalił się, że po raz kolejny wyciągnie klienta z aresztu.

Być może zbyt głośno mówił o „sądowym cyrku". W każdym razie publikacja tych wywodów raczej jego klientowi nie pomogła. Sędzia sprawy nie umorzyła, a „Hoss" zwolnił dotychczasowego obrońcę.

Łagodne traktowanie szefa „wnuczkowej" mafii przez wymiar sprawiedliwości rodzi różne komentarze. Najdalej poszedł opiniotwórczy niemiecki tygodnik „Der Spiegel", który napisał – cytując anonimowego polskiego policjanta – że grupy przestępcze działające metodą „na wnuczka" dysponują możliwością zastraszania, a także korumpowania osób zajmujących się sprawą. Uznał to za kompromitację polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Syn „Hossa", pseudonim Lolli, miał mniej szczęścia niż ojciec. Po szybkim i sprawnym procesie został skazany na 12,5 roku więzienia. Różnica polega na tym, że „Lolli" stanął przed niemieckim sądem.

PRZESTĘPSTWO POPŁACA

Kiedy kończył się proces Arkadiusza Ł., wielkopolska policja zatrzymała trzy kobiety, które w podpoznańskiej miejscowości zorganizowały przestępczy call center.

– Dzwoniły do emerytów z Niemiec. Było to zorganizowane tak, że policja mogła myśleć, że osoby, które telefonują, znajdują się w Szwecji – mówi inspektor Borowiak.

Policja unika podawania narodowości przestępców. Z innych źródeł dowiaduję się jednak, że kobiety są Romkami.

Przykład Arkadiusza Ł. nie działa na przestępców zniechęcająco. Nie wahają się iść w jego ślady, zresztą na wolności zostały współpracujące z nim wcześniej osoby.

W środowisku romskim Arkadiusz Ł. może uchodzić za człowieka sukcesu. Oficjalnie bezrobotny absolwent dwóch klas szkoły podstawowej przez wiele lat prowadził ostentacyjnie luksusowy tryb życia i żadne państwowe instytucje nie zainteresowały się, skąd ma na to środki.

Nie wygląda na to, by wymiar sprawiedliwości miał go jakoś zdyscyplinować.

– Oczywiście, że złożę apelację, gdy wyrok się uprawomocni. Złożę też kasację od poprzedniego wyroku – mówi mi obrońca Arkadiusza Ł. mecenas Paweł Głuchowski.

Trudno przewidzieć, ile czasu spędzi ostatecznie szef mafii „wnuczkowej" w więzieniu. Można zakładać różne scenariusze. Także ten, że Arkadiusz Ł. zostanie zwolniony ze względu na zły stan zdrowia, o którym ze współczuciem mówiła na sali sądowej sędzia.

eprasa.pl d4c85cccd8



Długi cień Trumpa

Były prezydent USA nie zamierza zakładać nowego ruchu politycznego. Chce dalej wpływać na Partię Republikańską, która nie może się zdecydować, czy jest on dla niej motorem, czy hamulcowym



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W 2016 r. ówczesny kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych Donald Trump pominął coroczną Konferencję Konserwatywnej Akcji Politycznej (CPAC). Za to w tym roku ją zdominował. Był to jego pierwszy publiczny występ od chwili opuszczenia Białego Domu. „Trump powrócił po drugiej nieudanej próbie impeachmentu" – pisały amerykańskie media. Na dobre czy złe.

Były prezydent dał wyraźnie do zrozumienia, że widzi swoją przyszłość w „zjednoczonej" Partii Republikańskiej, a nie w nowym, konkurencyjnym wobec niej ruchu politycznym. Nie wyklucza ponownego kandydowania na prezydenta w 2024 r. Pierwsze 40 dni prezydentury Joego Bidena, przekonywał Trump podczas swojego wystąpienia, zniweczyły już zbyt wiele z jego osiągnięć. „Przeszliśmy od America first do America last" – mówił. Do polityki niszczącej miejsca pracy, rodziny oraz wartości.

Nie da się ukryć, że były prezydent był gwiazdą CPAC. Wielu lokalnych działaczy partyjnych czuje większą lojalność wobec niego niż GOP (Grand Old Party, jak nazywa się republikanów za oceanem). Każdemu jego słowu w Orlando na Florydzie towarzyszyły gromkie oklaski. Liberalne media amerykańskie mówią o niezdrowym kulcie jednostki, który wytworzył się wokół enfant terrible amerykańskiej polityki, konserwatywne media wskazują natomiast na brak alternatywy wobec Trumpa: zanim się pojawił i wygrał prawybory republikanów, w partii panował miękki, by nie rzec miałki konserwatyzm, w stylu Busha, Cheneya czy Romneya, który nie potrafił udzielić odpowiedzi na rosnącą frustrację białej klasy średniej. Trump zaś nazwał rzeczy po imieniu. Próbował postawić tamę rosnącej sile politycznej i kulturowej lewicy. Także tej skrajnej, która wdarła się w ostatnich latach do Partii Demokratycznej.

PODZIAŁY

Nie było to przyjemne dla części republikanów. Już wtedy Trump atakował tych polityków swojego obozu, których uważał za zbyt miękkich lub, jak to określił, „tchórzliwych". Zrobił to także podczas CPAC. Tym razem celował w tych, którzy głosowali w Kongresie za wszczęciem procedury impeachmentu przeciwko niemu. „Pozbądźmy się ich, wszystkich!" – grzmiał. Według niego „jedyny podział, jaki istnieje, przebiega pomiędzy garstką polityków establishmentowych w Waszyngtonie a wszystkimi innymi w całym kraju". Te słowa spotkały się z ogromnym entuzjazmem tłumu. Dlatego wielu analityków za oceanem sądzi, że Partia Republikańska, teraz gdy Trump nie jest już prezydentem, stanie się jeszcze bardziej trumpowa. Ci, którzy odważyli się mu przeciwstawić podczas CPAC, zostali wygwizdani przez ludzi stojących pod sceną. Innych zwyczajnie nie zaproszono.

Tymczasem część GOP chciałaby się od niego odciąć. Ta część republikanów obawia się, że wydarzenia z 6 stycznia, tzw. szturm na Kapitol, już na zawsze będą kojarzone z Trumpem, że jest to

Fot. Joseph Sohm/Shutterstock

eprasa.pl d4c85cccd8

jarzmo, którego nie uda mu się zrzucić. A to może spowodować, że jeśli rzeczywiście wystartuje w 2024 r. w wyścigu na prezydenta, przegra. Tymczasem mogą się pojawić inni, lepsi kandydaci, którym nie pozwoli wyrosnąć na liderów.

Wyborcza baza widzi to zgoła inaczej. Jak wynika z sondażu Morning Consult/Politico, 59 proc. wyborców GOP twierdzi, że powinien on odgrywać główną rolę w partii, a 54 proc. deklaruje, że poprze go w prawyborach. Podobny sondaż przeprowadzony podczas CPAC dał jeszcze bardziej jednoznaczny rezultat: 95 proc. uczestników spotkania uznało, że Partia Republikańska powinna kontynuować politykę Trumpa, a 68 proc., że powinien ponownie wystartować w wyścigu prezydenckim w 2024 r. Inni potencjalni kandydaci republikanów pozostali daleko w tyle: gubernator Florydy Ron DeSantis zgarnął 21 proc. poparcia, reszta mniej niż 10. To oczywiście nie oznacza, że tak będzie już zawsze.

Grupa przeciwników Trumpa w partii jest wprawdzie nieliczna, ale do wyborów pozostały jeszcze trzy lata. By mieć szansę na uzyskanie nominacji w 2024 r., Trump musi pozostać widoczny, nie może się wycofać, jak zazwyczaj czynią byli amerykańscy prezydenci, do życia prywatnego i grać w golfa na swojej posiadłości w Mar-a-Lago. Musi prowadzić kampanię bezustannie, i to właśnie robi.

CZYSTKI W GOP

A to może być, jak twierdzą niektórzy analitycy za oceanem, sporym obciążeniem dla Partii Republikańskiej. W 2022 r. odbędą się uzupełniające wybory do Kongresu i Trump z entuzjazmem wspiera republikańskich kandydatów. Ale tylko tych, którzy okazali się wobec niego lojalni i nie głosowali za impeachmentem. W miejsce tych 10 republikanów, którzy chcieli, by został on skazany za wydarzenia z 6 stycznia, były prezydent zaczął wystawiać własnych, alternatywnych kandydatów. Jednym z nich jest były pracownik Białego Domu Max Miller, który zdaniem Trumpa byłby zdecydowanie lepszym wyborem od republikańskiego kongresmena Anthony'ego Gonzaleza z Ohio, który ubiega się o reelekcję. Przewodniczący Narodowego Republikańskiego Komitetu Kongresu (NRCC) Tom Emmer ostrzegł Trumpa przed wtrącaniem się do partyjnych prawyborów do Kongresu. „On może oczywiście robić, co chce, ale to nam nie pomaga" – podkreślił Emmer i zaapelował do byłego prezydenta, by skupił się na demokratach, zamiast przeprowadzać czystki w partii. „Potrzebujemy tych ludzi, wszystkich, by wygrać w 2022 r. i zrobić krok do przodu" – dodał.

Senator GOP Bill Cassidy, który głosował za impeachmentem, ma nadzieje, że władza Trumpa nad republikanami zmaleje, że były prezydent „się wypali", a urośnie ktoś inny, może DeSantis, była gubernator Karoliny Południowej Nikki Hayley lub senator Tom Cotton z Arkansas, który podczas CPAC powtarzał hasła Trumpa, ale nie potrafił w podobnym stopniu jak jego mentor rozentuzjazmować tłumu.

> Były prezydent wyciągnął republikanów w 2016 r. z ideowego marazmu, w którym utknęli, i trudno będzie znaleźć kogoś, kto mógłby go zastąpić

Były prezydent wyciągnął republikanów w 2016 r. z ideowego marazmu, w którym utknęli, i trudno będzie znaleźć kogoś, kto mógłby go zastąpić. Przeciwnicy Trumpa to małe umiarkowane skrzydło, które czuje niesmak, gdy jest mowa o deportacji „meksykańskich gwałcicieli" czy zakazie aborcji, nie traci jednak nadziei, że ostatecznie okaże się on musztardą po obiedzie. Według nich to przez „toksycznego" Trumpa partia straciła Izbę Reprezentantów oraz Senat.

TRUMPIZM BEZ TRUMPA?

Zwolennicy Trumpa w GOP, jak senator Lindsey Graham, uważają natomiast, że bez niego republikanów w zasadzie nie ma. Jak twierdzi Graham, do zwycięstwa w ostatnich wyborach zabrakło Trumpowi zaledwie kilkudziesięciu tysięcy głosów, czyli poszerzył on bazę wyborczą republikanów bardziej niż jakikolwiek inny kandydat tej partii w historii. Wielu Afroamerykanów i Latynosów postawiło na niego, rozczarowanych polityką tożsamościową demokratów, która zupełnie pominęła Amerykanów z dołów społecznych, obojętnych wobec praw osób LGBTQ, bo walczą o lepszy byt. Jest więc atutem, wspieranym przez ogromną większość partyjnej bazy. Wyparcie Trumpa z partii mogłoby jej w wyborach tylko zaszkodzić. A republikanie chcą być partią zwycięzców, jak podkreśliła republikańska kongresmenka Marjorie Taylor Greene, zamiast „być partią tych, którzy umieją tylko elegancko przegrywać".

Chcą dogłębnie przebudować amerykański system polityczny, tak jak zrobił to Ronald Reagan. A, cytując klasyka, czyli senatora republikanów Barry'ego Goldwatera, „ekstremizm w obronie wolności nie jest grzechem". „Trumpizm bez Trumpa" może się więc okazać trudny do zrealizowania. Trump tchnął nowe życie w stare konserwatywne idee, takie jak prawo i porządek oraz niebezpieczeństwa socjalizmu.

Ale relacje Trumpa z jego zwolennikami wykraczają daleko poza jego polityczne pozycje, wchodzą w sferę emocji. Dla niektórych z nich jest on czymś więcej niż politykiem czy biznesmenem, jest „jedyną nadzieją" na lepsze jutro, męczennikiem dla sprawy. Jeśli uda mu się pozostać obecnym w polityce przez następne trzy lata, trudno sobie wyobrazić, by ktoś inny w GOP mógł przejąć jego wyborców. Każdemu zawodowemu politykowi niezwykle trudno będzie się wykazać podobną charyzmą. Trump wciąż stanowi także, mimo iż stracił po wydarzeniach z 6 stycznia część stałych darczyńców, ogromny atut fundraisingowy przed wyborami do Kongresu, który republikanie zamierzają wykorzystać.

Tak więc Partia Republikańska znalazła się w potrzasku: dla jednej z jej części z Trumpem nie można, dla reszty bez Trumpa się nie da. A co na to sam zainteresowany? Na CPAC były prezydent wyraził to, co wielu jego zwolenników myśli: „Beze mnie nie wygrają już żadnych wyborów".

eprasa.pl d4c85cccd8

Czerwone i czarne

Odejście czarnoskórego purpurata z kurii rzymskiej zamyka pewien etap w historii pontyfikatu Franciszka. Dlaczego?



GRZEGORZ GÓRNY



Fot. PIGAMA / Shutterstock

20 lutego Franciszek przyjął dymisję kard. Roberta Saraha. Gwinejski purpurat to jedna z najwybitniejszych osobowości w kolegium kardynalskim, a zarazem jeden z ostatnich przedstawicieli szkoły Karola Wojtyły i Josepha Ratzingera na szczytach władzy Kościoła. Od listopada 2014 r. stał na czele Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Gdy w czerwcu 2020 r. skończył 75 lat, a więc przekroczył wiek emerytalny, Franciszek zgodził się na przedłużenie mu kadencji. Po ośmiu miesiącach dymisja stała się jednak faktem.

REFORMA WIELKIEGO CZWARTKU

Wraz z odejściem kard. Saraha zamyka się pewien etap w historii obecnego pontyfikatu. Czarnoskóry dostojnik pozostawał bowiem w kurii rzymskiej ostatnią osobą, która potrafiła publicznie prezentować odmienne zdanie niż jej zwierzchnik. Niekiedy kontrastowało to mocno z reakcjami papieskiego otoczenia, przyjmującego z nieskrywanym entuzjazmem „rewolucję Franciszka". Przed nim watykańskie urzędy musieli opuścić podobnie myślący hierarchowie, np. Raymond Burke czy Gerhard Müller.

Sam kard. Sarah był nominatem Franciszka. Taki wybór miał mu podpowiedzieć podobno Benedykt XVI, jego następca zaś chętnie się na to zgodził. Purpurat z Afryki doskonale wpisywał się bowiem w geograficzny klucz nominacji, odpowiadający globalnemu wymiarowi Kościoła.

Szybko doszło jednak do ujawnienia pierwszych publicznych różnic na szczytach Watykanu. Zwiastunem była sprawa liturgii Wielkiego Czwartku. W 2013 r. w Rzymie podczas mszy odprawionej w więzieniu dla nieletnich Franciszek obmył nogi dwóm nastolatkom: katoliczce i muzułmance. Obowiązujący ryt wielkoczwartkowy nie przewidywał takiej sytuacji. Nogi można było obmywać tylko mężczyznom (tak jak Jezus obmył je apostołom). Ówczesny prefekt Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów kard. Antonio Canizares nie chciał dokonać zmiany rytu. Półtora roku później został zdymisjonowany, a jego miejsce zajął kard. Sarah.

20 grudnia 2014 r. Franciszek napisał do nowego prefekta list z poleceniem, by dokonał reformy liturgicznej Wielkiego Tygodnia i zezwolił na obmywanie nóg także kobietom. Afrykański hierarcha opierał się długo. Dopiero 6 stycznia 2016 r. ogłosił dekret In Missa in Cena Domini, w którym dopuścił taką możliwość. Jako jedyne uzasadnienie wymienił wolę Franciszka, cytując fragmenty z jego listu.

„REFORMA REFORMY" LITURGII

Do kolejnego zgrzytu doszło w lipcu 2016 r., gdy na konferencji Sacra Liturgia w Londynie kard. Sarah wezwał księży, by powrócili do dawnej tradycji odprawiania mszy twarzą zwróconą „ad orientem" (ku wschodowi), czyli w tym samym kierunku co wierni. Dodał, że jego wystąpienie zainspirowane zostało rozmową z Franciszkiem, który poprosił go, by rozpoczął studia nad „reformą reformy" liturgicznej.

Jeszcze w tym samym miesiącu biuro prasowe Stolicy Apostolskiej wydało komunikat w sprawie londyńskiego wystąpienia kard. Saraha, stwierdzając, że „niektóre z jego wyrażeń zostały błędnie zinterpretowane, tak jakby zapowiadały nowe wskazania, odmienne od obowią-

eprasa.pl d4c85cccd8



zujących obecnie w normach liturgicznych". W oświadczeniu stwierdzono, że „nie przewiduje się żadnych nowych wskazań liturgicznych [...] jak ktoś niewłaściwie wywnioskował z niektórych słów kard. Saraha, i lepiej jest unikać używania wyrażenia »reforma reformy« w odniesieniu do liturgii, ponieważ niekiedy było to źródłem nieporozumień". Watykaniści odebrali ten komunikat jako publiczne upokorzenie kard. Saraha.

Dwa miesiące później czterech kardynałów – Walter Brandmüller, Raymond Burke, Carlo Caffarra i Joachim Meisner – ujawniło wysłany do Franciszka list, zawierający tak zwane dubia, czyli wątpliwości. Wspomniani hierarchowie chcieli się upewnić, czy papieska adhortacja „Amoris laetitia" zezwala na dopuszczanie do Eucharystii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach. Ich pytania podyktowane były troską o spójność i powszechność nauczania Kościoła. Nie doczekali się nigdy odpowiedzi. Franciszek odmówił im także audiencji. Zamiast tego spadła na nich fala krytyki ze strony wielu biskupów, którzy zarzucili im podważanie papieskiego autorytetu. W obronie czwórki kardynałów stanęło publicznie zaledwie kilku purpuratów, wśród nich m.in. Robert Sarah.

Wkrótce potem Franciszek przeprowadził reorganizację Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, usuwając z niej hierarchów utożsamianych z liturgiczną wrażliwością Josepha Ratzingera, takich jak kardynałowie Raymond Burke, Marc Ouellet, George Pell i Angelo Scola. Zagrożona wydawała się też pozycja samego prefekta. Zdaniem watykanistów uratowała go przedmowa Benedykta XVI do książki gwinejskiego purpurata pt. „Moc milczenia", która ukazała się w tamtym czasie na włoskim rynku wydawniczym. Papież emeryt pisał w niej: „Z kard. Sarahem liturgia jest w dobrych rękach". W odpowiedzi Andrea Grillo (nazywany niekiedy „liturgistą Domu św. Marty") skrytykował Benedykta, twierdząc, że swą wypowiedzią skrępował ręce Franciszkowi, ograniczając mu możliwość zastąpienia kard. Saraha kimś innym.

OBRONA CELIBATU KSIĘŻY

Jeśli w czasie tego pontyfikatu Benedykt miał w jakikolwiek sposób wpłynąć na decyzje Franciszka, to stało się to w styczniu 2020 r., gdy oczekiwano ogłoszenia papieskiej adhortacji „Querida Amazonia". Wielu hierarchów i watykanistów spodziewało się, że w dokumencie znajdzie się zapis o zniesieniu obowiązkowego celibatu księży. Z takim apelem zwróciła się do Franciszka 26 października 2019 r. większość biskupów uczestniczących w synodzie ds. Amazonii.

> Gdyby Franciszek rzeczywiście chciał znieść celibat kapłański, nie mógłby zignorować 30 argumentów na rzecz jego utrzymania, które przedstawili Benedykt XVI i kard. Sarah. Każdy, kto będzie chciał w najbliższym czasie dokonać takich zmian, musi się najpierw uporać intelektualnie z tezami obu dostojników

Tuż przed publikacją watykańskiego dokumentu w Paryżu ukazała się jednak wspólna książka Benedykta XVI i kard. Roberta Saraha pt. „Z głębi naszych serc". Przygotowywana była w wielkiej tajemnicy, toteż jej publikacja stała się sensacją w świecie katolickim. W swej pracy autorzy przytoczyli ponad 30 argumentów teologicznych, duszpasterskich i historycznych na rzecz utrzymania celibatu księży, sprzeciwiając się zdecydowanie możliwości wyświęcania żonatych mężczyzn na kapłanów.

Obaj zostali za to zaatakowani w mediach przez zwolenników zmian. Benedykta XVI krytykowano, że zamiast milczeć, jak obiecywał, zabiera publicznie głos, a więc podważa pozycję Franciszka. Gwinejskiemu purpuratowi zarzucono z kolei, że zmanipulował papieża emeryta, podczas gdy w rzeczywistości wydał książkę sam, bez wiedzy i zgody Josepha Ratzingera. Przez kilka dni afrykański dostojnik przedstawiany był wręcz jako hochsztapler. Oskarżenia ustały dopiero po upublicznieniu korespondencji między Benedyktem XVI a kard. Sarahem, z której wynikało, że obaj działali wspólnie.

Ogłoszenie adhortacji „Querida Amazonia", które pierwotnie zapowiedziano na koniec stycznia, przesunęło się do połowy lutego. W tym czasie – według dobrze poinformowanych watykanistów – dokonano zmian w treści papieskiego dokumentu. Ostatecznie okazało się, że adhortacja nie zmieniła niczego w kwestii celibatu kapłanów. Czy stało się to pod wpływem książki Benedykta XVI i kard. Saraha? Tego nie wiadomo. Gdyby jednak Franciszek opowiedział się za zniesieniem bezżenności księży, powstałoby wrażenie radykalnej różnicy zdań na samym szczycie hierarchii kościelnej. Już teraz wielu publicystów przeciwstawia sobie dwóch papieży kierujących się odmiennymi wizjami Kościoła. Rozbieżność w tak ważnej kwestii dałaby im dodatkowy argument.

Poza tym, gdyby Franciszek rzeczywiście chciał znieść celibat kapłański, nie mógłby zignorować 30 argumentów na rzecz jego utrzymania, które przedstawili Benedykt XVI i kard. Sarah. Każdy, kto będzie chciał w najbliższym czasie dokonać takich zmian, musi się najpierw uporać intelektualnie z tezami obu dostojników.

Już choćby ten pobieżny przegląd wydarzeń pokazuje, że argentyńsko-gwinejska współpraca w Watykanie nie przebiegała bez zakłóceń. Niemniej jednak afrykański dostojnik nigdy nie przestał okazywać największego szacunku swemu zwierzchnikowi, deklarując niezmiennie oddanie i lojalność wobec Franciszka. Do tej pory „rewolucja bergogliańska", która dotknęła wiele sfer życia Kościoła, omijała obszar liturgii. Czy po dymisji kard. Saraha także tu nastąpią zmiany?

eprasa.pl d4c85cccd8

Modlił się za swoich oprawców



O postaci Sługi Bożego Jánosa Esterházyego, węgiersko-polskiego polityka, który zmarł jako męczennik w 1957 r. w komunistycznym więzieniu na czeskich Morawach, z *o. Pawłem Cebulą OFMConv* rozmawia Goran Andrijanić

W tym tygodniu, 14 marca, świętujemy 120. rocznicę urodzin Sługi Bożego Jánosa Esterházyego. Ojciec jest postulatorem jego procesu beatyfikacyjnego. Na jakim etapie znajduje się ten proces?

Paweł Cebula: Przez COVID-19 toczy się ciężko. Są trudności z przesłuchaniem świadków. Przez parę miesięcy archiwa były zamknięte, więc komisja historyków też nie mogła pracować normalnie. Dopiero od paru miesięcy prace są wznowione. Zbieramy materiały związane z Esterházym. Dużo już zrobiliśmy, ale dużo jest jeszcze przed nami, bo musimy przygotować tłumaczenia tych tekstów. W Pradze w parlamencie mówił po czesku, w Bratysławie po słowacku, więc musimy to przetłumaczyć na polski, aby komisja teologiczna mogła się zapoznać z tymi dokumentami.

Na którym dokumencie komisja jest teraz skoncentrowana?

Pracujemy we wszystkich dostępnych archiwach. Niestety przez pandemię nie udało nam się dotrzeć np. do archiwum watykańskiego. Ciągle wychodzą jednak nowe dokumenty. Ostatnio np. jeden z naszych historyków odnalazł w archiwum w Pradze dokument, który potwierdza, że w momencie, kiedy już János miał wyrok kary śmierci i został sprowadzony z gułagu do Czechosłowacji, Komitet Centralny Komunistycznej Partii Czechosłowacji zastanawiał się, czy go nie ułaskawić. To ciekawy szczegół. To, że został ułaskawiony „na śmierć". Prezydent Klement Gottwald w akcie łaski zamienił karę śmierci na dożywocie. Tak naprawdę to było powolne umieranie.

Ciekawi mnie ogrom nienawiści, jaką do Esterházyego żywili przedstawiciele Czechosłowackiej Partii Komunistycznej. János w czasie wojny ratował Żydów, był postacią bardzo pozytywną.

Tak, to prawda, co ciekawe, to właśnie Żydzi wyprosili dla niego u Gottwalda akt łaski. To było prawie 300 osób, choć nigdy nie przyznano mu medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Instytut Yad Vashem uznał jego zasługi dla ratowania Żydów, ale nie może mu przyznać odznaczenia, ponieważ nie narażał swojego życia dla ratowania Żydów.

Bardzo podobna sytuacja miała miejsce w przypadku bł. Alojzego Stepinaca, kardynała Zagrzebia. On też ratował Żydów, ale nie przyznano mu medalu. O co tutaj chodzi?

Tu chodzi o politykę. Esterházy został zrehabilitowany tylko w Rosji, ale ani w Czechach, ani na Słowacji. Co prawda

Fot. Archiwum

eprasa.pl d4c85cccd8

prezydent Havel na początku próbował doprowadzić do uchwalenia osobnej ustawy, aby móc zrehabilitować Jánosa, ale w ostatniej chwili ktoś wysoko postawiony w kancelarii odrzucił tę sprawę. Podejrzewam, że Yad Vashem boi się potwierdzić zasługi Jánosa, ponieważ oficjalnie, według prawa na Słowacji i w Czechach, jest uznawany za zbrodniarza wojennego.

Dlaczego?

Problem polega na tym, że wielu historyków nie zna prawdy o nim i powiela kalkę wyprodukowaną przez komunistów. Pewne rany historyczne nie zostały zaleczone i pewne problemy nie zostały rozliczone. Wiele więc wynika z niewiedzy, ale najwięcej ataków przychodzi ze strony tzw. nurtów narodowych, a z drugiej strony liberalnych.

Proces beatyfikacji odbywa się w kierunku udowodnienia męczeństwa, tzn. nie jako polityka, ojca, męża, ale męczennika.

Esterházy zawsze pełnił posługę polityka w duchu katolickiej nauki społecznej, do tego stopnia, że niektóre jego przemówienia partyjne brzmią jak kazania. 12 lat służył jako polityk i tyle samo trwała jego katorga, od aresztowania w Bratysławie, wydania NKWD, zesłania do gułagu, gdzie prawie umarł, bo zachorował na syberyjską gruźlicę.

Przeraża mnie to, że historiografia komunistyczna wciąż często dominuje. Nawet wśród historyków o poglądach konserwatywnych funkcjonuje fałszywe spojrzenie na niego. Ono nie funkcjonuje tylko w tych Słowakach, którzy patrzą na Sługi Bożego Jánosa oczami wiary, czyli z perspektywy Ewangelii. Paradoksem jest to, że najwięcej świadectw o tym, że był wiernym naśladowcą Chrystusa w więzieniach, pochodzi właśnie od Słowaków, słowackich księży, którzy razem z nim byli prześladowani.

Często mówi ojciec, że proces beatyfikacyjny Esterházyego nie jest celem samym w sobie.

Tak. On zawsze podkreślał, że jego posłannictwem jest wypełniać wolę Bożą. To Bóg tak ustanowił, że te narody żyją obok siebie, a więc nie powinny być wrogo do siebie nastawione, wręcz przeciwnie. Na gruncie Ewangelii możemy razem siebie wspierać. Tak się działo w więzieniach, razem cierpieli, razem umierali, a co ciekawe, potem ich prochy zostały wrzucone do tego samego grobu. Urna z jego prochami była z płyty pilśniowej, więc się rozpadła, dlatego w urnie, którą otrzymała rodzina, znajdują się faktycznie wymieszane prochy tych, którzy zginęli razem z nim, Czechów i Słowaków.

To nas zobowiązuje, abyśmy też starali się zjednoczyć nie tylko w praktycznych rzeczach, ale przede wszystkim duchowo, przez pojednanie, przebaczenie. János zawsze powtarzał, że atakują nas dwie diabelskie ideologie, które niosą zakłamanie i śmierć, z zachodu narodowy socjalizm, a ze wschodu bolszewizm. A nasza droga jest inna, Chrystusowa. Dla mnie osobiście postawa sł.b. Jánosa i jego wierności do końca jest wielkim umocnieniem.

Widzę przesłanie w tym procesie nie tylko dla państw Grupy Wyszehradzkiej, ale całej Europy Środkowej.

Dwa totalitaryzmy i chrześcijaństwo, które przeciwko nim walczy. Przecież to nas powinno łączyć.

To dowód na to, że diabeł, ojciec kłamstwa, cały czas pracuje nad tym, aby narody nie żyły ze sobą w zgodzie. To nas zatruwa i nie pozwala nam duchowo się zjednoczyć.

Jaka jest duchowa kondycja Europy Środkowej?

Miałem łaskę żyć trochę w Stanach Zjednoczonych i w Irlandii i to, co nas jednoczy tu w Europie Środkowej, to w sumie całkiem niedawne doświadczenie zniewolenia. Jesteśmy bardziej niż inni wyczuleni na zagrożenie naszej wolności, dlatego zapewne bardziej czujni. Szanujemy wolność, bo wiemy, ile kosztowało nas jej odzyskanie. W Polsce też uczyli nas, np. bł. ks. Jerzy Popiełuszko, aby nie pozwolić się zniewolić nienawiści. Grzech potępiam, ale grzesznika nigdy, za niego się modlę. Dla mnie sł.b. János jest tu doskonałym przykładem, który za swoich nieprzyjaciół ofiarował nie tylko modlitwy, ale i cierpienia.

Niedawno dowiedziałem się, że człowiek, który był odpowiedzialny za aresztowania Jánosa i wysłanie go do Moskwy oraz na zsyłkę – Gustáv Husák, przed śmiercią pojednał się z Bogiem. Nie wiem, dlaczego kapłani, którzy byli przy tym, nie chcą o tym mówić, ale to potwierdzona informacja w dwóch różnych źródłach. János modlił się za swoich oprawców.

W postaci Sługi Bożego jest coś, co może być inspiracją dla polityków i chrześcijan, a chodzi o zdrową relację między chrześcijaństwem a patriotyzmem. W jego życiu widać, że nawet po Trianon, kiedy jego gospodarstwo znalazło się w Czechosłowacji, jego miłość do ojczyzny nigdy nie przerodziła się w szowinizm.

To prawda, doświadczyłem tego, posługując wśród Węgrów w Rumunii. Jeśli Chrystus jest na pierwszym miejscu, mój patriotyzm jest pozbawiony nienawiści. Powtarzał to sł.b. János, mówiąc, że mamy być wierni dwóm skarbom: wierze w Chrystusa, a dopiero na drugim miejscu stawia narodową tożsamość. Odwoływał się często do postaci św. Stefana, który stworzył Węgry jako państwo, ale stworzył też tu Kościół.

János miał cztery lata, gdy zmarł jego ojciec. Ich wieś pod Nitrą była w większości zamieszkała przez Słowaków. Na łożu śmierci ojciec mówił: synu, bądź dobrym Węgrem! Jánosa wychowuje Polka – Elżbieta Tarnowska, a więc on mówi i pisze po polsku. Jedyny gryps wysłany z gułagu jest właśnie w tym języku. Został wychowany przez Polkę w środowisku słowackim na Węgra, i to na przywódcę swych rodaków. Mógł zrobić karierę w Budapeszcie, ale nie opuścił Słowacji. Co więcej, kiedy część Słowacji zostaje w 1938 r. przyłączona do Węgier, wygłasza przemówienie, w którym domaga się od Budapesztu poszanowania wszystkich praw Słowaków, którzy żyją w państwie węgierskim.

Słowaccy księża właśnie Jánosowi powierzali Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie, wierząc, że zaniesie komunię św. innym więźniom. Ci, którzy go znali, potwierdzają, że umarł w opinii świętości.

Proces zmierza w tym celu, aby udowodnić, że został zabity za wiarę, a nie z powodów politycznych.

eprasa.pl d4c85cccd8

Chyba już tak mam

Piotr Żyła został mistrzem świata w skokach na skoczni normalnej. 34-latek został najstarszym mistrzem w historii tej dyscypliny. To kolejny dowód na potęgę polskich skoków, nie żaden przypadek. Nasi sportowcy od paru dobrych lat właściwie nie schodzą z podium. Bez względu na to, na jakim froncie rywalizują: igrzysk, mistrzostw, zawodów Pucharu Świata. Ale nie wszyscy wygrywają z uśmiechem na ustach





CEZARY KOWALSKI

Tym razem całą pulę zgarnął ten, na którego liczono najmniej, zawodnik zbliżający się do końca kariery. Żyła, oprócz tego, że prezentuje bardzo wysoki poziom, uchodzi w kadrze skoczków za człowieka od robienia dobrej atmosfery. Jego specyficzne poczucie humoru, zwykłe wygłupy i medialne wypowiedzi balansują na krawędzi dobrego smaku albo często je przekraczają. Jest też chyba jedynym z naszych obecnie wielkich skoczków, którego wizerunek nie jest nieskazitelny. Jego burzliwy rozpad małżeństwa napędzał plotkarskie portale i wciąż je napędza.

„He, hehe, he" – sekwencja charakterystycznych uśmieszków Piotra poprzedzająca lub wieńcząca jego mało wyszukane wypowiedzi (najdelikatniej mówiąc) stała się znakiem firmowym. Od dawna jest pożywką dla kabaretów, ale tak naprawdę w roli komedianta najlepiej czuje się sam zawodnik. W dzisiejszych czasach mało jest rzeczy niewyreżyserowanych w kwestii wizerunku sportowców, a specjaliści od marketingu prześcigają się w pomysłach, co uczynić, aby „obiekt" był bardziej charakterystyczny, rozpoznawalny, aby przyciągał reklamodawców.

Zasięgnąłem języka wśród ludzi będących blisko kadry skoczków i na pytanie, czy jest to element jakiegoś większego przygotowanego show, wszyscy jednoznacznie zaprzeczali. Oczywiście

Fot. CHRISTOF STACHE/AFP/East News

eprasa.pl d4c85cccd8



wizerunek śmieszka czy klauna, jak to określił niedawno złośliwy niemiecki dziennikarz z „Süddeutsche Zeitung", jest maską, którą celowo zakłada Piotr. Ale w żadnym wypadku nie ma tu tła biznesowego. Jaki spec od wizerunku doradziłby swojemu klientowi choćby taką wypowiedź sprzed lat: „Spóźniłem się, bo moja córka zeżarła kostkę do kibla...". Podobnych cytatów dzisiejszego mistrza jest cała masa, jak choćby ten sławiący wyjazdy do dalekiej Japonii. Piotr pominął oczywiście walory kulturoznawcze czy inne bardziej wyszukane estetycznie, zachwalał za to możliwość korzystania z podgrzewanej deski klozetowej. Wszystko to okraszone oczywiście sławnym „he, hehe, he". Jego napady śmiechu, czasem zupełnie niezwiązane z okolicznościami, np. po porażce, i inne szalone reakcje w serwisie YouTube biją rekordy popularności. Ludziom generalnie podoba się takie „lekkie wariactwo".

Kiedyś charakterystyczne zwoływanie domowników podczas transmisji konkursów skoków brzmiało mniej więcej tak: „Helena, szybko, bo zaraz Małysz będzie skakać". Teraz końcówkę można zmienić na: „Żyła będzie gadać". Bez żadnej przesady na to, co wywinie werbalnie Piotr, czekają dziś miliony. A zawsze coś wymyśli. Zdarza mu się na najbardziej skomplikowane pytania odpowiadać zdawkowo, np. „nie wiem", milczeć albo używać nieśmiertelnego: „he, hehe, he". Reporterzy telewizyjni, którzy mają przeprowadzić z nim krótki wywiad po zawodach, bywają naprawdę przerażeni. Bo przecież Żyła jest nieprzewidywalny. Może zadrwić sobie z rozmówcy albo wpędzić się w tarapaty na żywo.

Wspomniany powyżej ponurak z niemieckiej gazety wręcz zżymał się na gesty polskiego skoczka, twierdząc,

eprasa.pl d4c85cccd8

że takie pajacowanie odbiera powagę dyscyplinie, która jest bardzo poważna i należy ją traktować serio. Dość wygłupów Piotra miał nawet poprzedni trener polskiej kadry Austriak Stefan Horngacher. Ale z drugiej strony to on go odbudował, zmienił nawyki podczas tzw. najazdu i sprawił, że ten znów znalazł się w światowej czołówce.

– Dlaczego pan jest w kasku i goglach? – padło pytanie do Żyły, kiedy kilka lat temu sportowiec wyszedł z samolotu do hali przylotów na krakowskich Balicach w prawie kompletnym stroju skoczka. – Koledzy mnie „wypuścili". Powiedzieli, że co jak co, ale w kasku i w goglach to na lotnisku nie wyjdę. Pomyślałem: ja nie wyjdę? Ja? No i wyszedłem.

Jego zagadkowa i na pozór kolejna oderwana od rzeczywistości wypowiedź po jednym z konkursów „Wolę być osłem niż koniem" znalazła jednak w miarę sensowne wyjaśnienie. Jak się później okazało, skoczkowie w wielkiej tajemnicy brali udział w innowacyjnym projekcie trenera Stefana Horngachera. Trenowali w hodowli osłów. – Dostawaliśmy zadanie, np. zmusić osła do chodzenia w kółko. To nie było proste, bo osioł jest uparty i inteligentny. Czasem trwało to 10, czasem 20 minut – ujawnił w rozmowie z TVP Sport Maciej Kot, który choć ma zupełnie inny charakter i temperament (raczej typ sportowca intelektualisty) bardzo przyjaźni się z Żyłą.

Nad treningami z osłami czuwał austriacki doktor Harald Pernitsch. – Sporo nam to pomogło, ale Piotrek bardziej to wykorzystał. Wbrew pozorom osioł jest bardzo inteligentnym zwierzęciem. Znakomicie wyczuwa emocje i staje się lustrzanym odbiciem człowieka – opowiadał Kot.

Wizerunku Piotra na tle mających naprawdę dobrą prasę kolegów z pewnością nie poprawiał spektakularny rozwód z żoną Justyną. Para rozstała się w bardzo burzliwych okolicznościach. Można powiedzieć, że dramat przypominający operę mydlaną rozgrywał się na oczach publiczności. I był relacjonowany z najbardziej pikantnymi szczegółami przez stacje telewizyjne. Nie zabrakło niczego: wzajemnych oskarżeń, wylewania wiader pomyj na głowę. A widownia tradycyjnie podzieliła się w kwestii osądu, które z nich było większym „potworem": on czy ona? Oboje trafili na pierwsze strony portali plotkarskich i kolorowych gazet. Mają dwójkę dzieci. Obecnie Piotr Żyła najprawdopodobniej ma nową partnerkę, choć sam nigdy tego nie potwierdził. Miałaby nią być Marcelina Ziętek, aktorka banalnego telewizyjnego serialu.

Na pierwszy trening przyszło 30 chłopaków. Został tylko jeden – Piotr Żyła. Na zajęcia zapisała go mama. Od dziecka był odważny. Jak Wisłę zasypało śniegiem, to wchodził na dach stodoły i z niego skakał. – Później ciężko było go w tym śniegu odnaleźć – mówił ojciec skoczka.

> Żyła, oprócz tego, że prezentuje bardzo wysoki poziom, uchodzi w kadrze skoczków za człowieka od robienia dobrej atmosfery

W rywalizacji międzynarodowej zadebiutował w 2004 r. Przez wiele lat nie był jednak w stanie przebić się do najlepszych. Nie chciał jednak rzucić nart w kąt. Gdy mu nie szło, wracał do legendarnego trenera Szturca. Efekty w końcu przyszły. Przebił się do kadry Łukasza Kruczka i zaczął rozpychać w Pucharze Świata. W 2013 r. w Oslo wygrał konkurs, ex aequo z wielką gwiazdą – Gregorem Schlierenzauerem.

Później znów wpadł w dołek. Tym razem wyciągnął go z kryzysu Stefan Horngacher, który grzmiał na Piotra, a ten autentycznie się go bał. – Albo poprawisz najazd, albo wylatujesz z kadry – groził Austriak.

W Lahti przed dwoma laty zdobył indywidualnie brąz i złoto z drużyną na mistrzostwach świata. Kilka razy stanął na podium konkursów Pucharu Świata. Największy sukces osiągnął już za kadencji Michala Doležala. W Obersdorfie nie dał nikomu szans. Przed kluczowym genialnym drugim skokiem uśmiechał się, siedząc na belce, tak jak ma w zwyczaju podczas wywiadów. Być może zrobił nawet „he, hehe, he". Był pewny siebie, przekonany, że wygra, jechał jak po swoje. Jak tylko wylądował, wiedział, że ma złoto, skakał, szalał ze szczęścia, rzucał się na ziemię, wykrzykiwał coś bez ładu i składu.

Można powiedzieć, że zadrwił sobie po raz kolejny. Tym razem jednak nie przed mikrofonami, ale na skoczni. Z układu sportowego. Mistrzem świata nie został przecież zawodnik z pierwszej piątki klasyfikacji Pucharu Świata. W żadnym wypadku Żyła nie był faworytem. Zawsze to on nosił na ramionach Kamila Stocha i Dawida Kubackiego, teraz to oni unieśli jego po największym sukcesie w życiu. Wiele lat pracował na taką chwilę. Można odnaleźć nagranie, gdy 15-letni Piotruś w 2002 r. mówi, że po to zajął się skakaniem, aby zostać mistrzem Polski. „A kiedyś może nawet i mistrzem całego świata". To kiedyś właśnie nadeszło. Stoch, Kubacki, wreszcie przyszedł czas na Żyłę. Dzięki niemu znów mogliśmy się wzruszyć i wysłuchać „Mazurka Dąbrowskiego".

I szczerze mówiąc, kompletnie nie przeszkadzały nam jego „heheszki" ani brak odpowiedniej powagi. Sport jest jednak przede wszystkim rozrywką, nie można robić z niego przesadnego nabożeństwa. Ci, którzy dobrze znają Piotra, twierdzą, że to, co widzimy w telewizji, jest jego maską. A zakłada ją po to, aby zabić stres, tremę, strach przed szeroką publicznością, telewizyjnymi kamerami. Jeśli pomaga mu w ciężkiej pracy i sięganiu chmur w sporcie, to nie ma co się na taki pomysł obrażać.

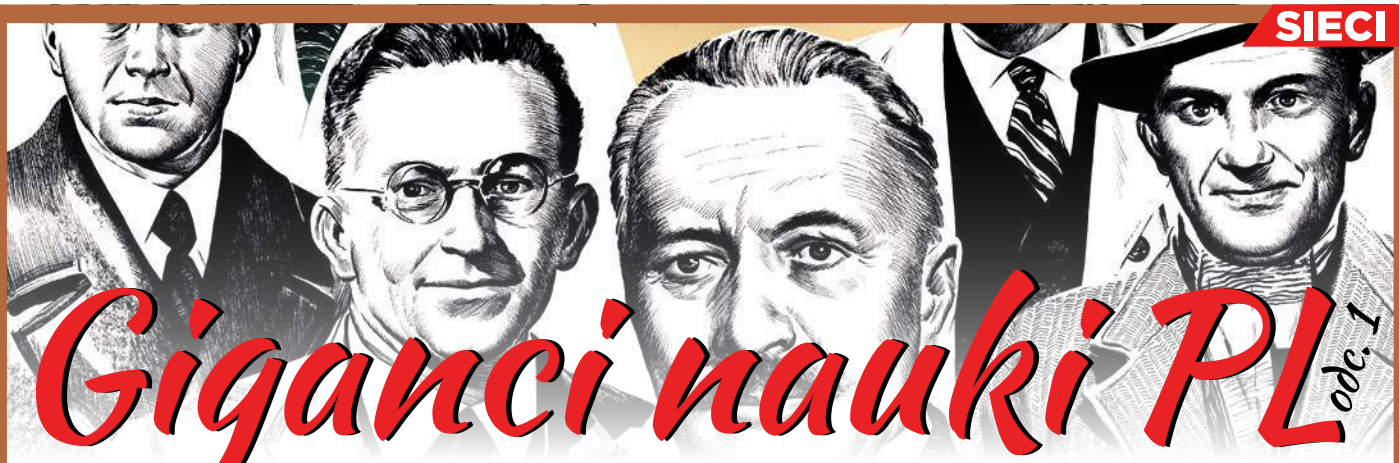
We wspomnianym wywiadzie przed laty na lotnisku w Balicach dla „Dziennika Zachodniego" Piotr w kasku i goglach być może niechcący spuentował swój charakterystyczny sposób bycia: – Tak naprawdę to nie wiem, po co to zrobiłem. Zdecydował przypadek, impuls. Robię jakieś głupoty, a później wszyscy o tym mówią. Chyba już tak mam.

W Obersdorfie Piotr Żyła znów zrobił coś, o czym wszyscy mówią. Tyle że tym razem jak najbardziej na poważnie.

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

eprasa.pl d4c85cccd8

SIECI



Giganci nauki PL odc. 1

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Mamy w naszej historii wspaniałych odkrywców i wynalazców, zmieniających losy Polski i świata. Często wiemy o nich niewiele albo zgoła nic. Przez całe dziesięciolecia od wojny byli świadomie zapominani i niedoceniani. Nadszedł czas, byśmy mogli z dumą o nich mówić i przypominać Polsce i światu o wspaniałych rodakach



rys. Krzysztof Wyrzykowski

PARTNER DODATKU
ORLEN
PARTNERZY MERYTORYCZNI
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
PAN IHN

eprasa.pl d4c85cccd8

Polscy giganci nauki

Przypomnimy nie tylko pionierskie osiągnięcia II Rzeczypospolitej w lotnictwie, kolejnictwie, medycynie i wielu innych dziedzinach oraz postaci ich twórców. Pokażemy także wkład polskiej myśli technicznej w alianckie zwycięstwo II wojny światowej

Ostatnie dwa i pół wieku naszych dziejów to nieustanne zmagania o wolne i niepodległe państwo – zabory, okupacja niemiecka i sowiecka, komunistyczna niewola. Naturalne jest, że ich uczestnicy pozostali w naszej pamięci i zawładnęli społeczną świadomością. Niekwestionowany jest wkład polskiego ducha w ostatnie wolnościowe zmagania końca XX w. – i to w wymiarze uniwersalnym, w który wpisuje się doświadczenie Solidarności i postać świętego Jana Pawła II.



Jarosław Szarek

Ten obraz wymaga jednak uzupełnienia o polski udział w rozwoju techniki i badań naukowych. Nasi rodacy stworzyli teoretyczne i praktyczne fundamenty wielu dziedzin współczesnych technologii. Zapoczątkowali rozwój przemysłu naftowego, elektroniki, łączności bezprzewodowej i nowoczesnego przemysłu chemicznego. Nie trafili do narodowego panteonu, chociaż wielu z nich na to zasługuje. Niewiedza o ich dokonaniach jest częścią spadku po PRL.

Odrodzona w 1918 r. niepodległa Polska pozostawiła po sobie wiele osiągnięć w dziedzinie techniki. W żadnym innym okresie naród nie wydał tylu uczonych godnych miejsca w światowej czołówce, by wspomnieć tylko trzech, którzy odcisnęli w istotny sposób piętno na technice światowej: Ignacego Mościckiego – wynalazcę przemysłowej metody produkcji kwasu azotowego z powietrza, Jana Czochralskiego – twórcę metody hodowania monokryształów, wykorzystywanych dziś powszechnie w elektronice, oraz Tadeusza Sędzimira, zwanego Edisonem metalurgii, którego metoda cynkowania blachy oraz technologia jej walcowania na zimno były stosowane na całym świecie.

Wybuch II wojny światowej spowodował, że wielu polskich naukowców i wynalazców kontynuowało swe prace poza granicami; tylko w Wielkiej Brytanii znalazło się około 5 tys. polskich inżynierów. Po wojnie większość z nich pozostała na emigracji, pozbawiona możliwości powrotu do komunistycznej Polski, a jej władze skazały ich na dziesiątki lat zapomnienia.

Wielkiego dzieła przywrócenia ich pamięci podjął się prof. Bolesław Orłowski, a jednym z owoców tego wysiłku jest jego opus magnum – wydany wspólnie przez Instytut Pamięci Narodowej i Instytut Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk „Polski wkład w przyrodoznawstwo i technikę" – pięciotomowy słownik ponad 1,3 tys. „polskich i związanych z Polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych i techniki".

IPN przygotuje cyfrowe wydanie „Słownika..." oraz podejmie się jego tłumaczenia, rozpoczynając równocześnie kampanię edukacyjną, której celem jest popularyzacja tej wiedzy. Wraz z tygodnikiem „Sieci" będziemy ją kontynuować do końca tego roku.

Przypomnimy nie tylko pionierskie osiągnięcia II Rzeczypospolitej w lotnictwie, kolejnictwie, medycynie i wielu innych dziedzinach oraz postaci ich twórców. Pokażemy także wkład polskiej myśli technicznej w alianckie zwycięstwo II wojny światowej. Od lat pisze się o polskich kryptologach, genialnych matematykach łamiących kody niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma, niewielu słyszało jednak o inż. Henryku Magnuskim, wynalazcy najsłynniejszego radiotelefonu świata walkie-talkie, powszechnie używanego przez armię amerykańską na wszystkich frontach, o inż. Józefie Kosackim, konstruktorze ręcznego wykrywacza min Polish Mine Detector, czy o wyrzutnikach bomb w amerykańskich latających fortecach inż. Jerzego Rudlickiego.

Przed dekadą gwiazdą mediów i autorem bestsellerów został były agent komunistycznego wywiadu, dzięki któremu Związek Sowiecki zdobył wiele amerykańskich technologii wojskowych. Nawet ułamek tej sławy nie przypadł w udziale inż. Zdzisławowi Starosteckiemu, żołnierzowi września 1939 r. i Służby Zwycięstwu Polski, więźniowi łagrów, uczestnikowi walk pod Monte Cassino i Bolonią, w późniejszych latach jednemu z twórców rakiet systemu Patriot.

Przypominając te postaci, Instytut Pamięci Narodowej pragnie przywołać także przyświecające im ideały i etos służby niepodległemu państwu oparty na uczciwości i solidności – etos zniszczony w PRL i nieodbudowany do dzisiaj w III Rzeczypospolitej.

eprasa.pl d4c85cccd8

Zapomniany dorobek

Mamy zniekształcone i zubożone pojęcie o charakterze naszego rzeczywistego dorobku w dziedzinie szeroko pojętej kultury ostatnich wieków. Przesadnie przeceniające rangę polskiej literatury, a niedostrzegające licznych i ważnych – często wręcz w skali światowej – naszych osiągnięć w naukach przyrodniczych i technice

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

W ciągu trzech ostatnich stuleci, kiedy większość narodów zajmowała się przede wszystkim tworzeniem podstaw materialnego dobrobytu, świadoma część polskiego społeczeństwa skupiała swe wysiłki na zachowaniu tożsamości narodowej i dążeniu do odzyskania niepodległości. W tych warunkach nasza historiografia odnotowała więc w pierwszym rzędzie działaczy patriotycznych, bohaterów walczących o sprawę narodową oraz tych, którzy wspierali tę walkę piórem. A powstająca głównie ku pokrzepieniu serc literatura ukształtowała świadomość społeczną wyczuloną na tego rodzaju aktywność. Wszelkie dokonania na innych polach znajdowały się poza głównym nurtem powszechnych zainteresowań, toteż łatwiej ulegały zapomnieniu.

W wyniku takiego podejścia polskie słowniki biograficzne i encyklopedie przeładowane są hasłami poświęconymi wojskowym, politykom i literatom, natomiast bardzo wielu naszych wybitnych przyrodników, wynalazców, inżynierów, organizatorów życia gospodarczego i innych „konstruktywistów" pozostaje całkowicie zapomnianych. Dotyczy to zwłaszcza tych Polaków, których losy rzuciły na obczyznę.

Przedstawiciele tego nurtu – poza paru zupełnie wyjątkowymi postaciami – jeśli w ogóle są obecni w świadomości zbiorowej, to z reguły głównie dzięki związkom ze znacznie lepiej zbadanymi „uprzywilejowanymi" dziedzinami: Ignacy Domeyko z uwagi na młodzieńczy epizod filomacki, Karol Brzozowski, bo był także utalentowanym poetą, Ludwik Nabielak jako jeden z belwederczyków, Gabriel Narutowicz – ponieważ został pierwszym prezydentem odrodzonej Rzeczypospolitej i zamordowano go w Zachęcie, Henryk Dembiński, dlatego że okazał się również zdolnym generałem, czy Rudolf Modrzejewski, gdyż był synem wielkiej aktorki.

Ta tendencja do eksponowania, czasem nadmiernie, wszystkiego, co wiązało się z szeroko pojętą działalnością patriotyczną, daje o sobie znać także w sposobie prezentowania poszczególnych biografii. Mało kto wie, że Ignacy Mościcki zaliczał się do czołowych wynalazców europejskich swej epoki, że Gabriel Narutowicz był wybitnym hydrotechnikiem, budującym elektrownie wodne w kilku krajach, że generał Henryk Dembiński zarabiał na wynalazkach, które patentował we Francji, czy o tym, że poeta Karol Brzozowski zbudował 40 tys. km linii telegraficznych w XIX-wiecznej Turcji.

Oddając należną cześć bojownikom o sprawy dla Polaków najważniejsze, trzeba z naciskiem podkreślić, że wskutek takiego podejścia obraz naszego narodowego dorobku został zdeformowany i zubożony. W świadomości wykształconego Polaka główny nasz wkład do kultury światowej dokonał się na polu literatury, mieliśmy też paru wybitnych kompozytorów i kilku uzdolnionych wirtuozów wykonawców. O przedstawicielach nauk przyrodniczych wie on niewiele, poza Mikołajem Kopernikiem i Marią Skłodowską-Curie. Słyszał zapewne co nieco o polskich zesłańcach badaczach Syberii i może o współtwórcach matematycznej szkoły lwowskiej. Jest przekonany, że w rozwoju techniki praktycznie nie uczestniczyliśmy – poza Ignacym Łukasiewiczem, który wynalazł lampę naftową. Sporadycznie natyka się na wzmianki o Kazimierzu Funku, Rudolfie Modrzejewskim, Mieczysławie Wolfkem, Rudolfie Weiglu czy Ludwiku Hirszfeldzie, jest nimi zaskoczony, nie bardzo im dowierza, tym łatwiej też o nich zapomina.

Mamy więc tendencyjnie (nie wskutek jakiejś zmowy, ale okoliczności) zniekształcone pojęcie o charakterze naszego rzeczywistego dorobku w dziedzinie szeroko pojętej kultury. Przesadnie przeceniające rangę polskiej literatury, w głównym swym zrębie wspierającej aspiracje niepodległościowe, a więc dla znacznej części czytelników z innych krajów nie bardzo zrozumiałej, nie tylko ze względów językowych. Niedostrzegające licznych i ważnych – często wręcz w skali światowej – naszych osiągnięć w naukach przyrodniczych. Całkiem lekceważące polski wkład do rozwoju techniki światowej. Tymczasem nasza liczna XIX-wieczna emigracja walnie przyczyniła się do rozwoju cywilizacyjnego niektórych krajów, niekiedy egzotycznych (jak Turcja osmańska czy Peru), a międzywojenna II Rzeczpospolita w wielu dziedzinach techniki ścigała się z największymi potentatami, co znalazło epilog w imponującym polskim wkładzie wynalazczym w zwycięstwo sprzymierzonych w II wojnie światowej.

Źródło: „Polski wkład w przyrodoznawstwo i technikę. Słownik polskich i związanych z Polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych i techniki", Instytut Historii Nauki PAN, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2015, tom I, s. 11–13

eprasa.pl d4c85cccd8

Wynalazki i polityka

Ignacy Mościcki pamiętany jest powszechnie jako sanacyjny prezydent niepodległej Rzeczypospolitej, blisko współpracujący z marszałkiem Józefem Piłsudskim. Mało kto wie, że wcześniej był jednym z najważniejszych wynalazców europejskich na początku XX w. i zdobył międzynarodową pozycję naukową. Żył w burzliwych czasach, toteż rozmaicie układały się jego losy

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Prezentację postaci upamiętnionych w naszym „Słowniku" rozpoczynamy od trzech polskich wynalazców, którzy najmocniej wpłynęli na postęp techniczny w XX w. Wszyscy trzej należeli do światowej elity, spośród której dobiera się kandydatów do Nagrody Nobla. Wszyscy trzej związani byli z II Rzeczpospolitą, toteż znaleźli się na czele jej przedstawicieli kadry naukowo-technicznej zamieszczonych w kalendarzu wydanym przez IPN. Oni akurat byli wynalazcami. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na fundamentalną różnicę pomiędzy wynalazcą a odkrywcą. Odkrycia dotyczą faktów albo prawidłowości związanych z przyrodą. Wynalazki są dziełem ludzi – stworzeniem czegoś nowego, czego wcześniej nie było w otaczającej nas rzeczywistości. Większość z nas używa tych pojęć zamiennie, traktując je jak synonimy. Robią to nawet ludzie dobrze wykształceni humanistycznie. Zapoznanie się z naszym dorobkiem w zakresie przyrodoznawstwa i techniki powinno ich wyleczyć z tego błędu.

Mościcki urodził się 1 grudnia 1867 r. w Mierzanowie na Mazowszu. Był synem powstańca styczniowego. Kształcił się w gimnazjum w Płocku i szkole realnej w Warszawie, a następnie studiował na wydziale chemicznym w niemieckojęzycznej Polytechnische Schule w Rydze (1887–1891). Na studiach związał się z konspiracją niepodległościową – najpierw ze Związkiem Młodzieży Polskiej „Zet", a od 1890 r. z socjalistycznym II Proletariatem. Uczestniczył w przygotowywaniu zamachu na generała-gubernatora Iosifa W. Hurkę. Zagrożony aresztowaniem, w lipcu 1892 r. przedostał się nielegalnie do Prus Wschodnich, a stamtąd do Londynu. Nie zdążył obronić gotowej już pracy dyplomowej. Brak dyplomu ukończenia studiów sprawiał mu w przyszłości kłopoty formalne przy nominacjach profesorskich czy powoływaniu na katedry uniwersyteckie.

W Londynie Mościcki imał się różnych zajęć, pogłębiając wiedzę w urzędzie patentowym oraz na kursach wieczorowych w Finsbury Technical College. Przebywał tam w kręgu socjalistów polskich wydających „Przedświt". Zetknął się wówczas z Piłsudskim, z którym utrzymywał potem bliskie kontakty.

W roku 1897 Mościcki został zatrudniony jako asystent przez Józefa Wierusza-Kowalskiego, profesora fizyki uniwersytetu w szwajcarskim Fryburgu. Świat szykował się już wówczas do wielkiej wojny, wzrastało więc zapotrzebowanie na związki azotowe przydatne w wytwarzaniu materiałów wybuchowych. Potrzebowało ich też rolnictwo, gdyż wyczerpywały się zasoby nawozów naturalnych. Postanowił więc Mościcki w 1900 r. znaną już wówczas laboratoryjną metodę utleniania azotu w łuku elektrycznym przystosować do produkcji na skalę przemysłową. Kluczową sprawą było uzyskanie szybkozmiennego łuku elektrycznego o odpowiedniej częstotliwości wygenerowanego przez prąd o bardzo wysokim napięciu. Ponieważ nie było praktycznych możliwości stworzenia takich warunków ani teoretycznych przesłanek, jak je uzyskać, Mościcki musiał to zrobić sam. A był mistrzem w znajdowaniu rozwiązań praktycznych. Doszło wówczas do dwóch najważniejszych jego wynalazków: kondensatorów wysokiego napięcia, które stworzył i opatentował w 1904 r., oraz specjalnego pieca z wirującym płomieniem, pozwalającego wytwarzać kwas azotowy, który wiązał azot znajdujący się w powietrzu atmosferycznym (1905). Pierwsza fabryka kwasu azotowego wytwarzanego metodą Mościckiego powstała w 1910 r. Jego kondensatory okazały się przydatne jako bezpieczniki w energetycznych liniach przesyłowych oraz znalazły zastosowanie w powstających wówczas coraz liczniej stacjach radiotelegraficznych (w 1907 r. zainstalowano je w stacji na wieży Eiffla w Paryżu). W Szwajcarii stworzył też Mościcki przemysłową metodę produkcji cyjanowodoru (1912). Te sukcesy przyniosły mu rozgłos i duże pieniądze. Wraz ze współpracownikami założył wówczas Towarzystwo do eksploatacji przypadających Polsce patentów, którego członkowie, sprzedając licencje na swe wynalazki, wyłączali z nich ziemie Polski po odzyskaniu przez nią niepodległości.

Zaproszony na wykładowcę przez Szkołę Politechniczną we Lwowie, od 1913 r. kierował tam Katedrą Elektrotechniki Technicznej i Chemii Przemy-

eprasa.pl d4c85cccd8

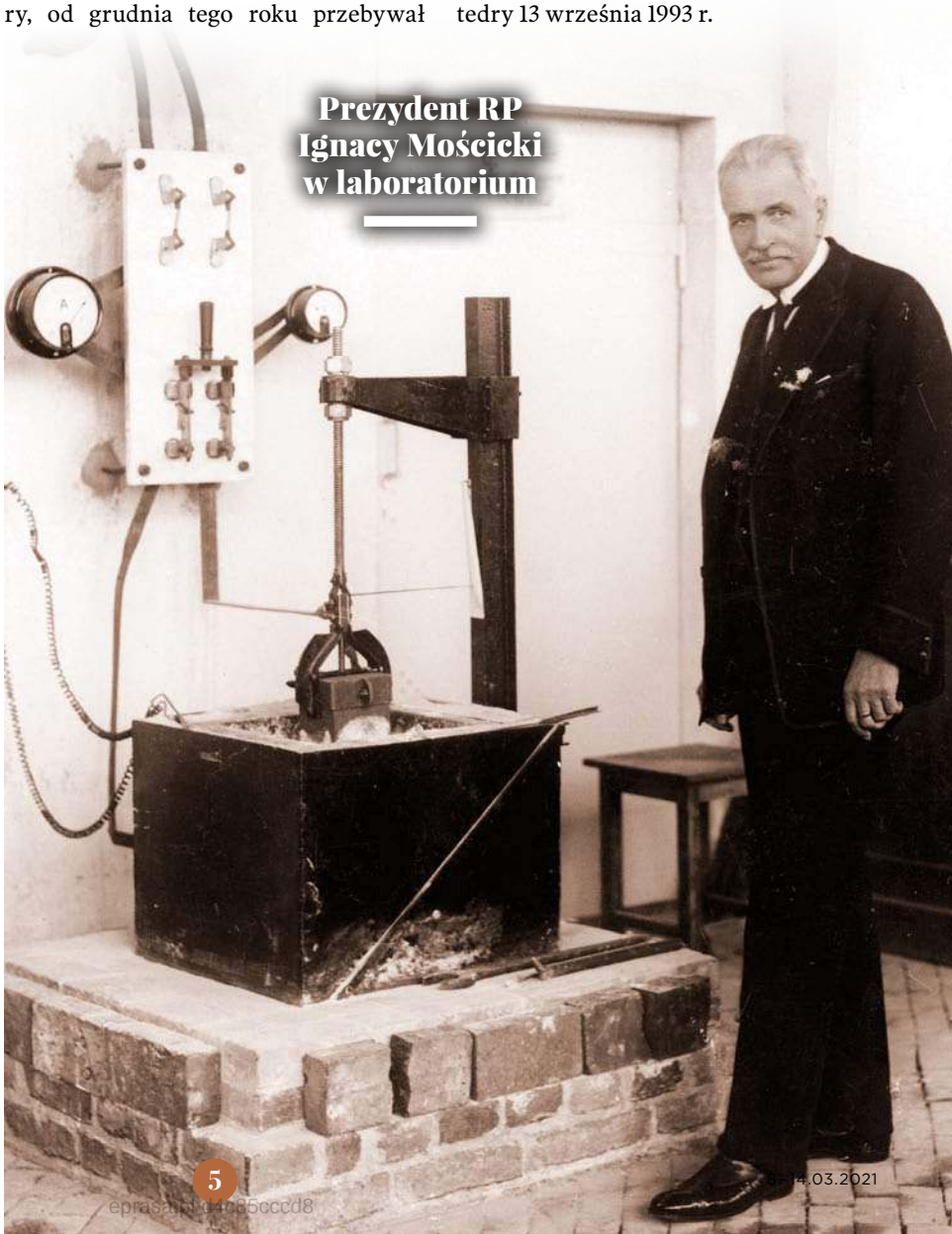
słowej. Delikatną sprawę braku dyplomu załatwiono, przyznając mu doktorat honorowy. Przywiózł z sobą kilka wagonów instalacji i sprzętu, które podarował uczelni. W okresie lwowskim zajmował się problematyką związaną z destylacją ropy naftowej, uzyskując liczne patenty, m.in. na oryginalną metodę frakcjonowanej kondensacji wykorzystywaną w procesie destylacji ropy naftowej w USA. Stworzył współpracujący z przemysłem Instytut Badań Naukowych i Technicznych „Metan" (1916), będący rodzajem spółki utrzymującej się z opracowywania patentów. Zgromadził również zespół zdolnych współpracowników z Kazimierzem Klingiem, Kazimierzem Drewnowskim, Wojciechem Świętosławskim i Eugeniuszem Kwiatkowskim na czele. Zrobili oni z czasem znaczące kariery naukowe i nie tylko.

W 1919 r. odwiedził Szwajcarię, gdzie namówił do powrotu do odradzającej się ojczyzny Gabriela Narutowicza, czołowego wówczas w Europie pioniera elektrowni wodnych. Kiedy niepodległa Polska przejmowała w 1922 r. z rąk niemieckich nowoczesne zakłady azotowe w Chorzowie, dotychczasowy personel opuścił je, zabierając wszelką dokumentację. Wysłano Mościckiego, by zaznajomił się z instalacją i odtworzył produkcję. Mimo sabotażu udało mu się to po dwóch tygodniach, a po paru miesiącach produkcja wynosiła już tyle co za czasów niemieckich i zwiększyła zakres wyrobów, m.in. w oparciu o patenty Mościckiego. W rezultacie Mościcki kierował zakładami chorzowskimi do 1926 r.

W czerwcu 1925 r. został rektorem Politechniki Lwowskiej, ale już od października tego roku objął Katedrę Elektrochemii Technicznej Politechniki Warszawskiej. Te wydarzenia naukowe pozostawały wszakże w cieniu i poniekąd wynikły z decyzji zaangażowania się w politykę, jaką podjął Mościcki pod wpływem przewrotu majowego. Ta nowa ambicja okazała się łatwa do spełnienia. 1 czerwca 1926 r. został wybrany przez Zgromadzenie Narodowe na prezydenta RP.

Był lojalnym współpracownikiem Marszałka do końca jego życia, bardziej ufając w jego opatrznościową rolę, niż przestrzegając konstytucji. Dbał o rozwój naukowo-przemysłowy. Doprowadził do budowy zakładów azotowych w Mościcach koło Tarnowa, lansował i wspierał Eugeniusza Kwiatkowskiego, kierownika polskiej gospodarki (o co przyszło mu się spierać z Piłsudskim), patronował tajnym pracom naukowym na potrzeby zbliżającej się wojny. Na własne badania miał mało czasu – zajmował się jonizacją (ozonowaniem) powietrza z myślą o powszechnym jej stosowaniu dla polepszenia warunków zdrowotnych. Więcej czasu musiał poświęcić na odbieranie doktoratów honorowych. Łącznie przyznano mu ich 17, tak uhonorowała go m.in. Sorbona oraz uniwersytety w Dorpacie i Fryburgu.

17 września 1939 r. przekroczył granicę rumuńską. Zwolniony z internowania po rezygnacji z prezydentury, od grudnia tego roku przebywał w Szwajcarii. Tam przyjęto go ciepło, ale nie znalazł zatrudnienia ani w instytucjach, które kiedyś zakładał, ani na uniwersytecie, który uhonorował go doktoratem. Przyjechał prawie bez grosza, nie wypadało przecież prezydentowi wycofywać z banku pieniędzy w momencie zagrożenia kraju. Musiał więc zarabiać na utrzymanie, pracując nad jonizacją powietrza i nowatorskimi metodami konserwacji żywności. Napisał autobiografię. Zmarł 2 października 1946 r. w Versoix pod Genewą. Pochowano go na koszt rządu szwajcarskiego, nie respektując ostatniej woli, w której wyraził chęć spoczywania w miejscu nieoznaczonym. Podobnie zignorowały ją władze polskie, grzebiąc jego doczesne szczątki w krypcie warszawskiej katedry 13 września 1993 r.



Prezydent RP Ignacy Mościcki w laboratorium

Fot. NAC

eprasa.pl/1085cccd8

Najczęściej cytowany polski uczony

Jan Czochralski (1885–1953)

Wedle legendy przez roztargnienie miał zanurzyć stalówkę pióra, którym pisał, zamiast w kałamarzu, w tygielku z badanym płynnym stopem metalu. Zaobserwował, że ze stalówki zwisa i ciągnie się za nią nitka krzepnącego metalu. Ta obserwacja była zarodkiem największego osiągnięcia Czochralskiego: uzyskiwania monokryształów – materiałów półprzewodnikowych, bez których nie byłoby rozwoju elektroniki

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Urodził się 23 października 1885 r. w Kcyni (zabór pruski), był synem stolarza. Pasjonował się chemią. Nie ukończywszy gimnazjum w Wągrowcu, zaczął pracować w aptece w Krotoszynie. W 1901 r. przeniósł się do Berlina, gdzie zatrudnił się w drogerii, a od 1906 r. jako analityk w laboratoriach przemysłowych, od 1907 r. w laboratorium koncernu Allgemeine Elektrizität Gesellschaft. W 1908 r., nie przerywając pracy, zdał egzaminy do Königliche Technische Hochschule w Berlinie-Charlottenburgu. Uzyskał tam dyplom inżyniera chemika ze specjalnością metalurgiczną. Od 1916 r. awansował w AEG na stanowisko kierownika laboratorium badania żelaza i stali. W tym czasie zdarzyło mu się – wedle powtarzanej legendy – przez roztargnienie zanurzyć stalówkę pióra, którym pisał, zamiast w kałamarzu, w tygielku z badanym płynnym stopem metalu. Zaobserwował wówczas, że ze stalówki zwisa i ciągnie się za nią nitka krzepnącego metalu. Ta obserwacja (stanowiąca odkrycie) nasunęła mu pomysł metody uzyskiwania monokryształów przez powolne wyciąganie zarodzi i krystalizację z substancji stopionej (będącej wynalazkiem). Było to największe osiągnięcie Czochralskiego. Jego metoda po II wojnie światowej stała się podstawowym sposobem uzyskiwania materiałów półprzewodnikowych dla rozwijającej się wówczas elektroniki. Z tego powodu Czochralski stał się pod koniec życia jednym z najczęściej cytowanych polskich uczonych.



Najdłużej kierował Czochralski laboratorium metaloznawczym firmy Metallbank und Metallurgische Gesellschaft we Frankfurcie nad Menem. Badał tam własności, jakość i czystość metali i stopów. Był autorem wielu publikacji i patentów. W roku 1924 wraz z prof. Georgesem Welterem wynalazł bezcynowy stop łożyskowy o wysokich właściwościach ślizgowych, który znalazł powszechne zastosowanie w kolejnictwie, znany jako „metal B" (od niemieckiego: Bahnmetall). Miało to wówczas znaczenie praktyczne, gdyż powersalskie Niemcy obowiązywał zakaz importu cyny.

Czochralski był jednym z czołowych metaloznawców w Niemczech. W 1919 r. należał do współtwórców Niemieckiego Towarzystwa Metaloznawczego (Deutsche Gesellschaft für Metallkunde), a od 1925 r. był jego prezesem.

Czochralski był wielkim miłośnikiem muzyki, ożenił się z pianistką wirtuozką, którą poznał na koncercie chopinowskim. Kiedy był już zamożny, stał się kolekcjonerem sztuki.

W 1928 r. na zaproszenie prezydenta Ignacego Mościckiego powrócił do Polski. Został profesorem i kierownikiem Zakładu Metalurgii i Metaloznawstwa na wydziale chemii Politechniki Warszawskiej, w którym m.in. prowadził prace dla Wojska Polskiego. Zostając profesorem, uzyskał polskie obywatelstwo. Popierany przez władze człowiek z niemieckim paszportem budził nieufność w środowisku. Głośny był konflikt, w jaki popadł z prof. Witoldem Broniewskim, metaloznawcą, absolwentem Sorbony. Echa tych kontrowersji długo pobrzmiewały.

Nieufność wzrosła, kiedy doszło do okupacji niemieckiej i Czochralski stworzył na terenie Politechniki Warszawskiej Zakład Badania Materiałów pracujący dla Wehrmachtu. Ale za wiedzą i zgodą Czochralskiego produkowano tam również uzbrojenie dla Armii Krajowej, a on sam uratował mnóstwo zagrożonych ludzi przed aresztowaniem i wywózką.

Po wojnie oskarżono Czochralskiego o kolaborację z okupantem. Trudno mu było wówczas powoływać się na AK, bezwzględnie prześladowaną w pojałtańskiej Polsce. Od kwietnia 1945 r. przebywał w areszcie, w końcu jednak uznano, że jest niewinny. Mimo to senat Politechniki Warszawskiej wykluczył go z grona profesorów. Wtedy osiadł w Kcyni, gdzie wytwarzał chemikalia. Sprawa dobrego imienia uczonego wlokła się długo. Jeszcze w 1993 r. senat PW uznał, że nie widzi potrzeby zmiany stanowiska, dopiero w 2011 r. – kiedy przedłożono niezbite dowody współpracy Czochralskiego z AK – zaapelował „o podjęcie działań przypominających postać i dokonania prof. Jana Czochralskiego, w celu zapewnienia mu należnego miejsca w historii Politechniki Warszawskiej i nauki w Polsce".

rys. Krzysztof Wyrzykowski

eprasa.pl d4c85cccd8

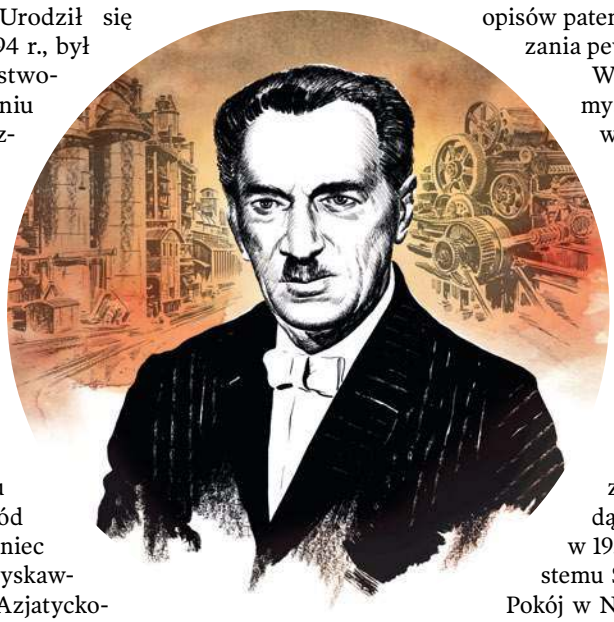
Pochłaniała go pasja wynalazcy

Tadeusz Sędzimir (1894–1989)

Jego metodą kształtuje się znakomitą większość karoserii samochodowych i obudów pralek, lodówek itp. Do końca XX w. uruchomiono ponad 400 rozmaitych typów walcarek Sędzimira w 35 krajach świata

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Pochodził z Galicji. Urodził się we Lwowie 15 lipca 1894 r., był synem urzędnika państwowego. Po ukończeniu IV gimnazjum klasycznego w 1912 r. rozpoczął studia na wydziale mechanicznym miejscowej Szkoły Politechnicznej. I jemu los uniemożliwił uzyskanie dyplomu.



Po zajęciu Lwowa przez wojska rosyjskie na początku I wojny światowej pracował w warsztacie samochodowym. Następnie został sekretarzem w rosyjsko-amerykańskiej izbie handlowej w Kijowie. Po wybuchu rewolucji w 1917 r. ruszył na wschód przez Syberię, docierając pod koniec 1918 r. do Szanghaju. W 1919 r., uzyskawszy wsparcie finansowe Banku Azjatycko-Rosyjskiego, uruchomił tam wytwórnię gwoździ, nitów i śrub zatrudniającą 150 pracowników, która znakomicie prosperowała.

Zdobyte tam doświadczenia z wyrobami z niskojakościowych stali węglowych podatnych na korozję w morskim, wilgotnym klimacie Szanghaju, skłoniły Sędzimira do zastanawiania się nad ochroną antykorozyjną. Zwłaszcza nad procesem cynkowania. Uznając dotychczasowe sposoby za niedoskonałe, co przejawiało się kruchością powłoki cynkowej, postanowił zastąpić je nową technologią. Mówiąc najprościej – trzeba było utrzymać proces w izolacji do atmosfery, co zapobiegało utlenianiu cynku. Metoda ta wymagała podawania blach w długich taśmach, zamiast arkuszy, a więc zastosowania odpowiednich walcarek. Taka była geneza i istota najważniejszego osiągnięcia Sędzimira, które miało po latach zrewolucjonizować światowe stalownictwo.

Mając w głowie zarys tej idei i nie mogąc jej realizować w Szanghaju, udał się w 1929 r. do Stanów Zjednoczonych, by zainteresować nią tamtejszy przemysł. Czas mu nie sprzyjał. Trafił na wielki kryzys. Trudno było nakłaniać twardo stąpających po ziemi biznesmenów do wielkich inwestycji. Zwłaszcza że do pomysłów Sędzimira nie mieli przekonania ich tradycyjnie nastawieni fachowcy. Okres amerykański przyniósł mu jednak korzyści. W archiwach zapoznał się z mnóstwem opisów patentowych – co nasunęło mu rozwiązania pewnych kwestii szczegółowych.

W zakładach Kruppa w Essen pomysł rozwalcowywania blach stalowych na zimno do nieosiągalnych wcześniej cienkości uznano również za nierealny. Udało mu się jednak znaleźć w Niemczech warsztat, gdzie wedle jego projektu skonstruowano prototyp takiej walcarki.

Od roku 1930 szukał szans w Polsce. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało mu się uruchomić pierwszą linię ciągłego walcowania blach na zimno i cynkowania swą metodą w Kostuchnie pod Katowicami w 1933 r. W tymże roku walcarkę z systemu Sędzimira zainstalowano w Hucie Pokój w Nowym Bytomiu, gdzie działała aż do 1962 r.

Blacha ocynkowana metodą Sędzimira wykazywała liczne zalety. Można ją było poddawać dalszej obróbce – tłoczyć, wyginać. W 1934 r. pokryto nią dach krakowskich Sukiennic, a niebawem dach kurii biskupiej w Wilnie. Wkrótce zyskała międzynarodowy rozgłos. W 1935 r. Sędzimir przeniósł się do Paryża, od 1936 r. instalowano jego linie technologiczne w Wielkiej Brytanii, Francji i USA. W 1939 r. osiadł w Ameryce, zmieniając nazwisko na Tad Sendzimir. Jego metodą kształtuje się znakomitą większość karoserii samochodowych i obudów pralek, lodówek itp. Do końca XX w. uruchomiono ponad 400 rozmaitych typów walcarek Sędzimira w 35 krajach świata. Uzyskał on około 120 patentów w różnych krajach, w tym 73 w USA. Był wynalazcą wszechstronnym, zajmował się zarówno ochronnymi powłokami pojazdów kosmicznych, jak i pomysłami utworzenia pływających wysp, na których mieszkaliby wraz z rodzinami rybacy, podążający za ławicami ryb. Całkowicie pochłaniała go pasja wynalazcza. Był człowiekiem zamkniętym w sobie i dziwacznym. Przez całe życie przestrzegał wyrafinowanej diety, opartej w sporej mierze na czosnku. Do bardzo późnej starości zachował nadzwyczajną tężyznę fizyczną, uprawiał pływanie i długie marsze. Zdobył ogromny majątek, finansował rozmaite inicjatywy, w tym także polonijne.

Dodatek powstał we współpracy z IPN | 28/0221/F

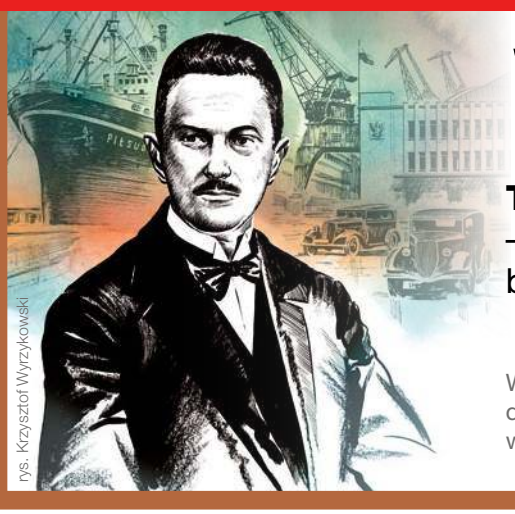
eprasa.pl d4c85cccd8

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Kolejny odcinek ukaże się 12 kwietnia

w tygodniku SIECI



rys. Krzysztof Wyrzykowski

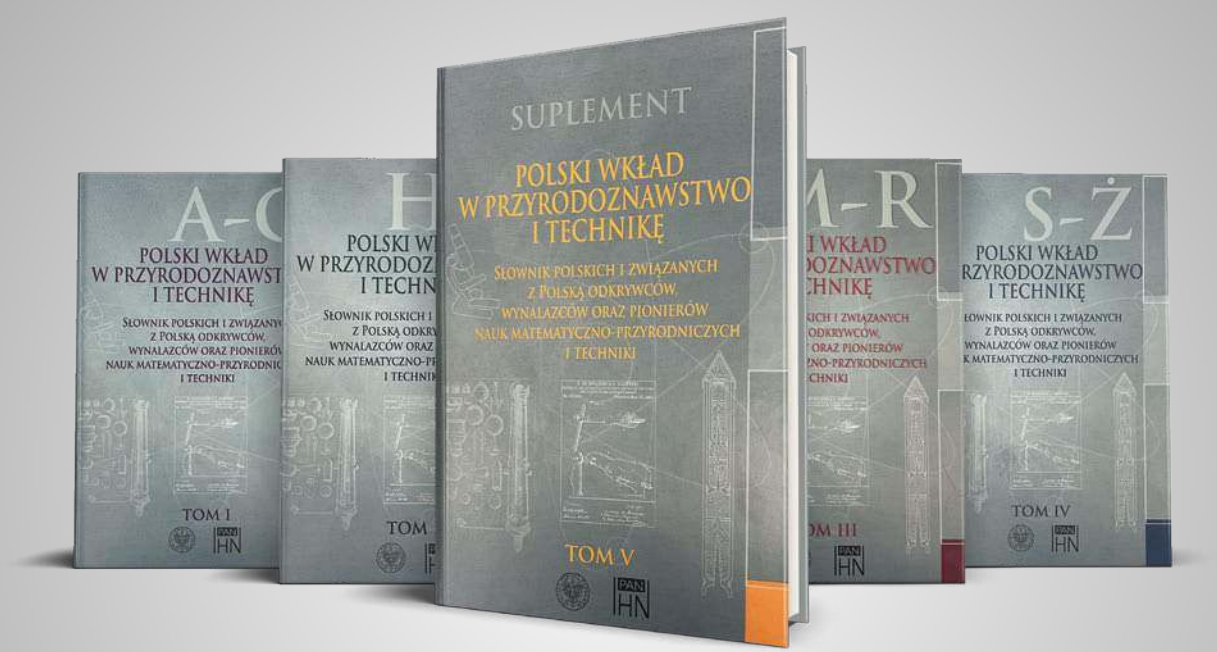
TADEUSZ APOLINARY WENDA
– główny projektant i kierownik budowy portu Gdynia

Więcej o bohaterach tego i następnych dodatków z serii „Giganci nauki PL” w serwisie YouTube na kanale: IPNtv

PARTNERZY MERYTORYCZNI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN IHN



POLACY, KTÓRZY ZMIENILI ŚWIAT

JAN CZOCHRALSKI, IGNACY MOŚCICKI, STEFAN BRYŁA, RUDOLF WEIGL
+ 1300 INNYCH

SPRZEDAŻ:
OFICYNA@ASPRA.PL

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Instytut Historii Nauki PAN im. Ludwika i Aleksandra Birkenmajerów

eprasa.pl d4c85cccd8



Rola księżnej Diany przyniosła jej Złoty Glob. Serial „The Crown" – nagrodzony w sumie czterema statuetkami – wprowadził Emmę Corrin do wielkiego świata. I filmowego, i monarszego. Podziękowała za to pięknie Lady Di

W świecie Lady Di

Fot. Materiały prasowe Netflix

eprasa.pl d4c85cccd8



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Jeszcze kilkanaście miesięcy temu nikt nie kojarzył jej nazwiska. Po tegorocznej edycji Złotych Globów to jej podziękowania najczęściej przywoływano w mediach.

GWIAZDY NA KANAPIE

Wystąpienie Emmy Corrin zostało zapamiętane nie tylko dlatego, że 78. gala rozdania nagród Hollywoodzkiego Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej odbyła się w wyjątkowych okolicznościach, a odtwórczyni roli księżnej Diany – jak większość nominowanych artystów – kontaktowała się z organizatorami poprzez internetowe łącza.



Brytyjka – choć w domowych pieleszach – na spotkanie z międzynarodową publicznością przygotowała się, wybierając kreację może nie na czerwony dywan, jednak podkreślającą wyjątkowość wieczoru. Zupełnie inaczej niż Jodie Foster (nagrodzona za rolę drugoplanową w filmie „Mauretańczyk"), do której Corrin jest podobna fizycznie. Charakterologicznie raczej nie. Foster – która mając ledwie trzy lata, brylowała w telewizyjnych reklamach, pierwszą nominację do Oscara zdobyła jako 14-latka, a potem nie dała się wypchnąć z hollywoodzkiej branży – przyjęła widzów ubrana w piżamę i ze swadą ograła to na wizji.

Dla 25-letniej Corrin udział w serialu „The Crown" był pierwszym tak dużym zawodowym wyzwaniem. Gdyby nie rola księżnej Diany, być może zrezygnowałaby z marzeń o graniu. Między filmowymi epizodami zarabiała na życie, pracując w londyńskim sklepie z bielizną. Podczas gali online z ujmującą naturalnością okazała wdzięczność za to, co ją spotkało: za szansę, zawodowe doświadczenie i pierwszą zdobytą aktorską nagrodę.

Z EMPATIĄ I CZUŁOŚCIĄ

Niezmanierowana, podbijająca serca młodzieńczym urokiem, dziękowała m.in. grającemu księcia Karola Joshowi O'Connorowi (tegoroczny Złoty Glob dla najlepszego aktora w serialu dramatycznym). Największe wrażenie wywołała jednak, zwracając się bezpośrednio do... Lady Di. Podkreślała, że to Diana nauczyła ją współczucia i empatii „ponad miarę, jaką dotychczas mogła sobie wyobrazić". – W imieniu wszystkich, którzy pamiętają cię z czułością i namiętnością w sercach, dziękuję ci – mówiła Corrin.

Była czarująca i wzruszająca, w czym o wiele bardziej (niż wspomnianą Jodie Foster) przypominała graną przez siebie bohaterkę. Zwłaszcza z czasów, gdy panna Spencer dopiero wchodziła do królewskiego świata.

Twórca „The Crown" Peter Morgan, tak komentował jej wygraną w castingu: – Ma niewinność i piękno młodej księżnej, ale też odwagę i głębię pozwalającą sportretować kobietę, która z naiwnej nastolatki przeobraża się w idolkę pokolenia.

DROGA DO ROYALSÓW

Emma-Louise Corrin urodziła się 1 grudnia 1995 r. w brytyjskim miasteczku Royal Tunbridge Wells. Poza „królewskim" elementem w nazwie, do czasu wejścia na plan serialu „The Crown" nic jej nie łączyło ani z royalsami, ani z aktorstwem. Matka (urodzona w RPA) jest logopedką, ojciec biznesmenem. Dwaj młodsi bracia też działają poza show-biznesem.

Emma miała półtora roku, kiedy Diana zginęła w wypadku samochodowym, nie mogła więc pamiętać księżnej, za to – czego doszukali się dociekliwi dziennikarze – uczyła się w szkole dla dziewcząt z internatem.

Tam połknęła bakcyla aktorstwa i bardzo poważnie zaczęła się przygotowywać do nowej drogi. Wzięła udział w szekspirowskim kursie w London Academy of Music and Dramatic Art, a kiedy dostała się do Cambridge, dołączyła do najstarszej studenckiej trupy teatralnej w Wielkiej Brytanii, Cambridge University Amateur Dramatic Club.

Po studiach udało jej się wystąpić m.in. w jednym odcinku brytyjskiej serii „Grantchester" i w amerykańskim serialu „Pennyworth". W 2020 r., oprócz królowej ludzkich serc, zagrała też reprezentantkę RPA w brytyjskim filmie „Niepokorna miss". Na planie tej produkcji spotkała m.in. Keirę Knightley. „The Crown" wprowadził ją między takie gwiazdy, jak Olivia Colman czy Helena Bonham-Carter.

Corrin nie kryła, jak wielkim było to dla niej przeżyciem. Szczerością reakcji, a także wnikliwością, z jaką podchodziła do pracy na planie i do swojej bohaterki, zjednywała sobie ludzi.

– Generalnie kochałam młodą Dianę. Nie da się właściwie zrozumieć starszej Diany bez zrozumienia jej jako 19-latki, mieszkającej ze współlokatorkami i idącej na swoją pierwszą randkę z Karolem. Trzeba zrozumieć drogę, którą przeszła – mówiła w jednym z wywiadów.

Uczucia po wygranym castingu skomentowała: – Poczułam się, jakby ktoś mi się oświadczył. I w jej przypadku – inaczej niż w życiu panny Spencer – to był początek szczęśliwej historii.

Fot. Materiały prasowe Netflix

eprasa.pl d4c85cccd8

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Co zawdzięczamy TVP

Festiwal Narodowej Kultury Pamięć i Tożsamość jest kolejną imprezą, o której dziwności decyduje pandemia. Bo festiwal to zjazd ludzi, ich kontakty i pogaduszki w kuluarach, często zresztą owocujące kolejnymi artystycznymi przedsięwzięciami.

Tu zaś mamy odpowiednie strony internetowe i seanse w dotkniętych pandemicznymi restrykcjami kinach. Nikt się nie schodzi, gala też jest zdalna. To jednak okazja, aby przypomnieć sobie listę przedsięwzięć animowanych i finansowanych przez telewizję publiczną, a jakoś związaną z narodową kulturą. Z historią i tożsamością właśnie.

Ostatnio udzielałem na ten temat wypowiedzi dziennikarzowi katolickiego tygodnika. I obaj się zgodziliśmy: nie jesteśmy entuzjastami politycznego przekazu TVP. Ale dostrzegamy, ile tematów mogło się pojawić tylko tam. Widać to po liście nagrodzonych. Serial „Ludzie i bogowie", niekonwencjonalne potraktowanie okupacji niemieckiej przez Bodo Koksa. Czy „Dziady", kameralny, poetycki spektakl Teatru Wierszalin na kanwie wielkiego romantycznego tekstu, przerobiony na potrzeby Teatru Telewizji. Czy dokument „Wojna światów" Mirosława Borka o wojnie 1920 r., czyli o prawdziwym starciu cywilizacji. Nie ma na takie rzeczy miejsca pośród komercyjnej papki.

W tej powodzi kilkuset pozycji warto też dostrzec perełki nie tak efektowne. Nagrodzona Anna Ferens zrobiła 11 odcinków dokumentalnego cyklu „Geniusze i marzyciele" – o najważniejszych polskich uczonych, ich wkładzie w światową myśl. Dostajemy wizerunki Stefana Banacha, Stefana Bryły, Ludwika Hirszfelda, z zachętą, by pójść tym tropem, dowiedzieć się jeszcze więcej. Polskie dzieje przestają być jedynie rejestrem wojen i powstań. Sami często nie myślimy o sobie jako o narodzie badaczy i wynalazców. A jednak...

Piszę „perełki", a wiem, że z powodu politycznej polaryzacji nie ma szans na jakąkolwiek rozmowę na te tematy. Polskie elity odwróciły się plecami do TVP, nawet jeśli ktoś wciąż przyjmuje zaproszenia, przychodzi, czasem zarabia. Kiedy telewizyjna produkcja osiągnie za wielki rozgłos – jak serial „Osiecka" – zaczynają się potępieńcze obrachunki. Tłumaczą się aktorzy, scenarzyści, reżyserzy. Że to nie mogło się udać, że oni tak naprawdę zajrzeli tam na chwilę, przeszli z Barejowskimi tragarzami, a woleliby tworzyć gdzie indziej. Czysta groteska!

Lewicowy krytyk dziwi się, że „Osiecka" nie realizuje „pisowskiej polityki historycznej". Ale co nią było? Świetna saga rodzinna „Stulecie Winnych", też nakręcona przez dobrych reżyserów? „Ludzie i bogowie" lewicowca Koksa? Ludzie, opamiętajcie się!

Weekendowy pokaz w kinie Wisła przypomniał, ile ważnych filmów kinowych zostało zrealizowanych częściowo za pieniądze telewizji. „Kamerdyner" Filipa Bajona przypomniał o masakrze Kaszubów i innych Polaków z Pomorza w Piaśnicy na samym początku wojny. Ale to także tętniąca życiem historyczna epopeja o trochę zapomnianym przez nas regionie. A moje ulubione „Ułaskawienie" Jana Jakuba Kolskiego, owszem film o „wyklętych", ale bez cienia prawicowej ortodoksji, produkt życiowej mądrości znakomitego wyrafinowanego artysty.

Powstały przy wsparciu TVP dzieła wprost z konserwatystami polemizujące, jak „Zieja" Roberta Glińskiego, portret niepokornego, ale mocno ekstrawaganckiego w poglądach duchownego. Ja nie tłumaczę TVP. Ja relacjonuję. To nie Jacek Kurski kręci te filmy, a wybitni artyści.



PS Gratulacje dla Haliny Łabonarskiej. Nagrodzona Platynowym Ryngrafem za świetną rolę w „Koronie królów" – powiedzmy wprost, przez lata nie była traktowana jak wielu jej kolegów. I to druga strona zagadnienia nazywanego „przechyłem TVP".

Piotr Zaremba

Dawnych przebojów czar

Polskie Radio swój niedawny jubileusz 95-lecia istnienia uświetniło dwupłytowym albumem. Jest na nim 16 legendarnych szlagierów w oryginalnych wykonaniach sprzed lat oraz w nowych aranżacjach i interpretacjach dzisiejszych artystów estrady.

Kulisy przedsięwzięcia przybliża nota redakcyjna. „Zaproponowaliśmy dziennikarzom muzycznym Polskiego Radia i naszym słuchaczom wybranie najważniejszych piosenek tych nieomal 10 dekad. Oczywiście była to tylko zabawa, zdajemy sobie sprawę, że ułożenie takiej listy przebojów wielu pokoleń jest nie tylko niemożliwe, ale i nieuprawnione. Największą siłą tych utworów jest ich trwanie, sukces polega na tym, że udało się im zaczarować czas, pamięć i pozostać z nami".



Adam Ciesielski



„95 lat Polskiego Radia"
Wyd. Agencja Muzyczna Polskiego Radia

Rozsądne podejście, przy którym trudno pytać, dlaczego w zestawieniu brak choćby jednej piosenki Grechuty czy Perfectu. Na płycie oryginałów ze wzruszeniem słuchamy wielu rodzimych evergreenów. Od zwycięskiej w radiowym plebiscycie „Małgośki" w energetycznym ujęciu Maryli Rodowicz, przez „Grande Valse brillante" niezapomnianej Ewy Demarczyk, po „Dziwny jest ten świat" Czesława Niemena. Ich współczesne odpowiedniki wydały mi się bladym echem niezrównanych pierwowzorów, choć wykonawczyniom: Renacie Przemyk, Gabie Kulce czy Kayah nie brakuje odwagi i talentu.

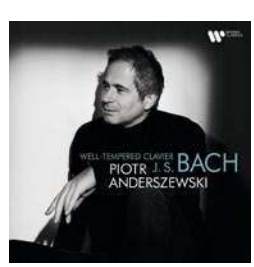
Podobne odczucia miałem przy kilku dalszych piosenkach w nowych wersjach. Ale np. Piotr Beczała, międzynarodowej sławy tenor operowy, nie gorzej od Mieczysława Fogga umiał wyeksponować walory „Tanga Milonga". Przypominając, że nie przypadkiem utwór Petersburskiego i Własta z 1929 r. pozostaje do dziś jedynym hitem z Polski w obiegu światowym.

W postscriptum do swego eseju Paweł Sztompke pisze: „Ogromnie jestem ciekaw, po którą z tych płyt będą Państwo sięgać częściej – po tę historyczną, czy tę współczesną". Jasne, że jestem za pierwszą opcją. Ale z respektem dla odmiennych wyborów innych odbiorców. Najważniejsze, że czar dawnych polskich piosenek wciąż działa.

W zwierciadle Bacha

Piotr Anderszewski na swoje kolejne podejście płytowe do Bacha wybrał drugi tom jego kanonicznego cyklu „Das Wohltemperierte Klavier". Nagrania kończył już w czasie pandemii. Interpretacje olśniewają wirtuozerią, ale też skłaniają do refleksji nad porządkiem wszechświata, miejscem człowieka, jego oczekiwań i nadziei w dobie kryzysu cywilizacji.

Lipski Kantor swój zbiór preludiów i fug stworzył „na użytek młodzieży muzycznej chcącej się uczyć, a szczególnie dla tych, którzy już są zaawansowani w nauce". Skromne z pozoru materiały dydaktyczne dla klawesynistów i organistów miały nader wyrafinowany kształt artystyczny. Oryginalny zamysł po stu latach miał inspirować Chopina. Niezwykły potencjał dzieła dostrzegli też późniejsi pianiści, choć ich instrumenty brzmiały inaczej niż te, na które pisał Bach. Od 1933 r., kiedy Ludwig Fischer jako pierwszy zarejestrował na płytach „Das Wohltemperierte Klavier", wielu mistrzów klawiatury wykonywało i nagrywało kilkugodzinną całość dzieła lub przynajmniej jego tom I. Wśród nich są m.in. słynne realizacje Światosława Richtera (1915–1997) i Glenna Goulda (1932–1982), postaci znaczących dla Anderszewskiego, zwłaszcza u progu kariery.



„Johann Sebastian Bach: Well-Tempered Clavier"
Wyk. Piotr Anderszewski
Wyd. Warner Classics

Teraz, po 30 latach sukcesów artysty na świecie, trudno mówić o bezpośrednich odniesieniach do tamtych wzorów. Ale z Gouldem właśnie zdaje się łączyć Anderszewskiego przekonanie, że nuty Bacha dają wykonawcom dużo swobody. Polak – podobnie jak niejednokrotnie legendarny Kanadyjczyk – ustanawia własną kolejność par preludiów i fug. Ucieka od narzucających się podobieństw i kontrastów, tworzy nowe dramaturgie. Pełne skupienia, kontemplacyjne partie przedziela rozpędzonymi beztroskimi pasażami.

Tej krzepiącej muzyki na płycie można posłuchać już, na żywo zaś podczas koncertu Piotra Anderszewskiego 6 maja w Filharmonii Narodowej.

Adam Ciesielski

eprasa.pl d4c85cccd8

Ewolucja ujemna



Stanisław Alexandrowicz, „Powiedzcie im, że idę", Wyd. Adam Marszałek, Toruń 2020

Jest to książka kompletnie politycznie niepoprawna, bo... bardzo aktualna. Miejscami oburza, wyzywa, miejscami wywołuje uśmiech, a niekiedy rechot. Myślę, że to najaktualniejsza powieść, jaką znam, i że nieprędko się zestarzeje.

Przedstawiając swoją książkę w „Przedsłowiu", autor oznajmia, że jego dzieło ma charakter naukowy, opiera się na powszechnie stosowanej metodzie badawczej, jaką jest obserwacja, a osobliwość książki polega na tym, że składa się wyłącznie z przykładów. W tym miejscu autor zaznacza, że dla przyjemności i komfortu czytelników przykładom tym nie towarzyszą żadne teoretyczne wypełniacze. Jak się w miarę czytania przekonujemy, jest w tej deklaracji zapowiedź drwiny z makulatury „naukowej" wszelkich odmian, z tytułów naukowych i „najświętszych" gremiów. Aby tego dokonać, sam autor, jako bohater, musi się nam ukazać jako zarozumiały idiota. To jego spora ofiara, ale skuteczna.

Faktycznie, cała opowieść, na którą składa się 26 krótkich rozdziałów noszących tyleż intrygujące, co lapidarne, jednowyrazowe, tytuły, zbudowana jest wyłącznie z przykładów. Dostarcza nam ich ekscentryczny główny bohater, cyniczny zarozumialec, chwilami groteskowy bufon, a przy tym „wybitny profesor", jak mówi o sobie, nie bez dozy kpiny, który wsiada w Toruniu do pociągu, by przez nijakie i żałosne w jego mniemaniu Kutno dojechać do Warszawy, tam „odbębnić" swoje akademickie obowiązki i – znowu przez nielubiane Kutno – wrócić do Torunia. Jako miejsce akcji powieści możemy zatem wskazać Toruń i Warszawę, pośrednio także Kutno widziane oczami bohatera z okien wagonu, a i sam pociąg jest pierwszorzędną sceną wydarzeń. Czas akcji można w przybliżeniu określić jako jeden dzień, w ciągu którego bohater odbywa podróż z Torunia do Warszawy i z powrotem.

Język powieści to smakowita uczta dla koneserów sztuki narracji. Wiele wyrażeń niesie w sobie ładunek cynicznej ekspresji. Wypowiedzi typu: „Rozmowa zamiast mnie zabić, to mnie ożywiła", „Podzielił nas i połączy absurd", „wiedziona nieuzasadnionym imperatywem kształcenia", „anatomiczne leginsy" bez wątpienia mogłyby trafić na nową listę epea pteroenta i wierzę, że kiedyś wejdą do kanonu słów skrzydlatych właśnie. Może skrzydlatych inaczej. Książka w całości napisana jest w pierwszej osobie, a narrator, będący równocześnie głównym bohaterem, opisuje swoje spostrzeżenia. Czyni to w sposób absolutnie niepowtarzalny, każdej napotkanej osobie dorabiając biografię i snując opowieść na jej temat, a robi to z nonszalancką nutą wyższości. Czasem nawet czujemy, że gardzi obiektami swojej obserwacji, natomiast

Książka Stanisława Alexandrowicza „Powiedzcie im, że idę" zaskakuje już od pierwszej strony i to uczucie zaskoczenia towarzyszy czytelnikowi do ostatnich zdań

tylko nieliczne traktuje w miarę życzliwie. Przyjemność sprawia mu to, że myśli o ludziach „tak pięknie źle" i że jego niechęć do nich jest „wręcz monumentalna".

Tak, nasz bohater nie znosi ludzi; ale odnosimy wrażenie, że nie znosi także samego siebie i że drwiąc z ludzi, często drwi także z siebie. Obserwowane przez niego osoby nabierają w jego opisach karykaturalnych rysów, ale i on sam bywa karykaturalny. Jest dzieckiem naszej epoki, jest dzieckiem czasu, w którym żyjemy. Życzymy mu zmiany, niech by stał się cud. I w rzeczy samej, wraz z powrotem naszego bohatera do Torunia jesteśmy świadkami trudnej do zdefiniowania metamorfozy. Wcześniej gbur, arogant, patrzący na wszystkich z pogardą, zaczyna się nam jawić jako ktoś inny: łagodniejszy, wyciszony, zmęczony, a może udręczony. Przez cały czas, od początku akcji, towarzyszy nam przekonanie, że ten człowiek jest w niewłaściwej roli, ale we właściwym miejscu, tylko dlatego, że innego miejsca po prostu nie ma. Czy zdąży, zanim zadrży ziemia i trąby zagrzmią w dniu Paruzji?

Tej niewyraźnej, trudnej do uchwycenia metamorfozie bohatera towarzyszy czytelne przekonstruowanie sposobu obrazowania rzeczywistości. Przerysowane, nadzwyczaj realistyczne, a czasem wręcz naturalistyczne detale, w dalszych rozdziałach powieści ustępują miejsca obrazom rodem z absurdu, groteski, z pogranicza surrealizmu. Odnosimy wrażenie, że bohater, któremu przyszło żyć nie w swojej roli i nie w swoim miejscu, ucieka w świat na granicy snu i rzeczywistości, bo tylko to mu zostało, tylko w ten sposób może się „odnaleźć". W ostatnich rozdziałach patrzymy jego oczami na osobliwe panopticum, na wielki korowód postaci. Czy to już jest danse macabre? Czy jesteśmy świadkami przejścia do tamtego świata?

Książkę Alexandrowicza „Powiedzcie im, że idę" powinien przeczytać każdy myślący człowiek, każdy, komu (wciąż jeszcze) bliskie są losy naszej cywilizacji, kto (wciąż jeszcze) ma świadomość, że zło powoli, ale podstępnie kolonizuje nasze umysły, konfiskuje nam wolność i sumienie, odwracając bieg ewolucji gatunku ludzkiego. A niepoprawnym i zupełnie nierozrywkowym.

Grażyna Zając
Autorka jest doktorem habilitowanym, profesorem UJ, literaturoznawcą i orientalistą

eprasa.pl d4c85cccd8

3 MIŁOŚCI

Ludzkie chwasty



ROBERT TEKIELI

Administracja Joego Bidena po dojściu do władzy natychmiast przywróciła dotowanie z kasy publicznej klinik aborcyjnych. Największym beneficjentem tego procederu zablokowanego na parę lat przez Trumpa jest International Planned Parenthood Federation, instytucja, którą, pod inną nazwą, stworzyła w 1923 r. Margaret Sanger. Jeszcze wcześniej, już w 1916 r., ta globalna prekursorka cywilizacji śmierci otworzyła pierwszą w USA klinikę planowania rodziny. Jakie poglądy miała prekursorka współczesnej tęczowo-feministycznej rewolucji?

„Pozwolenia na rodzicielstwo po złożeniu wniosku powinny wydawać władze miast, hrabstw czy stanów parom małżeńskim". „Zezwolenie na małżeństwo samo w sobie powinno dać mężowi i żonie tylko prawo do wspólnego domu, a nie prawo do rodzicielstwa". „Żadne pozwolenie na rodzicielstwo nie powinno być ważne więcej niż na jedne narodziny..." („Ameryka potrzebuje kodeksu dla dzieci", 1934).

Totalitaryzm, teraz rasizm: „Nauka katolicka jest nielogiczna, niezgodna z nauką i zdecydowanie sprzeczna z opieką społeczną i poprawą rasy" („Stanowisko papieża w kwestii kontroli urodzin", 1932). „Zastosować należy surową i sztywną politykę sterylizacji i segregacji wobec tej klasy ludności, której potomstwo jest skażone, albo której dziedziczenie jest tego typu, że cechy niedopuszczalne mogą być przenoszone na potomstwo" („Moja droga do pokoju", 1932). „Eugenika bez kontroli urodzin wydaje się nam domem zbudowanym na piasku" („Kontrola urodzin a poprawa rasy", 1919). „Największym problemem dzisiaj jest to, jak ograniczyć nadmierną płodność i zniechęcić do niej niedorozwiniętych umysłowo i fizycznie" („Eugeniczna wartość propagandy kontroli urodzin", 1921). „Znajomość kontroli urodzin jest zasadniczo moralna. Jej ogólna, choć roztropna, praktyka musi doprowadzić do wyższej indywidualności i ostatecznie do czystszej rasy" („Moralność a kontrola urodzin", 1918). „Upośledzenia umysłowe utrwalają się wśród szeregów tych, którzy są beznamiętnie obojętni na swoje rasowe powinności" („Oś cywilizacji", 1922). „Te dwa słowa [kontrola urodzin] streszczają całą filozofię (...). Oznacza to uwolnienie i rozwijanie lepszych elementów w naszym społeczeństwie oraz stopniowe tłumienie, eliminację oraz ostateczne wytępienie ułomnego potomstwa – tych ludzkich chwastów, które stanowią zagrożenie dla rozkwitu najpiękniejszego kwiecia cywilizacji amerykańskiej" („Najważniejsze wydarzenia w historii kontroli urodzin", 1923). „Jeśli mamy dokonać postępu rasowego, ten rozwój kobiecości [akceptacja kontroli urodzin] musi poprzedzić macierzyństwo u każdej indywidualnej kobiety" („Kobieta i nowa rasa", 1920). „Chcę, aby w świat poszła wieść, że chcemy eksterminacji murzyńskiej populacji..." (List do doktora Clarence'a J. Gamble'a, 1939). „Przyjęłam zaproszenie, by przemówić do kobiecego oddziału Ku Klux Klanu (...). Zaprowadzono mnie na podium, przedstawiono i zaczęłam przemawiać" („Autobiografia", 1938).

Na koniec trzy perełki: „Zorganizowana dobroczynność jest sama w sobie symptomem złośliwej choroby społecznej..." („Oś cywilizacji", 1922). „Największym przejawem litości, jaki duża rodzina może okazać jednemu ze swoich niemowlęcych członków, to zabić go" („Niegodziwość tworzenia dużych rodzin", 1920). „Sądzę, że nie powinno być więcej dzieci" (wywiad z Johnem Parsonsem, 1947).

Na początku lat 60. Margaret Sanger nawiązała kontakt z Gregorym Pinkusem, który prawdopodobnie za jej namową skutecznie zajął się stworzeniem doustnego środka antykoncepcyjnego, którego powszechne używanie zmieniło zbiorową świadomość Zachodu. Dziecko zaczęło być traktowana jako intruz, przed którym należy się z wszelkich miar zabezpieczyć. To doustny środek antykoncepcyjny doprowadził do dzisiejszego wymierania społeczeństw zachodnich.

Sanger nienawidziła dzieci, rodzicielstwa, małżeństwa oraz Kościoła katolickiego. To fakty. Przeczytajcie jednak państwo biogram aborcjonistki zamieszczony w Wikipedii, „wolnej encyklopedii" – jest on polemiką z prawdą, polemiką przedstawiającą Margaret Sanger jako świetlaną postać zatroskaną o los ludzkości. Wikipedia to podstawowe źródło wiedzy dla młodego pokolenia. Ktoś dziwi się, że staje się ono lewicowe? Globalne korporacje, monopolizujące kanały komunikacyjne współczesnego świata, ukrywają zbrodniczy charakter różnych nurtów współczesnej aksamitnej rewolucji. Poglądy Margaret Sanger, współtwórczyni ideologii feministycznej, dają wgląd w obraz świata, który jest budowany przez neomarksistów. Rasizm, eugenika, antykoncepcja i aborcja – oto nowy wspaniały świat. Czy w Polsce padł już argument, że walczący o zachowanie aborcji eugenicznej to zwykli rasiści?

eprasa.pl d4c85cccd8

WOJNA CYWILIZACJI



POPKULTURA

Być może Chyba warto zobaczyć niedostępny dotąd w Polsce serial ***„Nowy wspaniały świat”***, który właśnie się pojawił na platformie streamingowej Netflix. Z oryginałem Huxleya nie ma zbyt dużo wspólnego, ale podstawowe zagadnienia zostały naszkicowane. Orwellowska, bolszewicka dystopia i huxleyowski wspaniały świat hedonistycznej utopii pokazywały dwie strony tego samego zjawiska. Przekazania przez jednostki wolności i odpowiedzialności na rzecz systemu. Na ekranie mamy klasowy świat bez więzi, bez małżeństwa, bez rodziny, bez macierzyństwa, ojcostwa, bez własności i prywatności. Ogłupieni narkotykiem i wszechobecnym seksem ludzie są sterylną masą sztucznie uśmiechniętych monad. „Lepiej zakończyć, niż łączyć”, „Każdy jest dla każdego”, „Jeśli nie jesteś szczęśliwy, jesteś nikim” – to hasła recytowane co chwila przez mieszkańców Nowego Londynu i obrazujące główne założenia społeczeństwa totalitarnego. Oraz niesamowite teksty: „Uwielbiam widok krematorium o tej porze”, „To muzyka, już jej się nie robi”, bo muzyki w tym świecie również nie ma. Reżyserowi udaje się w kolejnych odcinkach budować napięcie fabularne, jedynym zgrzytem są powtarzające się nad miarę i nużące sceny z kopulacją. Widać, twórcy serii nie rozumieją, że piąta orgia jest nudna jak dzieła de Sade'a. „Nowy wspaniały świat” ostatecznie jest pochwałą ludzkiej natury, która w końcu odzywa się w mieszkańcach tego zaćpanego miasta. To źle czy dobrze?

LITERATURA

Skandal Tenkrajowa bojówka rewolucji neomarksistowskiej, nie będę tu litościwie wymieniał nazwisk, po raz kolejny rzuca postulat usunięcia z lektur szkolnych ***„W pustyni i w puszczy”***. Cóż, uwiera ich postać 14-latka mężniejącego w obliczu konieczności opiekowania się dziewięciolatką wśród skrajnych przeciwności. I w dodatku odrzucającego propozycję przejścia na islam w obliczu zagrożenia śmiercią. Ale czego oczekiwać po ludziach wyzutych z polskiej tożsamości.

POPKULTURA

Niewarte Niestety netflixowy ***„Kajko i Kokosz”*** jest straconą szansą. Nie da się dziś animować jak 50 lat temu. Do tego dubbing zupełnie obok obrazków. Papierowa wersja „KiK” miała w sobie jakąś naiwną i miłą nutę. A tu katastrofa. Dzieci tego dziś nie obejrzą. Smutne.



KULTURA

Warte Ruszyła nowa polska platforma – ***Nowe Horyzonty VOD***. Do końca roku ma oferować 500 produkcji. Jej propozycja skierowana jest przede wszystkim do fanów kina niezależnego i artystycznego. I rzeczywiście posiada prawie same niekonwencjonalne produkcje, niszowe, ale wiele z tych nagradzanych. Są perełki, np. oscarowy „Parasite” czy „Dzieci z Bullerbyn” oraz filmy Céline Sciammy, Pedro Almodóvara i Paola Sorrentino. Niektóre fabuły są dostępne również w wersji reżyserskiej. Oczywiście platforma pełna jest filmów reprezentujących szeroko i afirmatywnie różnorodność LGBTQ+, feminizm i poprawność polityczną.



POPKULTURA

Warte Na HBO GO miał premierę pierwszy odcinek miniserialu dokumentalnego ***„Allen kontra Farrow”***. Ma zaledwie cztery odcinki, ale bardzo mocne w przekazie. Dokument opowiada historię bitwy sądowej o opiekę nad dziećmi jednego z najsłynniejszych reżyserów na świecie, Woody'ego Allena, i jego byłej żony Mii Farrow. Przedstawia wszystko na tle oskarżeń Allena o wykorzystywanie seksualne siedmioletniej wówczas córki Mii Dylan Farrow. Reżyser odmówił odniesienia się do zarzutów podniesionych w filmie. Serial wyreżyserowali wielokrotnie nagradzani i nominowani do Oscara Kirby Dick i Amy Ziering.

POPKULTURA

Być może Przed nami, może w sierpniu, drugi sezon ***„Wiedźmina”***, jednego z największych hitów Netflixa. Twórcy po finansowym sukcesie serialu od razu zapowiedzieli kolejny sezon, jednak po drodze mieli bardzo duże problemy z produkcją. Pandemia zmniejszyła tempo prac, a w grudniu aktor grający Wiedźmina doznał kontuzji na planie. Pierwszy sezon serialu cieszył się niezwykłą popularnością. Chociaż był papierowy i w ogóle mnie nie wkręcił. No, ale popkultura jest krojona nie pod moje gusta. Kto wie, czy to dobrze, czy źle.

Robert Tekieli
Polskie Radio



Wojciech ***Stanisławski***

Wszystkie odmiany melancholii

Flâneur Chmielewskiego wydaje się należeć do tych, którzy nigdy nie odnajdą straty. Ale nie znaczy to, że kokietuje rozpaczą: nie, przyjmuje śmiertelność, godzi się z nią

Chabrowy, błękit, granat. Rezygnacja, tęsknota, żal. Niebieski uważany jest za kolor smutny, niemal depresyjny. Domorośli psycholodzy rzucają przenikliwe spojrzenie, kiedy na imprezie, nad talerzykiem z musztardą i kęsem karkówki, ktoś wyzna upodobanie do lazuru lub szafiru. Ale melancholia, „pleśń na każdej radości", jak napisał o niej Marek Bieńczyk, królewska córa, jest czymś o tyle większym niż depresja i tyle posiadającym odcieni! Odzywa się w gwiździe kosa („Już nigdy! Już nigdy") i w zgrzycie tramwajów na pętli, przesyła ukłon w dusznym barze piwnym z poprzedniej epoki, z jadłospisem wypisanym letrasetem i pod bladym niebem lipca. I nie znam pisarza, który potrafiłby dziś nazwać tyle jej odmian – osobność, niespełnienie, tęsknota, nostalgia – ile Wojciech Chmielewski.

Czytam jego prozę od pierwszych opowiadań, tych drukowanych we „Frondzie", które potem trafiły (nie wszystkie) do tomu „Biały bokser" (2006), potem kolejnych. Ich bohater, zawsze widziany z bliska, z tyłu, jakby z pozycji stojącego tuż za plecami bezradnego anioła stróża (zawodowy ochroniarz rozsądnie zostawiłby sobie miejsce na rękę wyciągającą gnata) idzie Nowogrodzką, Elektoralną, Królewską, a czasem śnieżną ścieżką nad Piwniczną, a czasem piaszczystą, pod czarnymi sosnami. Zbiegam schodami prowadzącymi na peron Warszawy-Powiśla, mija psa warującego przy siatce, wsiada do taksówki; stoi przy barze, odstawia niedopitą szklankę, poprawia w kieszeni płytę. Rozmawia, czasem flirtuje, śmieje się. Ale my obserwujemy go milczącego, słyszymy go, kiedy sobie, nie innym, zadaje stale to samo pytanie: jak to się stało, że nie jestem już tym, kim byłem? Nie ma w tym zdaniu patosu, pytania o niegdysiejsze śniegi, ale i tak trzeba niemało odwagi, żeby je postawić. A może to potrzeba opowiadania sobie własnego życia, które kiedyś było najwyraźniej bardziej wyraziste: byłem. Byłem. Byłem.

W „Jeziorze Dargin", najnowszej powieści, pojawia się większość motywów znanych z poprzednich książek Chmielewskiego, ale tu splecionych jeszcze ściślej. Mam wrażenie, że gdyby rozrysowywać na wielkim arkuszu powracające w kolejnych akapitach tematy (nudne zajęcie dla filologów z ostrym ołówkiem), okazałoby się, że jest to robota precyzyjna jak kilkupiętrowa partytura. A zarazem to zapis myśli, która krąży i wciąż odbija się od kilku ścian jak samochodzik w smutnym wesołym miasteczku.

Umieranie przyjaciela. Sceny biesiadne polskie. Porażka życiowa, której już nie da się unieważnić. Wspomnienie studenckich wzruszeń, tak wyblakłych, tak już niebyłych. I znowu, i znowu. Te pokutne kręgi zataczane są bez histerii, bez przyspieszenia, są niemal mnisim czy więziennym spacerem. I właśnie w tym wyczekaniu, w zdolności do wciągnięcia nas, czytelników w żałobę nad kumplem, nad młodością, nad sobą, odprawianą przez 23 rozdziały ponumerowane rzymskimi cyframi jak stacje drogi krzyżowej, objawia się klasa pisarska Chmielewskiego.



Wojciech Chmielewski, „Jezioro Dargin", Czytelnik, 2021

Nie tylko w tym. Pisałem już kiedyś, że – na pozór bez wysiłku – jego pisarstwo będzie kiedyś jednym ze świadectw czasu: w postnych wyliczankach śniadaniowego jadłospisu, oferty osiedlowego sklepu, obsady emerytalnego stolika osiągnął nadspodziewanie wiele. Zakurzone kawalerki, nieświeże szpitalne sale, kempingi z wyleniałą trawą opisane są rzeczowo, bez gier, erudycyjnych żartów,

eprasa.pl d4c85cccd8

groteski. Jak bardzo musieliśmy być nimi znużeni, skoro proste chłodne zdania przynoszą wytchnienie, jak we frazie, która przyszła do poety po jałowych latach, po udręce Hegla: „...tytoń schnący / Pod okapem i pługi i koła drewniane / I zbocza gór i jesień przy mnie są".

To jeden z sekretów tej prozy, że pisana jest serio i oszczędnie. Jeśli pozwala sobie na porównanie, to półgębkiem, jeśli wysokie tony, to w cytacie z romantyków niemieckich, w strzępie snu. Drugi sekret to jednakowa uwaga poświęcana wszystkim napotkanym ludziom, towarzyszom urlopu, pracy, choroby. Chmielewski nie musi, pozbawiony papieru, uczyć się na pamięć swoich wierszy jak Wasyl Stus czy raportu – jak Karski. Ale w tym spojrzeniu, na dwa–trzy zdania skupionym na jednym człowieku, potem przesuwanym na kolejnego, jest uwaga więźnia wypuszczanego z obozu, który musi zapamiętać jak najwięcej imion i adresów. Tej pamięci starcza zwykle na kilka szczegółów: zielone oczy, czarne włosy, białe skarpetki. I jedno przeszywające pytanie: Czym żyje, co myśli? Dlaczego zachowywał/a się tak, nie inaczej? Autor tego nie wie, a więzień na jedno z trzech zdań zamienia się w adwokata, w obrońcę.

Prawie wszystkie zdania przywołują działania z przeszłości, które kiedyś, powtarzane, nadawały rytm życiu. „Chodziłem", „słuchaliśmy", „kupowali": czas przeszły dokonany jak z podręcznika, czas przeszły dany i przejedzony, i już niebyły. Flâneur Chmielewskiego wydaje się należeć do tych, którzy nigdy nie odnajdą straty. Ale nie znaczy to, że kokietuje rozpaczą, napraszając się pocieszenia: nie, przyjmuje śmiertelność, godzi się z nią. I nagle, w ostatnich już wersach książki, potrafi odnaleźć inny czas: „Po zmroku pod latarniami wirują śnieżynki, są zabarwione na różowo, ich radość roznosi się po całym mieście. Dzieci czują, że zima będzie długa i w tym czasie wiele może się wydarzyć".

Można czytać tę prozę trochę jak stoików, trochę jak ks. Kaczkowskiego po odjęciu onkocelebryzmu: jako wezwanie do pogody w obliczu nieuchronnej śmierci. Można mieć nadzieję, że wędrowiec idący Grójecką raz i drugi wspomni na ten miłoszowski cytat: „Kiedy przechodziłem miastem ludnym / (jak mówi Walt Whitman w przekładzie Konrada Toma) / (....) myślałem, że jest między mężczyznami, dziećmi i kobietami / coś, ani nieszczęście ni szczęście".

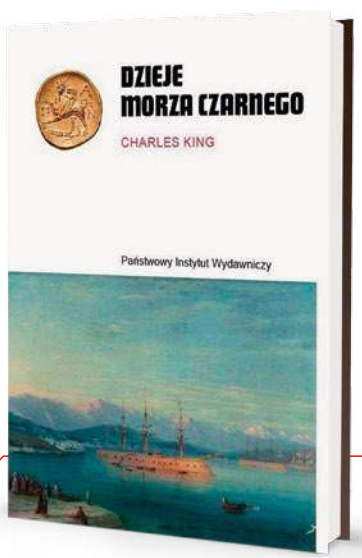
Historia pelagialna

Pelagialna, czyli morska. Co za świetny pomysł! Oczywiście, nie idzie tu o starą jak historie podróży, odkryć czy bitew morskich, wielkich dni małej floty. Nierównie bardziej ambitnym zamiarem jest opisanie dziejów cywilizacji (w pierwszej kolejności politycznych i militarnych, lecz także gospodarczych, naukowych i społecznych; dziejów migracji i kartografii, handlu i technik połowu) leżących na brzegach akwenu, rozdzielonych granicami, lecz połączonych tą samą słonawą masą, niczym wielką ostrygą, którą wszyscy chcą połknąć.

Takie trudy opisu już podejmowano: Charles King, w bibliografii pod koniec swej książki, rozdziale wartym zresztą osobnej pochwały, wspomina (nieprzełożone jeszcze, niestety, na polski) dzieła traktujące o Oceanie Indyjskim i Pacyfiku. Klasykiem gatunku pozostaje rzecz jasna Braudel, choć pisząc o Morzu Śródziemnym, ograniczył się do epoki Filipa II. Ale opisanie dziejów ziem nadbrzeżnych przez pryzmat łączącego je morza, obszaru współpracy i rywalizacji, to koncept wciąż na tyle nowy, że konkurować z nim mogłaby bodaj tylko „historia fluwialna", jeśli dałoby się powołać do życia taką dyscyplinę naukową na podstawie niezrównanego „Dunaju" Claudio Magrisa.

King wywiązuje się ze swojego zadania doskonale: choć ma do opowiedzenia, lekko licząc, cztery tysiąclecia (plus, bagatela, poważne dygresje na temat prądów morskich, ukształtowania dna, meduz, nazewnictwa oraz dojrzewania tożsamości narodowych) nie nuży ani przez chwilę. Ale też temat wybrał bogaty w każdym znaczeniu tego słowa. Robinson Jeffers, poeta amerykański i wyznawca wielkości Pacyfiku, w jednym z wierszy określił Morze Śródziemne na poły wzgardliwie jako „Błękitną sadzawkę w starym ogrodzie/ Od pięciu tysiącleci przyjmującą ofiary"; gdyby z szerokości swojej Kalifornii widział małe Morze Czarne, mógłby napisać o nim to samo.

W wielkich rozdziałach, smacznie zatytułowanych od nazw używanych przez dominującą na tych wodach w danym okresie nację – Pontus Euxinus do upadku Rzymu, Mare Maggiore w czasach kupców włoskich, Karadeniz i Czornoje More w epoce nowożytnej...



Charles King, „Dzieje Morza Czarnego", tłum. Zuzanna Piotrowska, PIW, 2021

– zmieścił tysiące portów, setki wojen, dziesiątki narodów. Bo też ten połyskliwy zbiornik kształtował los nie tylko Bizantyjczyków i Rzymian, Turków i Rosjan. W snach, marzeniach i lamentach Greków faluje Máwri Thálassa, Ukraińców – Czorne More, Ormian – Sev Cov, Gruzinów – Szawi Zghwa. A Polaków – Morze Czarne, o czym niejedno możemy przeczytać w świetnej przedmowie pióra Jerzego Rohozińskiego.

eprasa.pl d4c85cccd8



Z Marleną Maląg, minister ds. rodziny i polityki społecznej, rozmawia Dorota Łosiewicz

Pandemia zmienia nam wskaźniki demograficzne. Od wielu lat nie mieliśmy tak niskiej liczby urodzeń. Na to nakłada się największa od dekad liczba zgonów. W efekcie w 2020 r. zmarło niemal 129 tys. osób więcej, niż się urodziło. Czy to wyłącznie wynik pandemii?

Marlena Maląg: Epidemia ma wpływ na niemalże wszystkie obszary naszego życia. Zapewne również na decyzje prokreacyjne Polaków. Niemniej jednak o wiele za wcześnie na kompleksową ocenę jej wpływu np. na liczbę urodzeń, szczególnie na podstawie danych za rok 2020. Jeśli w Polsce epidemia zaczęła się w marcu 2020 r., to biorąc pod uwagę czas trwania ciąży, o jej wpływie na rzeczywistą liczbę urodzeń można mówić ewentualnie w przypadku ostatnich tygodni 2020 r., a na tej podstawie nie można wysnuć wniosków dotyczących całego ubiegłego roku. O wiele więcej na temat ewentualnego wpływu epidemii na liczbę urodzeń będą nam mogły powiedzieć dane za rok 2021, a najwięcej dane po jej zupełnym wygaśnięciu. Może np. się okazać, że część osób rzeczywiście ze względu na epidemię odłożyła decyzję o dziecku, a po ustaniu epidemii nastąpi swego rodzaju kumulacja i pojawi się

Nie stać nas na rezygnację z 500+

W latach 2015–2020 nakłady na politykę prorodzinną zwiększyły się z niespełna 2 proc. PKB do niemalże 4 proc. PKB. Warto zwrócić uwagę, że od narodzenia dziecka aż do momentu ukończenia przez nie 18. roku życia rodzice mogą otrzymać na jego wychowanie wsparcie w łącznej kwocie aż 108 tys. zł

eprasa.pl d4c85cccd8

w związku z tym więcej urodzeń. To oczywiście tylko hipoteza, ale przecież nie niemożliwa. Wskazuje jednak, że z wahań wskaźników demograficznych w krótkich okresach nie warto wysnuwać daleko idących wniosków, o wiele ważniejsza jest ich ocena w długim czasie i obserwowanie tendencji. Na zmiany demograficzne ma wpływ jednak o wiele więcej czynników niż tylko pandemia. Jeśli chodzi o liczbę urodzeń, to jednym z głównych czynników wpływających na nią jest liczba potencjalnych rodziców. A ta maleje. W latach 90. ubiegłego wieku urodziło się bowiem o wiele mniej dzieci niż w latach 80., kiedy mieliśmy do czynienia z tzw. wtórnym wyżem demograficznym. Oczywiste jest zatem, że jeśli liczba potencjalnych rodziców jest mniejsza, to ogólna liczba urodzonych dzieci także może być mniejsza. Co więcej, w takich przypadkach możliwy jest nawet spadek liczby urodzonych dzieci przy wzroście współczynnika dzietności. W 1997 r. współczynnik dzietności kształtował się na poziomie 1,468, a liczba kobiet w wieku rozrodczym przekraczała 10,17 mln. W 2019 r. współczynnik dzietności był na porównywalnym poziomie – 1,419, ale wówczas było 8,93 mln kobiet w wieku rozrodczym. Czyli w ciągu dekady liczba kobiet w wieku rozrodczym zmniejszyła się o 1,24 mln. Niestety, prognoza GUS z 2014 r. wskazuje, że ten spadek będzie postępował: z 8,9 mln w 2019 r. do 5,79 mln kobiet w wieku rozrodczym w 2050 r.

A może 500+ już nie działa?

Jeśli pod pojęciem „działania" programu Rodzina 500+ rozumiemy jego wpływ na współczynnik dzietności, to przede wszystkim o wiele za wcześnie na podsumowania i oceny. Do oceny skuteczności instrumentów, które mogą wpływać na wskaźniki demograficzne, w tym współczynnik dzietności, potrzebny jest o wiele dłuższy czas – minimum jedno pokolenie, czyli około 30 lat. Program Rodzina 500+ działa zatem jeszcze zbyt krótko, żeby na tej podstawie wyciągać daleko idące wnioski. Niemniej jednak warto zwrócić uwagę, że program Rodzina 500+ wpłynął pozytywnie na współczynnik dzietności, bo od kiedy zaczął funkcjonować, jego poziom wzrósł. Od początku tego wieku, aż do roku 2016, czyli do czasu wprowadzenia programu, nigdy nie przekroczył 1,4. Obecnie nadal jest na jednym z najwyższych poziomów w XXI w. Oczywiście do czasu osiągnięcia poziomu gwarantującego zastępowalność pokoleń nie można twierdzić, że jest na satysfakcjonującym poziomie. Dlatego też trwają prace nad strategią demograficzną, która m.in. ma pomóc w rozwiązaniu tego problemu. Warto również zwrócić uwagę, że jeśli porównamy rzeczywiste liczby urodzeń z liczbami zawartymi w prognozie GUS z 2014 r., to po wprowadzeniu Programu Rodzina 500+ każdego roku rodziło się więcej dzieci, niż zakładała prognoza. Przy czym rola tego programu od początku nie była zawężona wyłącznie do oddziaływania pronatalistycznego. Gdyby tak było, to świadczenie byłoby wypłacane tylko na dzieci urodzone już po wprowadzeniu programu. Tymczasem świadczenie od początku obejmowało także dzieci, które już były urodzone (a niektóre matki tych dzieci nie były już nawet w wieku rozrodczym). Program spełnia bowiem także inne funkcje. Jest m.in. wyrazem solidarności społecznej, zauważeniem i docenieniem pracy wykonywanej przez rodziców bądź opiekunów. Niewątpliwie przywrócił godność wielu rodzinom. Ponadto ma pozytywny wpływ na koniunkturę, jest kołem zamachowym gospodarki (co nabiera jeszcze bardziej szczególnego wymiaru teraz podczas epidemii). A co najważniejsze, jest najlepszą inwestycją w kapitał ludzki, czyli w przyszłość nas wszystkich.

Polskę stać wciąż na ten program?

Naszego kraju na pewno nie stać na zrezygnowanie z tego programu. To trochę tak, jakbyśmy zapytali, czy nasz kraj stać np. na inwestowanie w infrastrukturę. Jeśli chcemy zrównoważonego rozwoju, jeśli chcemy nie tylko się rozwijać, lecz chociażby utrzymać poziom życia, do którego przywykliśmy, to nie możemy jako wspólnota inwestować np. wyłącznie w infrastrukturę. Nie możemy tylko budować dróg, mostów, szkół, szpitali, oczyszczalni ścieków... To wszystko jest niezmiernie ważne, ale przecież jeszcze musi być ktoś, dla kogo to wszystko będzie budowane, kto będzie z tego korzystał, kto będzie potrafił to utrzymać, obsługiwać... Innymi słowy, potrzebni są ludzie, a mówiąc językiem ekonomicznym: kapitał ludzki. I to z odpowiednimi kompetencjami. A te kompetencje też w pierwszym rzędzie kształtowane są w rodzinach. I program Rodzina 500+ jest właśnie inwestycją w rodzinę, zatem w kapitał ludzki. Na ważność kapitału ludzkiego zwracał uwagę m.in. laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii Gary Becker, np. na to, że deficyt kapitału ludzkiego wpływa na brak możliwości rozwoju. A odtworzenie go w krótkim czasie nie jest możliwe. To dlatego tak istotne jest, aby wśród innych inwestycji nie pomijać inwestowania w kapitał ludzki. Innymi słowy, nie zapominać, że inwestowanie w ludzi to inwestowanie w przyszłość każdego z nas z osobna (bez względu na to, czy wychowujemy dzieci, czy nie), a także nas wszystkich razem jako wspólnoty.

Może więc planowana jest waloryzacja 500+? Komentatorzy zauważają, że ta kwota nie jest już tym samym 500+, które dostały polskie rodziny w 2016 r. Z powodu inflacji realna wartość świadczenia w sile nabywczej z czasu wdrożenia spaść miała do zaledwie 438 zł. Czy więc możliwe jest podniesienia kwoty przyznawanej na dziecko do 600 zł?

Program Rodzina 500+, wprowadzony w kwietniu 2016 r., jest bez wątpienia największym rządowym programem społecznym. W sposób spektakularny zmienił na lepsze życie wielu polskich rodzin. I tak oto w 2017 r. (weźmy pod uwagę pełny rok) w ramach programu Rodzina 500+ do rodzin trafiły 23 mld zł. Natomiast w 2020 r. rodzinom zostały wypłacone ponad 42 mld zł – łącznie w ramach programu Rodzina 500+,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4c85cccd8

a także programu Dobry Start. To wzrost o blisko 83 proc. Na politykę prorodzinną warto patrzeć kompleksowo, wówczas łatwo zauważyć, że inwestycje w rodzinę nie maleją, ale rosną. W latach 2015–2020, czyli od czasu kiedy rządy przejęła Zjednoczona Prawica, nakłady na politykę prorodzinną zwiększyły się z niespełna 2 proc. PKB do niemalże 4 proc. PKB. Warto zwrócić uwagę, że od narodzenia dziecka aż do momentu ukończenia przez nie 18. roku życia rodzice mogą otrzymać na jego wychowanie wsparcie w łącznej kwocie aż 108 tys. zł. W ramach programu, od czasu kiedy zaczął on funkcjonować do końca ubiegłego roku, łącznie rodziny otrzymały ponad 134 mld zł. Regularnie każdego miesiąca świadczenie to wypłacane jest dla 6,6 mln dzieci. Ta liczba obrazuje skalę projektu, który bez wątpienia możemy nazwać najlepszą lokatą kapitału, inwestycją w naszą przyszłość.

Rząd chce, by część emerytów i rencistów dostawała swoje świadczenia tylko na konto. Projekt ustawy w tej sprawie już jest gotowy. Skąd ten pomysł?

Pomysł „ubankowienia" świadczeń nie jest tematem nowym, był już od jakiegoś czasu analizowany. Ma on na celu przede wszystkim usprawnienie procesu przekazywania świadczeń przez ZUS. Warto zwrócić uwagę, że przelew bankowy dociera do świadczeniobiorcy szybciej niż tradycyjny przekaz pocztowy. Co więcej, bezgotówkowa forma wypłaty świadczeń jest formą bezpieczną, zwłaszcza w obecnych warunkach epidemii. Według danych ZUS zdecydowana większość nowo przyznawanych świadczeń długoterminowych osobom kończącym swoją aktywność zawodową jest wypłacana na rachunki płatnicze, co oznacza, że to waśnie ta forma jest rozwiązaniem powszechnym i preferowanym. Chciałabym jednak uspokoić świadczeniobiorców, którzy poczuli się zaniepokojeni tymi planami: przygotowane przez Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej zmiany w sposobie przekazywania świadczeń zakładają ochronę interesów emerytów i rencistów, szczególnie tych w zaawansowanym wieku. W związku z powyższym bezgotówkowa wypłata świadczeń ma dotyczyć tych świadczeń, które zostaną przyznane od dnia 1 stycznia 2022 r. W przypadku osób, którym świadczenia zostały przyznane przed tym terminem, nic się nie zmieni i nadal będą one mogły otrzymywać je w formie przekazu pocztowego. W nowelizowanych przepisach przewidzieliśmy również wyjątek, zgodnie z którym nawet jeżeli świadczenie przyznane będzie po 31 grudnia 2021 r., to i tak będzie mogło być wypłacane za pośrednictwem poczty ze względu na szczególnie uzasadniony interes osoby uprawnionej, taki jak niepełnosprawność, podeszły wiek, stan zdrowia itp. Wspomniany wyjątek od reguły bezgotówkowej wypłaty świadczeń obligatoryjnie wymagać będzie uzyskania zgody ZUS.

> Na zmiany demograficzne ma wpływ o wiele więcej czynników niż tylko pandemia. Jeśli chodzi o liczbę urodzeń, to jednym z głównych czynników wpływających na nią jest liczba potencjalnych rodziców. A ta maleje

Czy w tym roku będzie 14. emerytura?

Sejm już uchwalił ustawę o dodatkowym rocznym świadczeniu pieniężnym dla emerytów i rencistów. Z naszych ministerialnych szacunków wynika, że z tzw. 14. emerytury skorzysta ponad 9 mln osób. Świadczenie w pełnej wysokości, a więc 1250,88 zł brutto, przysługiwać będzie każdemu emerytowi lub renciście, którego wysokość pobieranych świadczeń nie przekracza miesięcznie kwoty 2900 zł brutto. W przypadku osób otrzymujących świadczenia przekraczające tę kwotę będzie zastosowana zasada proporcjonalnego zmniejszenia zgodnie z regułą „złotówka za złotówkę". Oznacza to, że wysokość dodatkowego rocznego świadczenia pomniejszona zostanie o kwotę przekroczenia ponad 2900 zł brutto. Mechanizm ten pozwoli uniknąć sytuacji, gdy przekroczenie ustalonego progu nawet o kilkadziesiąt groszy spowodowałoby definitywną utratę prawa do 14. emerytury. Świadczenie to zostanie wypłacone z urzędu w termiach listopadowych wypłat tym wszystkim, którzy będą dysponowali prawem do świadczeń emerytalno-rentowych w dniu 31 listopada br. Dodatkowe roczne świadczenie jest wyrazem solidarności międzypokoleniowej, przejawem troski o seniorów, szczególnie w tym trudnym dla nas wszystkich okresie epidemii. Jest istotnym wsparciem dla osób otrzymujących niższe niż przeciętne świadczenie emerytalno-rentowe oraz dla tych, którzy pobierają m.in. świadczenia przedemerytalne, renty socjalne czy rodzicielskie świadczenia uzupełniające. Warto wspomnieć, że dzięki konsekwentnie realizowanej polityce senioralnej przez obóz Zjednoczonej Prawicy w roku bieżącym seniorzy mogą liczyć na waloryzację świadczeń emerytalno-rentowych, a także tzw. 13. emeryturę. Dodatkowe finansowe wsparcie seniorów w roku bieżącym z tytułu waloryzacji świadczeń, a także 13. oraz 14. emerytury wyniesie blisko 35 mld zł. Dla porównania, wydatki z tytułu waloryzacji świadczeń w 2015 r. wyniosły 3,55 mld zł. Tegoroczna skala wsparcia seniorów jest zatem 10-krotnie większa i powinna pozytywnie wpłynąć na stan polskiej gospodarki po okresie spowolnienia wywołanego przez pandemię.

eprasa.pl d4c85cccd8



Gra o przyszłość i pozycję Polski

Na europejskim Planie Odbudowy w większym stopniu skorzystają mniej zadłużone państwa, w tym Polska. Mamy szansę w perspektywie kilku lat dogonić pod względem poziomu życia państwa bogatszego Zachodu



MAREK BUDZISZ

W trakcie niedawnej monachijskiej konferencji bezpieczeństwa Ursula von der Leyen, szefowa Komisji Europejskiej, mówiąc o kwestiach więzi atlantyckiej, odniosła się do problemu opodatkowania amerykańskich gigantów internetowych. Mało kto zwrócił wówczas uwagę na jej słowa, ale nie były one przypadkowe, bo Bruksela chce wprowadzić nowy podatek, tzw. digital services tax, którym ma być objęty „ruch" w internecie, po to, aby być w stanie spłacić w przyszłości z tych dochodów część wartego 750 mld euro funduszu odbudowy. Różnica między tym a dziesiątkami innych podatków pobieranych w państwach tworzących Unię Europejską byłaby taka, że nakładałaby je Bruksela i wpływy z tego tytułu zasilałyby bezpośrednio budżet UE.

Fot. Thierry Monasse/REPORTER

eprasa.pl d4c85cccd8

Przeciwnicy tego projektu, do których w Polsce zaliczają się m.in. politycy Solidarnej Polski, są zdania, że zarówno podjęta w ubiegłym roku decyzja o wspólnotowym długu zaciąganym przez Komisję Europejską, jak i próby wprowadzenia paneuropejskich, wyłączonych spod narodowej jurysdykcji podatków, to nic innego niźli pierwsze kroki na rzecz budowy państwa federalnego w Europie.

Trudno odmówić tym argumentom racjonalności, zwłaszcza w sytuacji kiedy euroentuzjaści wcale nie ukrywają, że ich celem jest osiągnięcie „momentu Hamiltonowskiego", nazwanego tak od nazwiska Alexandra Hamiltona, pierwszego amerykańskiego sekretarza finansów, który wprowadzając nieistniejące wcześniej podatki federalne, położył, zdaniem historyków, fundament pod Stany Zjednoczone, wcześniej będące luźną konfederacją samodzielnych bytów politycznych.

Realiści zwracają uwagę, nie kwestionując federacyjnych apetytów elit Europy Zachodniej, na to, że kwestia europejskich podatków to jeszcze odległa przyszłość i ich wprowadzenie musi uzyskać zgodę wszystkich państw członkowskich, a pieniądze z funduszu odbudowy są potrzebne gospodarkom pogrążonym w kryzysie już teraz.

170 MLD EURO DLA POLSKI

A mówimy o gigantycznych kwotach, bo razem ze środkami zaplanowanymi w nowym, siedmioletnim unijnym budżecie na odbudowę, wzmocnienie i modernizacje gospodarek państw członkowskich ma zostać wydane łącznie 1,824 bln euro. Dla Polski ma przypaść łącznie 170 mld euro, z czego 58,1 mld euro ma być przeznaczone na Krajowy Plan Odbudowy, z którego środki mają zostać udostępnione w ciągu najbliższych trzech lat, a zaliczki, jak szacuje Komisja Europejska, będą dostępne już późną wiosną lub wczesnym latem tego roku. Przypomnijmy, że do polskiego budżetu z tytułu wszystkich podatków ma wpłynąć w tym roku niewiele ponad 369 mld zł, czyli z grubsza 81,3 mld euro. Konsumpcja środków Unii, z których 23,9 mld euro mają stanowić bezzwrotne granty, to tak jakby ktoś dał nam w prezencie niemal czwarty budżet w ciągu trzech lat, który prawie w całości możemy przeznaczyć na inwestycje.

Jaki rezultat może dać przyjęcie i prawidłowe skonsumowanie przez Polskę środków z funduszu odbudowy? Wydaje się, że bezpośrednim efektem będzie skokowy wzrost polskiej gospodarki i – szerzej – potencjału ekonomicznego państw regionu. W dłuższej, kilkuletniej perspektywie może to przynieść tektoniczne zmiany układu sił w ramach Unii Europejskiej, w której najsilniejsi jak wszędzie mają najwięcej do powiedzenia. Może się zatem okazać, że w roku 2027, kiedy dobiegnie końca obecna perspektywa budżetowa, będziemy mieli do czynienia z zupełnie inną wspólnotą. Nie dlatego, że stanie się ona państwem federalnym, ale dlatego, że wzrośnie pozycja pewnych państw, a inne będą musiały się godzić ze spadkiem swego znaczenia. Zresztą tego rodzaju trendy już obserwujemy, a programy unijne jeszcze je przyspieszą.

W lutym w hiszpańskim lewicowym „El Pais" ukazał się artykuł, którego autor Antonio Maqueda z goryczą konstatował fakt, że 20 lat po przystąpieniu jego ojczyzny do strefy euro nie udało się zmniejszyć dystansu wobec Niemiec, mało tego – Czechy właśnie wyprzedziły Hiszpanię pod względem PKB liczonego na głowę mieszkańca według parytetu siły nabywczej. W nieodległej przyszłości, najprawdopodobniej już w przyszłym roku, Hiszpania zostanie zdystansowana przez Litwę, Estonię, Słowenię, a później również przez Polskę.

Hiszpański dziennikarz odwołał się do niedawnych prognoz sporządzonych przez analityków MFW, w których świetle w 2021 r. hiszpański PKB liczony na głowę tą metodą wynosi 38,6 tys. dol., a czeski 39,9 dol. W roku 2025 dystans ma się jeszcze zwiększyć, bo Czechy będą mieć 45,4 tys. dol. na głowę, a Hiszpania 42,8 tys. W podobnej sytuacji są Włochy, które w tym roku również zostaną wyprzedzone przez Czechów, a w 2025 r. będą mieć 42,5 tys. dol. na głowę. Inne kraje Południa, takie jak Grecja czy Portugalia, już dawno zostały zdystansowane przez Europę Środkową.

My startowaliśmy ze znacznie gorszych niźli Czesi pozycji. Kiedy nasi południowi sąsiedzi mieli PKB na głowę w 2015 r. na poziomie 36,3 tys. dol., u nas było to 8,5 tys. mniej. W tym roku ta różnica ma wynieść 6,5 tys. Polska, w świetle analiz Międzynarodowego Funduszu Walutowego, rozwijała się w ostatnich latach znacznie szybciej niż inne kraje na podobnym etapie rozwoju. U nas PKB między rokiem 2015 a 2021 przyrósł, licząc na głowę mieszkańca, o 5,5 tys. dol., podczas gdy we Włoszech spadł o 500 dol., we Francji wzrósł o niecałe 400 dol., a w Hiszpanii o 1,2 tys. Przykład Francji jest zresztą bardzo pouczający. Państwo, które pretenduje do roli jednego z liderów w Unii Europejskiej, rozwija się w ostatnich latach słabo, jego PKB liczony na głowę między rokiem 2006 a 2021 przyrósł o 1,8 tys. dol., co już zostało zauważone i spotyka się z ocenami, że „Paryż gra powyżej swoich możliwości i potencjału".

ODRABIANIE STRAT

Oczywiście tego rodzaju wskaźniki nie oddają w pełni siły i możliwości państw, ale trend jest wyraźny – południe Europy, włączając w to Francję, słabnie, a nasz region zyskuje. Za tym musi pójść prędzej czy później wzrost politycznego znaczenia. Innymi słowy – stoimy w przeddzień fundamentalnych zmian w europejskim układzie sił.

Tym bardziej że oceny perspektyw polskiej gospodarki i państw środkowej Europy są lepsze niż pozostałych części Unii. Na tle pogarszających się nastrojów w związku z trwającą obecnie trzecią falą pandemii i opóźnionym programem szczepień, co oznacza, że wiele krajów już zmuszonych zostało do przedłużenia rygorystycznych ograniczeń, różnice między poszczególnymi krajami są uderzające. Komisja Europejska w swej ostatniej prognozie wzrostu ekonomicznego dla całej wspólnoty musiała znaczenie zredukować oczekiwania dotyczące tempa wychodzenie gospodarek państw członkowskich z recesji. Obecnie jest zdania, że w bieżącym roku uda się osiągnąć tempo wzrostu na poziomie 3,8 proc., podczas gdy jeszcze w listopadzie ubiegłego roku prognozy mówiły o 4,2 proc., a w lipcu nawet 6,1 proc.

eprasa.pl d4c85cccd8

Christine Lagarde, szefowa Europejskiego Banku Centralnego, powiedziała nawet mediom, że ostatnie ograniczenia związane z koronawirusem czynią coraz bardziej prawdopodobną hipotezę o dwucyfrowej recesji w niektórych krajach w 2020 r. A to oznacza, że wychodzenie z kryzysu, za symbol czego uznaje się uzyskanie poziomu PKB sprzed pandemii, zajmie nie rok, jak pierwotnie prognozowano, ale co najmniej dwa lata. Niektórym krajom, takim jak Włochy, Grecja czy Hiszpania, może się to udać dopiero w roku 2023. Prognozy Komisji Europejskiej mówią, że o ile polski PKB pod koniec 2022 r. będzie o ponad 5 proc. wyższy niźli przed kryzysem, o tyle w przypadku Włoch i Hiszpanii nadal będziemy mogli mówić o odrabianiu strat.

PODZIAŁ ŚRODKÓW POMOCOWYCH

Oczywiście o ile środki z funduszu odbudowy zostaną szybko uruchomione i prawidłowo skonsumowane. Już zresztą zaczął się o nie wewnątrzunijny przetarg i walka.

Liderzy państw bałtyckich wysłali w styczniu do Antónia Costy, premiera Portugalii, sprawującej przewodnictwo w Unii Europejskiej, wspólny list, w którym grożą zablokowaniem ratyfikacji programu pomocowego przez parlamenty krajowe, co jest warunkiem jego uruchomienia w skali całej wspólnoty, jeśli nie dostaną gwarancji, że wynegocjowane środki (1,4 mld euro) na budowę Rail Baltica, linii kolejowej łączącej stolice tych państw z Warszawą, nie zostaną zagwarantowane.

Środowiska ekologiczne nalegają na to, aby środki znajdujące się w tzw. instrumencie na rzecz odbudowy i zwiększania odporności (łącznie 675,5 mld euro), z których 37 proc. ma być wydatkowane na cele związane z polityką klimatyczną, były inaczej, niźli to przyjęła UE, alokowane. „Komisja wprowadza ekologiczne projekty zanieczyszczające, takie jak infrastruktura gazowa i drogi, i zapewnia im dostęp do funduszu naprawczego w wysokości 672 mld euro. Dzięki finansowaniu branż niszczących klimat ten plan naprawy jest ekologiczny tylko z nazwy" – powiedziała portalowi Euroactiv Ariadna Rodrigo, doradca Greenpeace ds. polityki europejskiej. Ekolodzy w tym wypadku krytykują dofinansowanie inwestycji w gazowe instalacje energetyczne, co Komisja Europejska uznała za dobry krok w polityce odchodzenia od spalania węgla kamiennego i na czym Polsce bardzo zależy.

Inni wreszcie chcą, aby przy okazji uruchomienia funduszy pomocowych gruntownie przebudować dotacje w ramach wspólnej polityki rolnej, tak aby nie trafiały one w większości, jak to jest obecnie, do najbogatszych farmerów, a dodatkowo wprowadzić restrykcyjne przepisy związane z warunkami pracy i wyzyskiem w rolnictwie.

> Trend jest wyraźny – południe Europy, włączając w to Francję, słabnie, a nasz region zyskuje. Innymi słowy – stoimy w przeddzień fundamentalnych zmian w europejskim układzie sił

PIENIĄDZE TAK, ALE POD WARUNKIEM

Komisja Europejska podkreśla ze swej strony, że uruchomienie funduszy pomocowych nie jest bezwarunkowe i związane będzie z przestrzeganiem zasad państwa prawa oraz ze złożeniem do końca kwietnia przez państwa członkowskie planów narodowych, które muszą zostać zatwierdzone. Równolegle muszą biec procesy ratyfikacyjne w parlamentach krajowych. Wszystko to oczywiście będzie za sobą pociągać napięcia, przy których polska dyskusja na temat funduszu odbudowy to kulturalna pogawędka. We Włoszech już na tle sporów o podział środków upadł rząd. Holandia, w której niedługo odbędą się wybory parlamentarne, rozpoczęła z Komisją Europejską dyskusję formalną, bo chcę aby dotacje, szczególnie przeznaczone dla bardzo zadłużonych krajów południa Europy, zanim zostaną uruchomione, były ściślej nadzorowane. W styczniu Bruksela zażądała od Węgier reformy systemu zamówień publicznych, argumentując, że obecnie „zasady wolnej konkurencji nie funkcjonują tam należycie", co – przekładając na ludzki język – oznacza, że pleni się korupcja, układy i kolesiostwo. Jeśli zmiany nie nastąpią, to Węgry mogą zostać wyłączone z puli pomocowej.

Paradoksalnie ingerencja Unii w tym wypadku jest zarówno dobrą, jak i złą wiadomością. Niepokój budzi sam dość arbitralny tryb oceny, który ułatwia podejmowanie politycznie motywowanych kroków, jak i stosowanie podwójnych standardów. Z drugiej strony jeśli Bruksela ograniczałaby swe ingerencje do obszarów związanych z korupcją i transparentnością dostępu do funduszy, to oznaczałoby to, że porozumienie – o które zabiegała m.in. Polska, a dotyczące rozumienia praworządności – działa.

Obiegowym, ale prawdziwym poglądem jest teza, że pandemia zmieni nasze życie. Dobrze widać to na przykładzie Unii Europejskiej i państw członkowskich. Jeśli program pomocowy ruszy, to zważywszy na jego rozmiar, będzie on niesłychanie silnym bodźcem rozwojowym. Mniej zadłużone państwa, w tym Polska, skorzystają na nim w większym stopniu niż inni. Mamy szansę w perspektywie kilku lat dogonić pod względem poziomu życia państwa bogatszego Zachodu. Może nie wszystkie, wobec Niemiec dystans nadal będzie spory, ale znakomicie mniejszy niźli jeszcze kilkanaście lat temu. Oczywiście nie ma darmowych obiadów, ryzyko jest oczywiste. Ale czy z tych powodów Polska ma nie podjąć gry, w której stawką jest realizacja marzeń całego pokolenia, które od odzyskania niepodległości w niesłychanym znoju odbudowywało własną pomyślność i siłę państwa?

eprasa.pl d4c85cccd8



Autobusy gazowe odpowiedzią na problemy smogowe polskich miast

Smog, szczególnie w okresie grzewczym, to duży problem dla mieszkańców większości polskich miast. Jednym z jego głównych składników są pyły zawieszone PM, których źródłem są nie tylko domowe piece, lecz również transport miejski oparty w Polsce głównie na oleju napędowym. Miejscy przewoźnicy, dostosowując się do nowych norm i wytycznych stawianych przez Unię Europejską, inwestują coraz częściej we flotę autobusów gazowych, które nie tylko są tańsze w eksploatacji, lecz przede wszystkim są ekologiczne i spełniają wyśrubowane europejskie normy

E JAK EKOLOGIA

Dlaczego autobusy gazowe są obecnie jednym z filarów transportu niskoemisyjnego w Polsce? Ponieważ gaz to alternatywne dla oleju napędowego, tanie i niskoemisyjne rozwiązanie, wynikające przede wszystkim z eliminacji emisji szkodliwych pyłów PM2,5 oraz PM10. Ponadto wg ekspertów Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych autobus na CNG wytwarza nawet o 80–90 proc. mniej szkodliwych dla naszego zdrowia substancji niż autobus na olej napędowy.

– Różnice są bardzo widoczne. Autobusy napędzane gazem CNG nie tylko emitują o ok. 15–20 proc. mniej dwutlenku węgla względem napędów diesla, ale przede wszystkim o 80 proc. mniej tlenków azotu i aż do 99 proc. mniej substancji najbardziej szkodliwych dla ludzi, w tym rakotwórczych pyłów PM10, kluczowego składnika smogu – mówi Henryk Mucha, prezes PGNiG Obrót Detaliczny. – Oferujemy paliwo nie tylko korzystne cenowo, lecz również ekologiczne. Aspekty te są kluczowe dla przedsiębiorstw komunikacyjnych oraz komunalnych, które z jednej strony muszą spełniać coraz wyższe europejskie normy ograniczania zanieczyszczeń, z drugiej zaś dbać o efektywność kosztową prowadzonej działalności – wylicza prezes spółki.

Te twarde wyliczenia nie pozostawiają wątpliwości – optymalnym wyborem dla polskich przewoźników są ekologiczne paliwa, takie jak gaz CNG i LNG. W ustawie o elektromobilności i paliwach alternatywnych paliwa gazowe traktowane są jako niskoemisyjne rozwiązanie, mogące się przyczynić do zrównoważonej ewolucji polskiego transportu publicznego. Znajduje to również potwierdzenie na poziomie unijnym, gdyż obowiązująca Dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2019/1161 z dnia 20 czerwca 2019 r. uznaje autobusy gazowe za ekologicznie i energooszczędne pojazdy.

E JAK EKONOMIA

Na rynku dostępne są trzy rodzaje autobusów umożliwiających zdecydowaną eliminację szkodliwych emisji: gazowe, elektryczne i wodorowe. Dwa pierwsze w zasadzie zdominowały rynek nowo kupowanych autobusów, jednak biorąc pod uwagę względy ekonomiczne, zdecydowanym zwycięzcą są autobusy gazowe – mimo że dotychczasowe rządowe programy dofinansowań premiowały pojazdy elektryczne. Powód tej przewagi gazowców jest prosty – koszt takiego pojazdu waha się w przedziale 1–1,2 mln zł. Autobus elektryczny jest droższy nawet dwukrotnie – jego ceny oscylują w przedziale 2–2,5 mln zł.

Dla każdego samorządowca kalkulującego coroczny budżet tego typu wydatki odgrywają olbrzymią rolę. Zwłaszcza że zakup autobusu miejskiego w Polsce to, w zależności od wielkości miasta i natężenia ruchu, perspektywa jego średniego użytkowania 10–20 lat. W przypadku autobusów elektrycznych ta perspektywa jest kluczowa, ponieważ obecnie stosowane technologie zakładają wymianę baterii po kilku latach. Koszt takiej operacji, w zależności od typu i pojemności baterii, to kilkaset tys. zł. Średni dystans przejeżdżany dziennie przez autobus komunikacji miejskiej w Polsce wynosi ok. 300–350 km, podczas gdy realne zasięgi pojazdów elektrycznych, w zależności od producenta, to 120–230 km. Dla porównania, autobusy gazowe są w stanie przejechać do

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 57/0221/F

eprasa.pl d4c85cccd8

400 km na jednym tankowaniu. Samorząd, by obsłużyć tę samą liczbę tras, musiałby zakupić ok. 50 proc. autobusów elektrycznych więcej.

– Byliśmy jednymi z pionierów wykorzystania autobusów gazowych w Polsce, gdyż pierwsze pojazdy na CNG pojawiły się w naszej flocie już w 2003 r. Wybraliśmy gazowce, ponieważ szukaliśmy niskoemisyjnej i ekonomicznie opłacalnej alternatywy dla diesla. Autobusy CNG wyprzedziły tradycyjne konstrukcje pod względem czystości spalin, zwłaszcza w zakresie znacznej redukcji emisji cząstek stałych PM10 i PM2,5. Równocześnie ich cena jest znacznie niższa niż autobusów elektrycznych, a porównanie kosztów bieżącej eksploatacji pojazdów CNG z autobusami elektrycznymi, które również użytkujemy, wypada na korzyść gazowców – podkreśla Marek Filip, prezes MPK Rzeszów. – Obecnie w naszym posiadaniu są 102 autobusy zasilane CNG, które stanowią 45 proc. całej floty, jednak już niebawem ten wskaźnik wzrośnie do 54 proc. ze względu na zakup nowych pojazdów. Długofalowo będziemy oczywiście dążyć do transportu zeroemisyjnego, jednak w tym momencie uważamy, że autobusy gazowe to optymalne rozwiązanie dla naszej floty – dodaje.

Wg danych przewoźników koszt przejechania 1 km – przy założeniu, że w całym okresie użytkowania autobus pokona dystans 800 tys. km – w przypadku autobusu gazowego wynosi 4,92 zł/km, a w przypadku elektrycznego aż 8,31 zł/km. To niemal 69 proc. więcej! Analizy wskazują również, że koszt eksploatacji autobusu elektrycznego, obejmujący m.in. koszty serwisu i paliwa, jest blisko dwukrotnie wyższy niż w przypadku pojazdu na gaz ziemny.

W segmencie autobusów ekologicznych prawie co drugi sprzedawany w Polsce w 2020 r. egzemplarz był zasilany paliwem CNG. W 2020 r. na ulice polskich miast wyjechało 165 autobusów gazowych, a ich łączna liczba wynosi ponad 800 w skali kraju. W ostatnich latach na wykorzystanie CNG w transporcie publicznym postawiły m.in. Warszawa, Rzeszów, Tarnów, Tychy czy Bielsko-Biała.

EUROPA TEŻ INWESTUJE W GAZOMOBILNOŚĆ

Obecnie w Polsce energia wykorzystywana do ładowania autobusów elektrycznych pochodzi przede wszystkim ze spalania węgla. Zanim zaczniemy na szeroką skalę pozyskiwać ją z zielonych źródeł, optymalnym wyborem na ten okres przejściowy są niskoemisyjne paliwa, takie jak gaz CNG i LNG. Do tych wniosków doszły także inne kraje.

– Oparcie komunalnej floty na paliwie CNG to kierunek nie tylko Polski, lecz trend międzynarodowy, europejski. W Madrycie autobusy na CNG stanowią obecnie 50 proc. całej floty. W Brukseli od 2015 r. w miejsce autobusów z silnikami Diesla zamawiane są pojazdy z napędem CNG – podkreśla Marcin Szczudło, wiceprezes PGNiG Obrót Detaliczny, odpowiedzialny za obszar CNG/LNG. – W tym aspekcie należy podkreślić także pozytywną rolę polskich samorządów, które dzięki inwestycjom we flotę napędzaną paliwem CNG stawiają nas w europejskiej czołówce. W 2019 r. autobusy na CNG stanowiły duży odsetek wszystkich kupowanych pojazdów: w Szwecji było to ponad 45 proc., w Hiszpanii ok. 40 proc., we Francji 30 proc., a we Włoszech ponad 20 proc. Polska z wynikiem niemal 20 proc. była pod tym względem na piątym miejscu w Europie – dodaje.

Bruksela stawia również na śmieciarki napędzane gazem ziemnym, które emitują nawet trzykrotnie niższy hałas niż diesel, dzięki czemu mogą być użytkowane nocą. W Oslo autobusy na biogaz są kluczowym elementem modernizacji taboru w drodze do transportu bezemisyjnego. W szwedzkim Malmö dominują autobusy CNG (w tym na sprężony biometan CBG). Podobnie w Czechach, gdzie autobusy CNG jeżdżą po ulicach Brna (100 pojazdów, czyli 1/3 całej floty) i Ostrawy (105 pojazdów). Poczta czeska całkowicie przestawia się na pojazdy napędzane gazem ziemnym – flota liczy tam 1 tys. takich pojazdów.

Popularność pojazdów gazowych w Europie związana jest z rozbudowywaną infrastrukturą tankowania. Obecnie na Starym Kontynencie działa ponad 3,9 tys. stacji CNG i 360 LNG – liderami są Włochy, gdzie jest ich 1392, czy Niemcy – 841 stacji. Polska ma w tym obszarze sporo do nadrobienia. W naszym kraju działa obecnie niewiele ponad 20 stacji tankowania, jednak ze względu na wymogi ustawy o elektromobilności i paliwach alternatywnych do końca tego roku zostaną zbudowane 23 kolejne. Co ważne, ich liczba będzie stale rosnąć, ponieważ paliwa gazowe są uwzględnione w Europejskim Zielonym Ładzie, powszechnie znanym jako European Green Deal.

Eksperci są zgodni, że przyszłość transportu będzie należała do napędów opartych na energii z OZE oraz wodorowych. Skala wyzwania jest jednak ogromna. Moc jednej ładowarki dla autobusu elektrycznego wystarczyłaby do zasilenia 75 gospodarstw domowych. To oznacza, że zaledwie 100 autobusów miejskich wymaga dostarczenia energii elektrycznej równej zapotrzebowaniu aż 7,5 tys. gospodarstw domowych! Tylko po Warszawie jeździ ok. 1,4 tys. autobusów. Szybki wzrost liczby autobusów elektrycznych oznaczałby gigantyczne obciążenie dla całego systemu przesyłowego.

WALKA O POLSKĄ GOSPODARKĘ

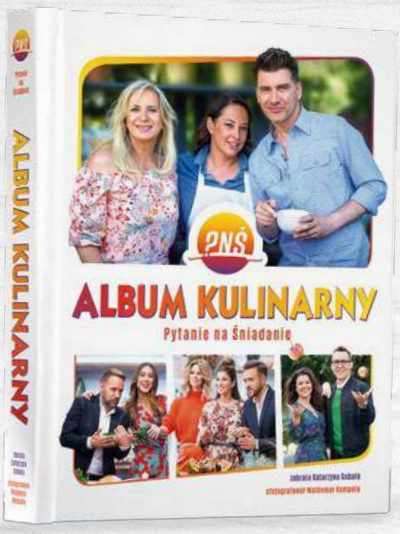
Zakup autobusów gazowych przez samorządy ma także wymiar dbałości o rozwój polskich przedsiębiorstw. Jednym z nich jest Autosan, który dzięki pomocy polskiego rządu otrzymał niepowtarzalną szansę odbudowy upadających zakładów. Firma z Sanoka tylko w 2020 r. sprzedała 60 nowych autobusów gazowych, co stanowi ponad 80 proc. całkowitej sprzedaży! W 2020 r. Autosan wygrał też prestiżowy przetarg na dostawę 90 autobusów napędzanych gazem LNG dla Warszawy.

Polscy przewoźnicy nie bez przyczyny w ostatnich latach coraz częściej decydują się na zakup autobusów gazowych zamiast pojazdów na olej napędowy. Wpływają na to zarówno czynniki ekonomiczne, ekologiczne, a także regulacyjne – m.in. dzięki odważnym decyzjom polskiego rządu, takim jak uwzględnienie pojazdów gazowych w ustawie o elektromobilności i paliwach alternatywnych czy ustanowienie zerowej stawki akcyzowej na sprężony gaz ziemny CNG i skroplony gaz ziemny LNG służący do celów napędowych.

eprasa.pl d4c85cccd8

TOMASZ KAMMEL*

Delikates babci Pauliny



Niełatwo namówić go na rozmowę o kuchni i jedzeniu. Udało się to Katarzynie Gubale, autorce „Albumu kulinarnego »Pytania na śniadanie«" – wydawnictwa szczególnego. Z jednej strony przewodnika, przez który prowadzą swoimi przepisami, związani z programem, przesympatyczni kucharze: Jolanta Naklicka-Kleser, Celina Statkiewicz, bracia Jakub i Michał Budnikowie, Tomasz Królikowski, Joseph Seeletso i Jakub Steuermark. Przede wszystkim jednak opatrzonego świetnymi zdjęciami autorstwa Waldemara Kompały zbioru pogawędek z prowadzącymi program. Rozmów, które w sympatycznej atmosferze, jaką co dzień budują twórcy porannego programu, odsłaniają różne wymiary kuchni. Tej telewizyjnej – zarówno technicznej, dzięki której powstaje nagranie, jak i tej, za której sprawą nawet przez ekran telewizora widzowie czują zapachy smakowitych, przygotowywanych na wizji dań – lecz również tej wyłaniającej się ze wspomnień i prywatnych doświadczeń rozmówców.

Przepytywany w takich okolicznościach Tomasz Kammel zdradza m.in., że wyjątkowym doświadczeniem degustacyjnym na planie „Pytania na śniadanie" okazał się dla niego smak... chleba. Dodajmy, chleba czerstwego, który jednak po „zregenerowaniu" przez Jolantę Kleser „znów był miękki, miał chrupiącą skórkę i smakował lepiej niż świeży z piekarni". Dziennikarz przyznaje też, że uwielbia pastę z awokado, którą przygotowuje pani Jola.

Z kolei Kuba Steuermark serwuje jego zdaniem „cuda z owoców morza, a warzyw używa w sposób nieoczywisty". Popisowy numer kucharza to sałata zgrillowana na chrupko i aromatycznie. Dla prezentera, który wiele miesięcy temu odstawił mięso, dania z warzyw i owoców przygotowywane w „Pytaniu" stały się „inspiracją i ucieczką od kulinarnej nudy".

Pytany o najprzyjemniejszy smak z dzieciństwa, przywołuje ziemniaczane talarki babci Pauliny. Krojone w plastry, podgotowane ziemniaki, trafiały na patelnię z odrobiną masła. Podsmażane z solą i pieprzem zyskiwały smak, którego – jak zapewnia – się nie zapomina.

Kolejne fenomenalne (w smaku i prostocie wykonania) danie z przeszłości to pajdy czerstwego chleba natartego czosnkiem. Trzeba je było tylko „odrobinę przeciągnąć na oleju", a potem wystarczyło kilka chwil i „delikates był gotowy". – Do dziś nazywam to cieplicką bruschettą à la babcia Paulina – pointuje Tomasz Kammel.

Przyznaje, że w kuchni najlepiej czuje się jako gość, a ponieważ „z natury jest poszukiwaczem dobrych smaków", idealnymi kompanami w tej podróży okazali się dla niego kucharze „Pytania". Dzięki nim nie brakuje mu kulinarnych odkryć, które gwarantują wyrzut endorfin, a tych nigdy za wiele.

Jest jednak coś jeszcze, co sprawia, że potrawy smakują mu lepiej i pełniej. – Dobrze przyrządzonego dania nie powinno się po prostu jeść – podkreśla. – Należy je pokontemplować i pocelebrować.

Jolanta Gajda-Zadworna
** dziennikarz, prezenter, jeden z prowadzących „Pytanie na śniadanie"*

Hiszpańskie grzanki
(przepis pochodzi z „Albumu kulinarnego »Pytania na śniadanie«")



Składniki: Bagietka, oliwa, 2 duże malinowe pomidory, sól i pieprz do smaku, kilka listków bazylii.

Wykonanie: Bagietkę kroimy na pół. Wstawiamy do piekarnika nagrzanego do 200 stopni na kilka minut, aby się lekko zarumieniła. Pomidory ścieramy na tarce o grubych oczkach. Bagietkę obficie polewamy oliwą, nakładamy pomidory. Doprawiamy solą i pieprzem. Podajemy z posiekanymi listkami bazylii.

Jola Naklicka-Kleser

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d4c85cccd8

SŁODKO-SŁONY

Warzywa w kieszeni

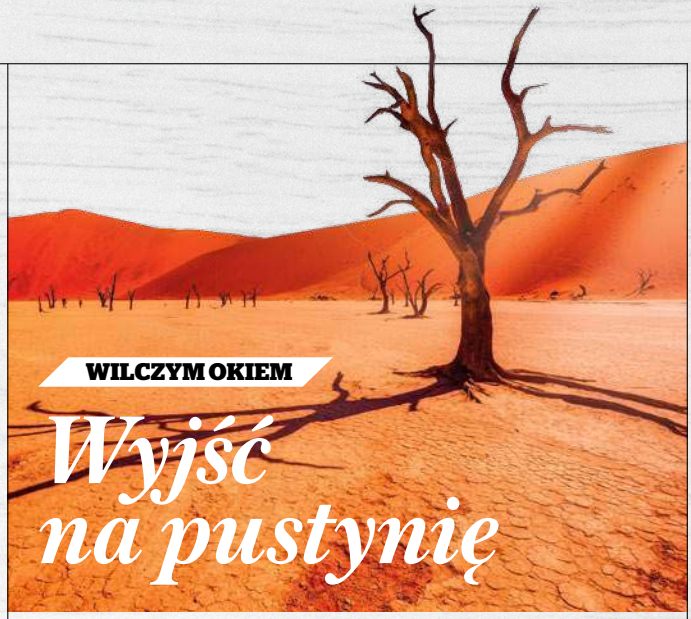
ANNA MONICKA

„Aniu, masz ochotę na falafel?". Zostałam kiedyś zaproszona przez przyjaciół rodziny na wakacje do Izraela, a ich syn, weteran wojny Jom Kippur (był zdolnym studentem literatury, na froncie zwariował), wyciągał mnie codziennie na wieczorne spacery po przedmieściach Tel Awiwu. A to na lody, a to na świeżo wyciskany sok z najlepszych pomarańczy, jakie jadłam, to znów na arabskie ciasteczka z pistacjami i falafel. To pachnące kminem kotleciki z ciecierzycy, od których wzięła nazwę cała kanapka. Jakub je uwielbiał, a jedzenie go uspokajało. Ponieważ uznał, że jestem za chuda, postanowił mnie podtuczyć lokalnymi frykasami. I udało mu się, bo wszystko smakowało tak doskonale, że trudno było się oprzeć. Myszkowaliśmy więc między straganami, a dobieranie smaków i pakowanie do kanapki różnych warzyw było najlepszą zabawą. Dlaczego pakowanie? Bo chlebek pita w czasie pieczenia rośnie w taki sposób, że wewnątrz placka tworzy się spora kieszeń, do której mieściły się i kotleciki, i hummus, i oliwki, i kiszone długie papryczki, i mnóstwo innych dodatków. Na straganach stało zazwyczaj kilkadziesiąt miseczek pełnych poszatkowanych warzyw. Pachniało to wszystko obłędnie.



Nie skończyłam jeszcze wtedy studiów, minęło więc od tamtych czasów dobrze ponad 20 lat, Jakub – ofiara stresu bojowego – zmarł na atak serca, ale tamte smaki i zapachy, rozgrzane i dojrzałe od słońca, są wciąż ze mną. Ostatnio przypomniały mi się, gdy zobaczyłam w sklepie chlebki pita – wystarczy je skropić wodą i podpiec, by napęczniały. Arabski street food, który kiedyś podbił moje serce, okazał się i teraz dobrym pomysłem. Wystarczy pokombinować i dobrze połączyć smaki. Hummus w domu zrobić łatwo, trzeba tylko zmiksować ugotowaną ciecierzycę z pastą tahini, czosnkiem, solą, odrobiną oliwy i lodowatej wody. Kotleciki – kiedyś niedostępne – teraz są nawet w sieciówkach, i to z dobrym składem. Kiszonki to nasza specjalność, więc są i ogórki, i brukselki, i rzepa, i kapusta, nawet cebula i czosnek. Do tego sałata, rzodkiewki, szczypior. Córka oczywiście podeszła do sprawy nieufnie, ale kiedy wbiła zęby, zaniemówiła. Wkrótce pojawiła się po jeszcze, a teraz od kilku dni domaga się falafela nawet na obiad, tyle że z kawałkiem soczystego pieczonego mięsa.

Fot. Shutterstock, archiwum autorki



WILCZYM OKIEM

Wyjść na pustynię

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W pierwszą niedzielę Wielkiego Postu w Ewangelii św. Marka czytaliśmy o kuszeniu Jezusa: „Zaraz też Duch wyprowadził go na pustynię. A przebywał na pustyni czterdzieści dni, kuszony przez szatana, i był ze zwierzętami, aniołowie zaś Mu służyli".

Rozważając wszelkie treści zawarte w powyższym fragmencie Pisma Świętego, zwróćmy uwagę na słowa: „A przebywał na pustyni czterdzieści dni [...] i był ze zwierzętami [...]". Wątek przyrodniczy tak często pojawia się w Biblii, że choć bywa drugim planem lub służy do zobrazowania przypowieści, po prostu musi być ważny. W tym przypadku jest taki niewątpliwie, po cóż by podkreślać bowiem nie tylko samo miejsce odosobnienia Jezusa – pustynię, lecz także obecność zwierząt, towarzyszących Zbawicielowi?

Pustynia jest środowiskiem niezmiernie ciekawym i wbrew swojej nazwie pełnym życia. Życia objawiającego się w inny sposób, nie wszechobecną obfitością kwiatów i zielonej roślinności – choć i takie aspekty pustyni zdarza się obserwować. Jeśli chodzi o życie roślinne, są to nasiona i inne formy przetrwalnikowe, czekające na opad, zdarzający się raz do roku lub raz na kilka lat, by wyrosnąć, zakwitnąć, wydać owoce – i znowu czekać w uśpieniu. Co poniektóre rośliny potrafią wegetować na powierzchni, na wszelkie sposoby zabezpieczając się przed utratą wody i słońcem.

Zwierzęta, o których mowa w Ewangelii, również są na pustyni obecne. Aktywność większości z nich ograniczona jest do chłodnych godzin nocnych. Piasek i pył pustyni, utrwalony lekkim tchnieniem nocnej wilgoci, zachowuje o poranku odciski łapek myszkujących gryzoni, mnogości żerujących stepówek, kuropatw, żwirowców i hubar oraz szukających łupu drapieżników. Niedługo po ustąpieniu nocy wiatr i słońce rozwiewają ślady, a miejsce nocnych stworzeń zastępują cykady, szarańczaki, ścigające je jaszczurki i ptaki drapieżne – orły i sępy różnych gatunków, zataczające koła na wznoszących się ciepłych kominach powietrznych.

Wyjście na pustynię i przebywanie na niej zawsze wzbogacało w wymiarze duchowym. Z punktu widzenia przyrodniczego pustynia również nie jest pustką ani nicością, a dotarcie do ukrytego na niej życia – choć wymaga świadomego wysiłku – jest możliwe.

eprasa.pl d4c85cccd8



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Cyfrowa reinkarnacja komisarzy cenzury

W dobie nieopanowanego zachłyśnięcia cyfrową techniką uderzyła w nas jak piorun globalna cenzura. Ma zadziwiający posowiecki posmak i niewiele różni się od tej, która niemal przez pół wieku trzymała na postronku myśli i słowa w całym postsowieckim bloku.

O tamtej starej chętnie i z prawdziwą ulgą zapomnieliśmy. Ale jest już cenzura nowa. Może być zwiastunem mrocznej przyszłości. Jakiegoś świata, który znów zechce narzucać i wpajać nam własne idee. Tak by nikt nie był zdolny do żadnych rebelii, buntów czy kontestacji panującej władzy. Zechce dowodzić wszelkimi kanałami informacji, że jej ideologia jest wyjątkowa i umożliwia uzyskanie i zrozumienie prawdziwego obrazu świata. Z tego powodu przedstawiana będzie jako nauka uniwersalna i jedynie prawdziwa. Tak jak to było wtedy, gdy komunistyczna partia i państwo miały monopol na wiedzę, a więc i prawdę. A nad ich prawdą czuwał system cenzorów.

Kim był ów zapomniany cenzor? Czy ten najnowszy, który dopiero się objawia, jest od niego inny? Dawny, choć oficjalnie nie istniał, występował w roli swoistego nadzorcy, weryfikatora, „doradcy" czy wręcz szantażysty. Zawsze był dyskretny i anonimowy, pracował pod pseudonimami. Każdego roku otrzymywał nowy. Cenzorzy uczestniczyli w kampaniach zniesławiania, ośmieszania i pomówień. Instrukcje skierowane do cenzorów opatrywano zastrzeżeniem w rodzaju: „Niniejszy zapis przeznaczony jest wyłącznie do wiadomości cenzorów. Przy ewentualnych wykroczeniach nie wolno się na niego powoływać ani ujawniać jego istnienia".

HARMONIJNY SYSTEM KONTROLI

Zadaniem dawnych cenzorów było śledzenie mądrości dziejowego etapu rozwoju historycznych procesów na łamach wszelkich publikatorów. Szkolenia cenzorów i nieustanna współpraca z najściślejszym aparatem partyjnym dawały gwarancję ich prawidłowej służby systemowi. Dlatego też do podstawowych zadań i funkcji cenzury należało określanie dozwolonych ujęć poszczególnych tematów, rygorystyczny zakaz podejmowania określonych tematów, ustalanie hierarchii ważności poszczególnych fragmentów przekazu. Jednakże główny i zasadniczy cel pracy cenzorów leżał w legitymizacji przejęcia władzy, wprowadzonej w kraju na sowieckich czołgach. Chodziło o złożony i wielostopniowy system kontroli zmierzający do kreowania obrazu rzeczywistości zgodnego z założeniami ideologicznymi i strategią polityczną rządzących.

Wtedy główną tezą, wdrażaną w obieg publiczny, była wizja harmonijnej relacji pomiędzy władzą a społeczeństwem. Konstruowano więc obraz idealnie funkcjonującej władzy, perfekcyjnie działających instytucji publicznych. Funkcjonariuszy czuwających nad trwaniem optymistycznej codzienności i zadowolonych obywateli. Jednocześnie z żelazną konsekwencją eliminowano wszelkie informacje mogące w najmniejszym stopniu podważać wszechobecną wizję szczęśliwego społeczeństwa i harmonii jego współżycia. Czy czegoś nam to nie przypomina?

Zacieranie śladów pracy cenzorów jednak wcale nie miało ich chronić. Chodziło przede wszystkim o zakrycie przed czytelnikiem tego, jak mały jest zakres wolności słowa i swobód twórczych. Cenzor miał obowiązek utożsamiania się z autorem książki, filmu,

eprasa.pl d4c85cccd8

artykułu, naukowej dysertacji, ale czytelnik nigdy nie dowiadywał się o drugim autorze cieniu. Duchu czuwającym nad oryginalnym tekstem.

Cenzorzy często swoje zadania cedowali na inne instytucje i urzędy. Pracowali i wykonywali swoją pracę rękami innych. Po wojnie w latach 40. pracę przeglądania i brakowania szkodliwych ideologicznie zbiorów przeprowadzano tak, by nie kojarzyła się z pracą organów cenzury. W późniejszym okresie, gdy zatrzymywano publikacje sprowadzane z zagranicy, poszkodowanych odsyłano do urzędów celnych, codzienną pracę związaną ze sprawdzaniem tekstów przeznaczonych do publikacji prasowych prowadzano zaś tak, by ich cenzura odbywała się na etapie redakcyjnym. Wtedy cenzora zastępowali pracownicy wydawnictw i redakcji. Na biurko cenzora trafiały więc teksty wyczyszczone czasem w stopniu wyższym, niż byłby to w stanie wykonać zawodowy cenzor.

CENZURA CZUWA

Niezawodna była za to kontrola wewnętrzna cenzury od 1949 r. Departament Instruktażu i Kontroli publikował dla celów wewnętrznych i szkoleniowych dwa poufne biuletyny. W jednym były przeoczenia cenzorów, w drugim ingerencje zbędne. Okazywało się, że przez cały okres panowania systemu najważniejsza w służbie towarzysza cenzora była wiedza polityczna, jego znajomość linii politycznej partii, pomagająca wytropić nieprzychylne czy ośmieszające najmniejsze aluzje wobec władzy. Jak wielkie znaczenie miała cenzura i cenzorzy, świadczy to, że Główny Urząd Kontroli Prasy Publikacji i Wydawnictw oraz jego urzędnicy byli pracownikami urzędu centralnego na równi z innymi ministerstwami.

Jeśli cenzorzy byli czasem zawodni, to Służba Bezpieczeństwa miała w wydawnictwach swoich współpracowników, zwanych konsultantami. Osadzanie w redakcjach pism i wydawnictw tajnych pracowników (współpracowników) było kluczowe w sytuacjach szczególnych politycznych zawirowań. Jak słusznie zauważył prof. Sławomir Cenckiewicz: „Cenzura nie zawsze potrafiła wykryć jakieś nie dość wierne ideologicznie myśli czy uczucia, a TW – kolega czy koleżanka redakcyjna, dzięki kontaktom towarzyskim, docierał dużo głębiej i wcześniej do »ofiary« ewentualnych wątpliwości".

Konsultanci oceniali maszynopisy powieści autorów objętych szczególnym nadzorem lub próbowali ustalić tożsamość autorów drukujących pod pseudonimami. Konsultantem często był cenzor na oficjalnym etacie wydawnictwa. Każdy cenzor miał pseudonim składający się z litery i jednej lub dwóch cyfr. Pseudonimy raz w roku były zmieniane i umieszczane w stopkach redakcyjnych gazet i periodyków. Cenzorzy przeglądali teksty na różne sposoby, zwłaszcza gdy chodziło o poezję, która dawała znaczne możliwości kodowania i ukrywania różnych przekazów. Cenzor Janusz Marciniak wspominał, że dostał dużą nagrodę za wyłapanie ukrytej treści w wierszu Tomasza Gluzińskiego. Wiersz nie zawierał żadnych wywrotowych treści, jednak pierwsze litery każdego z kolejnych wersów tworzyły napis „uwaga cenzura" lub „cenzura czuwa".

> Jak wielkie znaczenie miała cenzura i cenzorzy, świadczy to, że Główny Urząd Kontroli Prasy Publikacji i Wydawnictw oraz jego urzędnicy byli pracownikami urzędu centralnego na równi z innymi ministerstwami

Pewnie już nie pamiętamy, że książki i wydawnictwa nieperiodyczne podlegały kontroli czterokrotnie, periodyki trzykrotnie. Szczególna odpowiedzialność ciążyła na cenzorach wydawnictw książkowych. Decydowali oni o losach książek i karierach wielu autorów. Zanim jednak materiał tekstowy do nich docierał, wcześniej był filtrowany przez nieformalne sito cenzorskie. Praktycznie funkcję cenzora w wydawnictwie pełnili także recenzent zewnętrzny i recenzent ideologiczny. Nieformalnymi cenzorami byli kierownicy redakcji wydawnictwa i ich redaktorzy naczelni. Na każdym etapie autor książki był narażony na rozmowy sugerujące usunięcia lub zmiany fragmentów ze względu na obowiązującą cenzurę i zatrzymanie publikacji, zanim dotarła do cenzora. Odrzucaniem składanych publikacji asekurowali się zwłaszcza redaktorzy naczelni wydawnictw, obawiając się zarzutu niskich kwalifikacji politycznych i załamania własnej kariery.

CYFROWE SPOŁECZEŃSTWO PRZEDSZKOLAKÓW

W okresie schyłkowym PRL, w 1988 r., gdy Jerzy Bafia, były minister sprawiedliwości, profesor zwyczajny nauk prawnych, przedstawił cenzorów i ich pracę jako instytucje społecznego zaufania, a urząd cenzury jako instytucję gwarantującą swobodę wolnego słowa, urząd zmienił się ostatecznie we własną parodię.

Pisarz Jan Józef Szczepański, oceniając swoje zmagania z cenzurą, stawiał pytanie, kim jest, a raczej kim był cenzor? Czy tylko oportunistą i głupcem? Dlaczego decyduje się na pracę będącą antytwórczością. I odpowiadał: „Zapewne trafiają się przypadki, że powodują nim względy ideowe. Są to jednak, jak sądzę, przypadki niezmiernie rzadkie. Co pozostaje? Potrzeba zarobienia na życie bez nadmiernego angażowania własnej pomysłowości i inicjatywy. Czyli jednak umysłowa i moralna niedojrzałość. Cecha niezbędna w totalitaryzmach, ustrojach dążących do władania społeczeństwami przedszkolaków".

Takie społeczeństwo przedszkolaków przywołane przez Jana Józefa Szczepańskiego rośnie dziś na naszych oczach. I to na skalę globalną. Coraz bardziej daje o sobie znać w epoce Facebooka i Google'a. A sowieccy wielojęzyczni komisarze cenzury reinkarnują się w korporacjach cyfrowych gigantów.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl d4c85cccd8

Oddajmy medycynę lekarzom i pacjentom



W dawnych czasach, czyli jeszcze rok temu, medycyna polegała na tym, że ten, kto czuł się źle, spotykał lekarza, który go badał, stawiał diagnozę i decydował o formie leczenia. Celem obu było wyleczenie. To było etyczne, racjonalne i skuteczne.

Od roku medycynę odebrano lekarzom, a cel wydaje się inny. Choroby nie stwierdza już lekarz, ale test, czyli system. Od roku form leczenia nie ustala lekarz, ale światowa narracja. Od roku nie dobro pacjenta jest najważniejsze, ale posłuszeństwo doktrynerskim nakazom, których symbolem są stojące przed szpitalami w kolejkach karetki pogotowia.

Od roku władzę nad medycyną przejęli teoretycy, doktrynerzy, planiści, ideolodzy, matematycy i eksperci hojnie sponsorowani przez farmaceutyczne koncerny. A większość polityków i mediów uznała, że Wielka Ogólnoświatowa Koordynacja jest jedynym i nieomylnym źródłem wiedzy o samopoczuciu miliardów ludzi, o relacji między lekarzem i pacjentem. Już nie lekarz i pacjent ustalają obecność czy postęp choroby oraz metody pozbycia się jej, ale jakiś Wielki Brat, który surowo nakazuje zapomnieć o oczywistych od tysięcy lat podstawach medycyny i ślepo wykonywać rozkazy centrali. Słusznie epidemiolog dr Zbigniew Hałat nazywa to maoistowską „rewolucją kulturalną" w ochronie zdrowia.

Przez ten nieszczęsny rok dziwnych pomyłek i zdumiewających błędów lekarzom i pacjentom odebrane zostały trzy podstawy medycyny: diagnoza, dobro chorego i odpowiedzialność lekarza, by o to dobro walczyć. Zamiast tego – pod dyktatem czarnoksięskiej, zabobonnej „nadwiedzy" wynikającej z „matematycznego modelowania" cwaniaczków, którzy nigdy na oczy pacjenta nie wiedzieli, oraz opłacanych przez koncerny oportunistów, którzy nagle stali się gwiazdami – stosujemy doktrynerskie mechanizmy, które są wielokrotnie bardziej szkodliwe niż epidemia, którą mają zwalczać.

W efekcie ów rok „pandemii" był czasem wielkiego chaosu i wielkiego zniszczenia. Po roku nadal, jak w marcu 2020 r., piszę to nieszczęsne słowo w cudzysłowie, bo – po tysiącach informacji, jakie w ciągu tego roku otrzymaliśmy – uważam je za cywilizacyjną, polityczną i medialną manipulację. Epidemia – tak. Wirus, który ją powoduje, jest niebezpieczny, przynosi ofiary, także ja mam znajomych, którzy ciężko go przeszli. Ale już ile osób istotnie zmarło z powodu choroby COVID-19, a ile z powodu zablokowania ochrony zdrowia – nie wiem. Bo oficjalnym statystykom nie wierzę. Są, moim zdaniem, fałszowane na wielu poziomach i międzynarodowo. Zapewne nie zawsze i nie wszędzie z intencją fałszerstwa, ale zawsze z efektem wypaczania obrazu rzeczywistości pod zamówioną narrację i dystrybucję konfitur, potęgowania strachu i umożliwiania cywilizacyjnych restrykcji, które niszczą wolność, prawa obywatelskie, międzyludzkie relacje. Niszczą ekonomiczną niezależność setek milionów, ich nadzieje, a często i sens życia, niszczą demokrację i wreszcie – niszczą moralność. Deprawują.

Mimo zaszczepienia niemal całej polskiej ochrony zdrowia sporo lekarzy upiera się przy kontynuowaniu groteskowych teleporad. Nie wierzą w skuteczność szczepionki czy wygodniej im „leczyć", jak Kaszpirowski, na odległość?

Zerwaniu ulega więź pacjenta z lekarzem, zaufanie chorego, który szuka u lekarza ratunku – i jego nadzieja, że ów ratunek znajdzie, bo lekarz ma ten sam cel. Smutnym tego efektem jest „nadmiarowe" 80 tys. Polaków, którzy umarli – w ogromnej większości – z powodu zablokowania ochrony zdrowia. Od kwietnia – wraz z wieloma mądrzejszymi – ostrzegałem, że brak diagnostyki, kuracji, operacji etc. da fatalny efekt. I niestety nasze zapowiedzi się sprawdziły. Skoro „matematyczne modele", w które ślepo wpatrzony jest minister zdrowia, nie przewidziały tych nadmiarowych 80 tys. zgonów, najwyższy czas na radykalną korektę, prawda?

Jaką? Za szefem szpitalnego działu covidowego dr. Pawłem Basiukiewiczem powtarzam, co należy zrobić natychmiast. 1. Przestać izolować pacjentów bezobjawowych. 2. Zgodnie z zaleceniami WHO (tak!) nie należy interpretować wyniku testów w oderwaniu od objawów klinicznych. Czyli od efektów badania przez lekarza, czy chory jest chory. 3. Jak podaje amerykańskie CDC (Centrum Kontroli i Zapobiegania Zakażeniom), przez pierwsze dziewięć dni od początku objawów pacjent nie zaraża, wtedy także nie trzeba izolować. Jest czas na odizolowanie bezpieczne dla wszystkich osób wokół.

Zatem ochronę zdrowia można całkowicie odblokować – bez ryzyka rozprzestrzeniania się covidu. I z szansą na ocalenie tych kolejnych „nadmiarowych" 80 tys. Polaków, którzy chcą żyć. Przy zablokowanej ochronie zdrowia umrą. Po jej odblokowaniu przeżyją.

Maciej Pawlicki

Reklama | 51/0121/F

eprasa.pl d4c85cccd8



TAURON

Tak widzimy przyszłość – pełną zielonej energii

- zrób Audyt z TAURONEM i popraw efektywność energetyczną w firmie
- postaw na Zarządzanie Energią i zoptymalizuj pracę urządzeń HVAC
- wybierz Redukcję Mocy i zyskaj środki finansowe po redukcji zapotrzebowania

Razem z nami buduj zieloną przyszłość
i włącz się w **#ZielonyZwrotTAURONA**

biznes.tauron.pl

eprasa.pl d4c85cccd8

Wyklęci for ever?



Lech Makowiecki

Pisanie felietonów co dwa tygodnie powoduje, że trudniej mi się wstrzelić w rocznicowe tematy. Zatem z siedmiodniowym poślizgiem piszę o Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Ci niezłomni ludzie (nadal wyklinani przez duchowych spadkobierców PZPR i UB) – to byli Polacy wyjątkowi. Odważni, honorowi, wierni ojczyźnie i Bogu, z przedwojenną kindersztubą, zwykle wykształceni, często utalentowani. Jakiekolwiek porównywanie cech charakteru rtm. Witolda Pileckiego, gen. Fieldorfa „Nila" czy sanitariuszki Danuty Siedzikówny „Inki" z mentalnością ich ubeckich oprawców jest po prostu niemożliwe.

Armia Czerwona i NKWD – oprócz pijaństwa – wniosły do Ludowego Wojska Polskiego i Urzędu Bezpieczeństwa bezmiar azjatyckiego chamstwa i brutalności. Pilecki, który przeszedł przez piekło Auschwitz, w zderzeniu ze zwierzęcym okrucieństwem przesłuchujących go ubeków wspominał pobyt w obozie jako igraszkę.

Rewelacyjnie zrealizowany film Konrada Łęckiego „Wyklęty" już od pierwszych scen poraża nieprawdopodobnym wulgaryzmem języka „żydów" i „chamów" (tak nazywano dwie konkurujące z sobą frakcje sowieckich kolaborantów). Pod wpływem tego filmu łódzki raper patriota Zbigniew „Basti" Woźniak wydał bardzo mocną płytę pt. „Osobisty zbiór wartości", którą przywołuje naszych wojennych bohaterów: „Roja", Pileckiego, Pietrzykowskiego (o „Teddym" – słynnym bokserze z Auschwitz – powstaje film fabularny). Potężne emocje, jakie wyzwala w odbiorcach ten album, to efekt ekspresyjnie podanej prawdy historycznej i wezwania do pojednania. Przez szacunek dla naszej historii i w kontrze do wulgaryzmów zalewających dziś polskie ulice łódzki raper zupełnie zrezygnował z przekleństw, tak popularnych w tej muzyce dla podbicia przekazu. Cóż, kolejne pokolenie AK chce się upodobnić do swych przodków: prawdziwych rycerzy Rzeczypospolitej. ŻW nie byli bandytami; zbrodniarzami to byli ich komunistyczni kaci. Tego nie zakrzyczycie...

Kretynizm infernalny



Piotr Cywiński

Pewien facet, który bardzo chce być znany i bardzo się o to stara, ma zapłacić grzywnę 15 tys. zł i „pokryć koszty sądowe w kwocie blisko 3,5 tys. zł". Facet „wyraził zgodę na publikowanie jego nazwiska". Wie, co robi! I on, i jego adwokat, który też się stara i chce być znany. Nie podam więc ich nazwisk, nie widzę powodu, by dodatkowo przyczyniać im rozgłosu. A poszło o to, że ten, co „wyraził", rozpowszechniał fotografię z deptaniem obrazu Matki Boskiej. Jak obaj utrzymują, nie jest to żadna obraza czyichś uczuć religijnych, tylko wolność słowa i sztuka. Jasne...?!

Bo z katoli można kpić i lżyć im do woli, w końcu z litery wiary mają przykazane miłować bliźniego, choćby bydlaka najgorszego. Co innego wyznawcy Allaha..., „z muzułmanów śmiać się boję, bo zabijają, gdyby katolicy w Polsce zabijali, to też bym ich nie ruszał, bo jestem tchórzem" – wyznał otwarcie były komunistyczny minister propagandy Jerzy Urban, który też niedawno miał proces o obrazę uczuć religijnych.

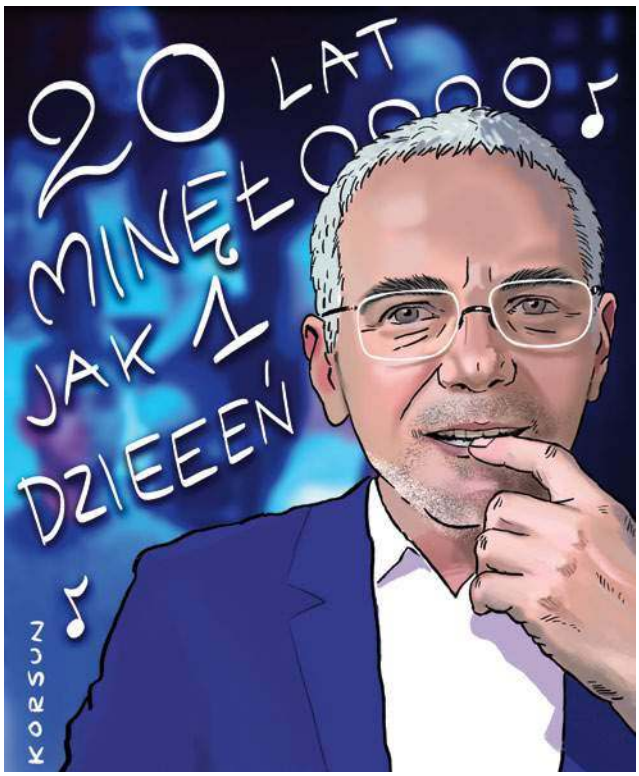
A w ogóle należy zmienić prawo, postulują inni odważni i żądni rozgłosu. Kochający inaczej Paweł Rabiej z Nowoczesnej huknął na Twitterze: „Najwyższy czas zerwać z reliktem państwa wyznaniowego. Klub KO składa projekt ustawy". I, żeby było dosadniej, dołożył zdjęcie równie śmiałego posła Krzysztofa Mieszkowskiego – absolwenta liceum, byłego dyrektora teatru, broniącego swego czasu spektaklu z robieniem „łaski" papieżowi – na którym trzyma obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w tęczowej aureoli z dopiskiem: „Z Kodeksu karnego powinien zniknąć art. 196 o ściganiu z urzędu tzw. obrazy uczuć religijnych".

Działaczka Nowej Lewicy Justyna Klimasara, która również chce być znana i też jest odważna, poszła na całość: „Prawdziwy Polak z Bogiem w opisie usłyszał słowo »masturbacja«. Atak agresji był do przewidzenia" – napisała w reakcji na oburzenie internautów po jej wezwaniu opublikowanym w internecie: „Dziś mamy Światowy Dzień Masturbacji. Niektórzy się rumienią i krzyczą, że grzech. Masturbacja rozładowuje napięcie, możecie się miło odstresować!", poradziła i dodała: „Tak masturbuję się", a „polską prawicę z krzyżami w opisach bardziej szokuje, że ludzie się masturbują niż to, że księża wykorzystują małe dzieci. To jest upadek".

Zaiste! Jak wyśpiewał Piotr Fronczewski: „A księżyc był jak cholera, ojciec po ośmiu likierach, i nagle żelazko spadło mi na głowę, i tak się zaczęło, madame... Oto jest spowiedź kretyna, życie kretyna to łza...".

eprasa.pl d4c85cccd8

Michał Korsun prezentuje:
Robert Janowski: Jaka to melodia?

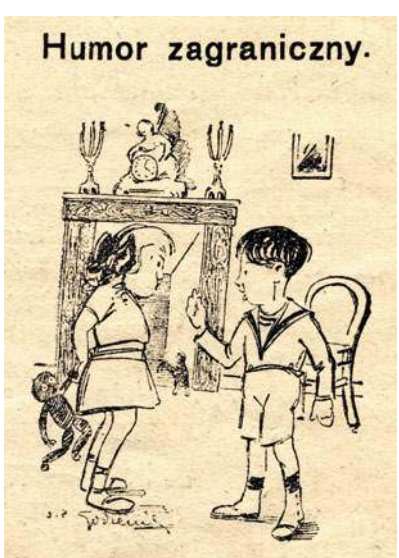


Wycinki z przeszłości

Pierwsza połowa lat 20. XX w. to w odrodzonej Polsce czas powojennej biedy, trudności gospodarczych i szalejącej inflacji. Nic dziwnego, że „Świat – Pismo Tygodniowe Ilustrowane" z marca 1924 r. kosztowało 1,8 mln marek polskich, wydrukowane na słabym papierze, a wszystkie ilustracje były czarno-białe. Mimo kłopotów humory dopisywały. Oto w kąciku humoru żart rysunkowy wzięty z prasy francuskiej. Poniżej następująca wypowiedź chłopczyka:

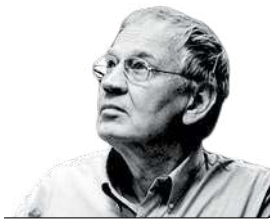
„Ja ci mówię, Zosiu, ten nowy braciszek nie ma ani włosów, ani zębów. Ja się boję, że tatuś dał się oszukać i w sklepie dali mu coś starego".

Na szczęście obawy dzieci były płonne.



(mk)

Pochwała Bibliotekarek



Leszek Długosz

Z okazji przeoczonego (1 marca) Międzynarodowego Dnia Przytulania Bibliotekarzy

A gdybym Janem Sebastianem
Lub choć Konstantym Ildefonsem był?
O jakież bym kantaty składał
Na pochwałę Waszą Panie Bibliotekarki...
Wszelakie Marie, Maryjki, Zofie
Bożenny czy Krystyny...
– Panny madonny instytutów
Chorążyny książnic
Skromne szarytki gminnych ośrodków kultury

Widzę Was – nad pulpitami
Pomiędzy regałami
Pośredniczki Marzeń Piękna i Pamiętania
Szafarki, Pismo rozdawające:
Bierzcie i rozgłaszajcie
Nieustraszone obrończynie kresowych stanic druku

Za Waszą służbę lichym miedziakiem
Świat Was obdarza
I miejsc zaszczytnych w swoich paradach
Wam nie przydziela
Lecz Wy nieustępliwie
W czas zaniedbania, porzucenia Księgi
Na posterunkach trwacie.
O jakże wszystkie ja bym Was wywyższył
Upiększył, ubogacił
Za Waszą wierną służbę
Za uśmiech i bluzeczkę wdzięczną
I w doniczkach kwiatki
Za szklankę herbaty, domowy placek
Gdy w słotne listopady, chudy literat
Pekaesowe pokonując kilometry
Przybywa na ostatni już być może
Wieczór autorski
O wtedy, jakże ja bym wszystkie sławił
– Magdy, Lucynki, Hanie czy Dobrochny
Lecz żem jest tylko Leszek Marek (nie Jan
I nie Konstanty nawet)
Przyjmijcie przeto wierszyk skromny
Jaki Wam niosę w darze...
– Miody i wina niechaj w nim płyną
I czterolistna niech się płoni koniczyna
A na niebiosach
Szarfa złocista niech rozgłasza:
Opiekunkom i Rozdawczyniom Księgi
Cześć i wdzięczność
BIBLIOTEKARKOM POLSKIM – AVE!

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl d4c85cccd8

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Nieuleczalna?

„W tej kolumnie jest 5 pancernych limuzyn, 4 mercedesy i 1 audi! @ prezydentpl @AndrzejDuda jedzie w 5 autach??? #taniepanstwo” – oto oryginalny wpis na Twitterze autorstwa posła Pawła Olszewskiego, zastępcy sekretarza generalnego PO. Wpis pochodzi z 23 lutego 2021 r.

Jak już dzień później wyjaśnił portal konkret24.tvn24.pl, ta ogromna kolumna „prezydencka” w istocie wiozła premierów państw Grupy Wyszehradzkiej oraz przewodniczącego Rady Europejskiej, którzy 17 lutego br. odwiedzili Wawel. Filmik podpięty pod tego fake newsa, zaledwie dzień po wpisie Olszewskiego, doczekał się ponad 115 tys. odtworzeń, niemal 1,4 tys. polubień i ponad 700 komentarzy. Tysiące otumanionych osób, rażonych chorobą antypisu.



Każda fobia zniekształca postrzeganie otoczenia. Fobia antypisu też ma taką moc

SYNDROM ANTYPISU

Syndrom przekonań, a często czysto automatycznych reakcji emocjonalnych tworzących mentalność antypisu, istnieje w Polsce co najmniej od roku 2005. Wtedy nastąpiło pierwsze podwójne – parlamentarne i prezydenckie – wyborcze zwycięstwo Prawa i Sprawiedliwości. Czule pielęgnowany antypis z pewnością pomógł PO wygrać wybory roku 2007. Odegrał też niemałą rolę mobilizująco-odstraszającą w okresie rządów PO-PSL lat 2007–2015, zmniejszając szanse wyborcze PiS w tym czasie. Natomiast po wygranych przez dobrą zmianę wyborach roku 2015, a potem serii następnych, antypis stał się rozpaczliwą emocjonalną i światopoglądową tratwą ratunkową części środowisk opozycji. Narzędziem propagandowym wykorzystywanym jednocześnie racjonalnie i nieracjonalnie.

Zgeneralizowany wyraz postawy antypisu dobrze wpisał się w formułę opozycji totalnej, którą swego czasu ogłosił Grzegorz Schetyna. Postawy antypisu od lat są świadomie „hodowane” nie tylko przez środowiska opozycyjne (pewnie głównie Platformy Obywatelskiej), lecz również przez takie podmioty medialne jak „Gazeta Wyborcza”, OKO.press, „Newsweek” czy „Polityka”.

RACJONALNY INSTRUMENT

W grze schematami antypisu jest pewna racjonalność. W obliczu zwątpienia elektoratu PO, przyniesionego przez zwycięstwo Zjednoczonej Prawicy w 2015, a następnie skuteczną politykę transferów społecznych, podtrzymywanie i umacnianie mentalności antypisu pełni funkcję tzw. utwardzania postawy. Powstrzymywano tą drogą odpływ rozczarowanego elektoratu spod skrzydeł PO w inne miejsca. Parlamentarzystom i samorządowcom pomagało to chronić ich mandaty. Politycznie racjonalne pod tym względem hodowanie antypisu jednocześnie wzmacnia postawy utrudniające budowanie przez opozycję programowej alternatywy wobec polityki rządzących – tą drogą ułatwiając kolejne sukcesy wyborcze dobrej zmiany.

Pielęgnowany od lat antypis, nierzadko ocierający się o pisofobię, bez wątpienia stanowił też istotne paliwo protestów tzw. Strajku Kobiet. Ośmiogwiazdkowe hasło niesione na tekturach świadczy o tym najlepiej. Ale...

ZABÓJCZA FOBIA

Każda fobia zniekształca postrzeganie otoczenia. Fobia antypisu też ma taką moc. Paraliżuje nie tylko przed próbami podejmowania wspólnych z rządzącymi przedsięwzięć, lecz także uniemożliwia neutralne, pozbawione obsesyjnych uprzedzeń odbieranie rzeczywistości.

Część opozycji i elektoratu poddana antypisowej mentalności nie jest zdolna do wejścia w rolę opozycji twórczo reagującej na błędy rządzących.

Można powiedzieć, że gdy 23 lutego poseł PO napawał się wykpiwaniem nielubianego prezydenta, to był ofiarą źle zrozumianej informacji. Ale 3 marca 2021 r., gdy niniejszy felieton kończymy, wpis Olszewskiego nadal jest na jego Twitterze, to widzimy, że nie przeszkadza mu ogłupianie zwolenników swojej partii. A może nawet dodaje mu to skrzydeł?

Panoszący się w niektórych środowiskach antypis nie tylko utrudnia budowę opozycji na dobrym poziomie. Najsmutniejsze jest to, że przy okazji degraduje zasoby umysłowe wielu naszych rodaków. Ta choroba tworzy kulturową barierę wspólnego budowania silnej pozycji Polski jako państwa. Czy naprawdę jest nieuleczalna? Niech się wypowiedzą dyżurni psychologowie – specjaliści, zwykle chętni do diagnozowania psychicznych zakamarków „pisowskiego populizmu”.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 56/0221/F

eprasa.pl d4c85cccd8

15 marca w tygodniku **SIECI**

dodatek o polskich podróżnikach

Polacy *poza horyzontem*



PAWEŁ EDMUND STRZELECKI – powstaniec listopadowy, który w 1834 r. wyjechał do USA i tam jako podróżnik rozpoczął badania geologiczne i etnograficzne Ameryki Północnej, Środkowej i Południowej, Oceanii i Australii

JAKUB SADOWSKI – pochodził z rodziny polskich pionierów w Ameryce, przebył dzikie wówczas Kentucky i dotarł do Nowego Orleanu





IGNACY DOMEYKO – bohater „Dziadów” Mickiewicza i… Chile, w którym stworzył podstawy przemysłu wydobywczego, meteorologii i systemu oświaty

PARTNERZY DODATKU:

KGHM POLSKA MIEDŹ

ORLEN

Fot.: Polona.pl/ Wikipedia/Shutterstock

eprasa.pl d4c85cccd8

DRAP

KASA WPADA

zdrapki



eprasa.pl d4c85cccd8